Nr. 3 i 4.

ROCZNIKI
OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ
Św. WINCENTEGO a PAULO.

Rok XXI.



KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład Księży Misyonarzy.
1915.

TREŚĆ ZESZYTU.

Prenumerata roczna **8 Koron (Mk)**; dla Ameryki **9 Koron.**

Uprasza się o uiszczenie prenumeraty za rok 1915 i 1916 pod adresem:
Redakcya »Roczników Zgromadzenia« — Kraków, Stradom 4.

Redakcya uprasza najuprzejmiej Czcigodnych Księży Superyorów oraz Czcig. SS. Przełożone o łaskawe nadsyłanie sprawozdań o pracy i stanie powierzonych im domów i dzieł, w myśl statutów ułożonych przy zakładaniu naszego kwartalnika oraz stosownie do „Słowa wstępnego“, zamieszczonego w pierwszym zeszycie tychże „Roczników“ (1895 r.).

Załączamy też gorącą prośbę o pisanie nekrologów naszych Zmarłych.

Wśród Polaków w Wilhelmsburgu.
(1913).

Prawdziwą radością powinno przejąć się serce misyonarza, gdy mu Przełożeni powierzą wycieczkę misyjną. Opuścić swoje rodzime strony, a pójść pomiędzy obcych, chodzić od wioski do wioski i szukać rodaków po rozmaitych folwarkach, łamać im chleb słowa bożego, oczyszczać zbrukane dusze, wlewać balsam pociechy do serc zbolałych, umacniać Najśw. Eucharystyą, to rozkosz prawdziwa, to zaszczyt wielki. Przecież Boski Zbawiciel czynił to samo; do tegoż zachęcał św. Wincenty. A jednak, kiedy mi Najprzew. Ks. Wizytator zlecił tę pracę, to zamiast radości odczułem trwogę, zamiast dziękować, prosiłem o uwolnienie od tego wdzięcznego zajęcia.

Zejdą się czasem takie okoliczności, które powstrzymują zamiast zachęcać. Wiem, że praca na wycieczkach misyjnych wśród naszych wychodźców jest nieraz ponad siły, jeżeli się chce wszystko gorliwie spełnić. Wiem, że misyonarza czeka często niewygoda; zamiast używać zasłużonego spoczynku, trzeba niejedną noc w konfesyonale przepędzić. Ale nie te trudy mnie zatrzymywały. Przyczyna była inna. Oto jechałem po raz pierwszy na tego rodzaju pracę; słyszałem o niej jedynie z opowiadań konfratrów i z opisów w „Rocznikach". Doświadczenia więc nie miałem żadnego. W dodatku dowiedziałem się z gazet, że w miejscu, gdzie miałem apostołować, wybuchnął strejk kościelny. Zadawałem sobie pytanie, czy tej pracy podołam? Zdawało mi się, że to ponad moje siły.

Posłuszny jednak woli Najprzew. Ks. Wizytatora, pomny na słowa, że „mąż posłuszny będzie głosił zwycięstwo", i św. Pawła, że „wszystko mogę w Tym, który mnie wzmacnia", wyjechałem z Tarnowa dnia 13. marca 1913 roku. W drodze rozpraszałem odzywające się jeszcze wątpliwości i obawy myślą, że Bóg używa nieraz słabych narzędzi, aby tem jaśniej błyszczały dzieła jego, aby Misyonarz nie przypisywał rzeczy dokonanej swojej sile, ale mocy boskiej. Pociąg mknął szybko drogą na Kraków, Berlin, Hamburg. W piątek popołudniu, dnia 14 marca, byłem już na plebanii w Wilhelmsburgu. Ks. Proboszcz bardzo się ucieszył z mego przyjazdu. Do ostatniej chwili niepokoił się, gdyż nie otrzymał żadnej wiadomości o przybyciu polskiego Misyonarza.

Praca misyjna miała się zacząć w niedzielę Palmową; pozostał mi jeszcze jeden dzień wolny. W czasie tym wypytywałem się Ks. Proboszcza o stosunki panujące w jego parafii. Informacyi udzielał chętnie, ale ze smutkiem; były dla niego rzeczywiście bardzo przykre: strejk kościelny polskich parafian.

— — — — — — — = — — — — —

Polacy w Wilhelmsburgu, to przybysze z Poznańskiego, Prus zachodnich i Ślązka. Zajmują się pracą po rozmaitych fabrykach, rzemiosłem lub kupiectwem. Pamiętali zapewne rozmaite strejki, urządzane przez socyalistów dla polepszenia bytu materyalnego; strejki te zwykle się udawały. Kapitaliści, zaatakowani liczną, zwartą rzeszą robotników, pierwsi wyciągali rękę do zgody i postawione żądania przyjmowali. Jeżeli ta broń — tak myśleli przywódcy — okazała się skuteczną w dziedzinie materyalnej, to dlaczegóżby nie można jej użyć w dziedzinie ducha, w religii. Jeżeli wstrzymanie się od pracy we fabrykach przyniosło im podwyższenie zarobku i skrócenie godzin roboczych, to wstrzymanie się od nabożeństw kościelnych i przyjmowania sakramentów, urzeczywistni zapewne ich słuszne żądania.

Strejk kościelny byłby niemożliwym do przeprowadzenia na wsi, gdzie ludzie zajęci uprawą roli, są odcięci od

wpływów socyalistycznych; ale inaczej w takiem mieście fabrycznem, jak Wilhelmsburg; tam „czerwoni towarzysze“ mówią głośno i swobodnie; toteż wpływ ich musiał się przynajmniej w części udzielić tutejszej Polonii, wpływów inteligencyi zupełnie pozbawionej. Materyał palny wzrastał coraz bardziej; wystarczyło, aby się znalazł odważniejszy i ogień podłożył, a pożar będzie gotowy. Przewódca nie potrzebował wcale silić się na przytaczanie jakichś głęboko obmyślanych argumentów. Wśród takiego otoczenia starczyło powiedzieć śmiało i głośno: „Jesteśmy pokrzywdzeni! To, czego żądamy, słusznie nam się należy, musicie tylko chwycić za broń, którą wam podamy, a zamierzony cel osiągniemy!“ Te kilka wykrzykników wystarczy. Nikt nie pyta się, czy środek jest godziwy lub nie; mniejsza o to, byleby tylko swoje życzenia zaspokoić. I tak też było.

Strejk w Wilhelmsburgu rzucił plamę na tamtejszą Polonię, ale z drugiej strony świadczy o pierwiastku religijnym, tkwiącym głęboko w duszy polskiego robotnika. Inny lud stałby się w braku dostatecznej opieki religijnej obojętnym i bezwyznaniowym; a oni domagają się kapłanów swoich, aby oświecali ich dusze światłem prawd bożych. Wybrali niestety złą do tego drogę. Sposobem, którym wzbogacili kieszeń, nie mogli wzbogacić duszy. Zbłądzili...

A czy nie było nikogo, którypy ich zawczasu powstrzymał i do strejku nie dopuścił? Czyż nie było pasterza dla tych owieczek? Był, ale przemawiał do nich głosem obcym. Tamtejszy Ks. Proboszcz jako kapłan spełnia wprawdzie swoje obowiązki wiernie, ale za wiele w duchu niemieckim. Wolałby słyszeć Polaków, chwalących Boga po niemiecku, a nie po polsku. Inaczej czynił św. Paweł. Dla Greków stał się grekiem, dla żydów żydem, dla wszystkich wszystkiem, aby wszystkich Bogu pozyskać. Tamtejszy pasterz, mając większą część parafian Polaków, powinien był iść śladem św. Pawła i powiedzieć sobie: dla Polaków stanę się Polakiem, aby ich Bogu pozyskać. Tego domaga się stanowisko każdego kapłana. Wystarczyło więc nauczyć się dobrze po polsku, głosić

w tymże języku ze dwa razy na miesiąc kazania, a Polacy byliby mu za to stokrotnie wdzięczni. Jeżeli zaś sam tego nie uczynił, mógł zażądać wikarego, władającego polskim językiem. Tak naprzykład stało się w Bremie. Pojechał jeden z księży do Lwowa, wyuczył się naszego języka, a wróciwszy, spowiada i głosi kazania po polsku; Polacy są z niego zupełnie zadowoleni. Nie uczynił tego Ks. Proboszcz w Wilhelmsburgu. Według jego przekonania ksiądz polski jest tam niepotrzebny, bo prawie wszyscy Polacy rozumieją język niemiecki.

W Wilhelmsburgu mieszka 7000 katolików; z tego 6000 Polaków, a tylko 1000 Niemców. Kościół nowy, wybudowany po części składkami polskiemi. W parafii przebywa stale trzech księży. Ponieważ żaden z nich językiem polskim nie włada, dlatego od dwudziestu lat przyjeżdżał ksiądz polski dwa razy w roku, na Wielkanoc i pod jesień, aby Polaków wyspowiadać i powiedzieć kilka kazań; w r. 1912 był cztery razy. Polacy byli niezadowoleni z tych rzadkich odwiedzin. Czuli się wobec Niemców pokrzywdzonymi. Niemców jest tylko 1000, a mają trzech księży na każde zawołanie; ich jest 6000 i tylko cztery razy do roku mogą oglądać kapłana swego. To trochę za mało. Postanowili energiczniej upominać się o swoje prawa. Założyli w tym celu w r. 1910 „Komitet Polaków-katolików“. Komitet miał starać się o stałego polskiego księdza. Praca zaczęła się.

W roku 1910 wysłali adres do Ks. Biskupa Bertrama z 2075 polskimi podpisami. Kiedy odpowiedź nie nadeszła, wysłali po czterech miesiącach drugą prośbę. Tym razem odpisał Ks. Biskup, aby cierpliwie czekali. W r. 1911 przyjechał Ks. Biskup do Wilhelmsburga na wizytacyę kanoniczną. Udało się wtenczas do niego czterech delegatów Komitetu i przedłożyli swoje prośby. Ks. Biskup obiecał przysyłać kapłana polskiego co miesiąc. Mimo usilnych starań nie mógł wszelako i tej nawet obietnicy spełnić. Odnosił się w tej sprawie do Ks. Biskupa Likowskiego, ale wskutek braku księży otrzymał odpowiedź odmowną.

Komitet nie wierzył dobrym chęciom Ks. Biskupa — przypisywał mu złą wolę; postanowił więc załatwić całą sprawę metodą socyalistów, zwłaszcza że niektórzy z członków byli dobrze przesiąknięci duchem „czerwonych", a chodziło im więcej o język polski aniżeli o katolicyzm. Uchwalono strejk kościelny. Zachodziło tylko pytanie, w jakiej formie go ogłosić i przeprowadzić. Jeden z nich napisał odezwę i kazał od razu wydrukować. Przyszedł z nią na zebranie Komitetu. Inni, dbający więcej o ducha katolickiego, nie chcieli się zgodzić na formę odezwy, ale pod naciskiem i ostatecznym argumentem, że już jest wydrukowana, że nie można niczego zmienić, przyjęli ją ostatecznie. Było jeszcze kilku opornych, lecz wobec większości nie mieli już żadnego znaczenia.

Dwa tygodnie przed mojem przybyciem rozdawali ją członkowie Komitetu wszystkim Polakom w Wilhelmsburgu.

I cóż wypisali na tych świstkach?

W odezwie tej Komitet zdaje sprawę ze swoich starań o księdza polskiego, wytacza jad nienawiści do księży niemieckich, nazywa ich germanizatorami, skarży się na brak sprawiedliwości i kończy następującem wprost potwornem wezwaniem:

„Zacni Bracia i Siostry! Cierpliwość nasza wyczerpała się zupełnie. Jesteśmy zbyt przywiązani do Wiary naszej świętej i Ojca świętego, jako Zastępcy Chrystusa Pana, abyśmy mieli rzucić hasło, jakie głosili Niemcy-moderniści w Austryi i Bawaryi: „Los von Rom!" Postanowiliśmy jednak w naszych towarzystwach zgodnie i jednogłośnie:

1) zupełnie do kościoła nie chodzić, dokąd polskiego księdza nam do Wilhelmsburga nie przyślą;

2) żadnych ofiar na kościół nie dawać, ani mszalnych, ani na tacę;

3) ślubów w tym czasie nie brać, a chrzest dzieci wstrzymać, a gdy który z nas umrze, niech pochowają go na luterskim cmentarzu, gdyż i tak swego, katolickiego, dotąd nie mamy.

„Niech czyn nasz, na który musieliśmy się zdecydować, wywoła w całej Europie i w całym świecie katolickim okrzyk zgrozy i pogardy przeciw ciemiężycielom naszym.

1) Żądamy księdza Polaka. Nie Niemca, nauczonego po polsku, ale Polaka z krwi i kości.

2) Żądamy nabożeństw polskich ze śpiewami. W jedną niedzielę wotywę, t. j. mszę ranną, w drugą zaś niedzielę sumę polską z kazaniem.

„Od żądań tych nie odstąpimy!

„Bracia i Siostry! My tu, wychodźcy dla kawałka chleba, postępujmy jednolicie i zgodnie. Niech nie znajdzie się ani jeden Polak albo Polka, którzyby wyłamali się przeciw uchwale Komitetu i większości. Bądźmy w tych czasach jednością silni!“

Na końcu podpisano: „Komitet w sprawie opieki duchownej“.

Treść odezwy okropna; trudno uwierzyć, aby lud katolicki na coś podobnego się odważył. Nie; wzrazy wyżej przytoczone, to nie myśli zbiorowej duszy polskiej w Wilhelmsburgu, lecz wytwór mózgownicy kilku zaledwo agitatorów.

Odezwa wydana, licznie pomiędzy lud rozrzucona, jakież wywarła wrażenie? Polacy czytają. Jedni zacierają ręce z radości, to ci, którym chodziło więcej o polskość, niż o wiarę. Inni czytając, oburzali się na układ odezwy, a jeszcze inni płakali i ubolewali, że tak potworny świstek wyszedł na światło dzienne. Postanowili jednak bojkotować kościół w Wilhelmsburgu, bo byli przekonani, że zaraz księdza polskiego na stałe dostaną.

W niedzielę następną kościół w Wilhelmsburgu prawie pusty. Z Polaków przyszło nie wielu; kościelny wyszedł z tacą na składkę — zamiast pieniędzy, nazbierał dużo wstydu.

Czy reszta Polaków rzeczywiście nie poszła do kościoła? Nie, tak źle nie było. Sumienie ich, jeszcze nie zobojętniałe, nie pozwoliło nabożeństwa opuścić. Aby jednak nie narazić się na przycinki agitatorów, a z drugiej strony uci-

szyć wyrzuty sumienia, pojechało bardzo wielu do Hamburga; i tam w kościele katolickim wysłuchali mszy św.

Zbliżała się niedziela Palmowa. W sobotę słuchałem spowiedzi; przyszło kilka starych babek i Niemcy. Był to niedobry znak. Ogarniała mnie ciekawość i obawa, co będzie jutro. Przeszła niedziela świeciła pustką; jaka będzie jutrzejsza? Czy będzie przynajmniej do kogo kazanie głosić? Czy się obejdzie bez zakłócenia spokoju w kościele? O mojem przybyciu wiedzieli, bo trzy tygodnie przedtem zawiadomił ich o tem Ks. Proboszcz; to samo przypominała im kartka na zewnątrz muru kościelnego przybita.

O 7. godzinie odprawiłem mszę św.; w kościele byli przeważnie Niemcy. O godz. 9. wyszła suma; kazania niemieckiego ze względu na polskie nie było. Kościół wypełniony do ostatniego miejsca. Po sumie wyszli Niemcy, było ich zresztą bardzo mało; miejsca ich zajęli Polacy. Do kościoła już nikt wejść nie może. Drzwi wszystkie pootwierane; tymczasem napływają coraz większe fale dusz polskich, a odbite od natłoczonej masy ludzkiej, zataczają coraz to większe kręgi na cmentarzu kościelnym. Zeszła się prawie cała polonia miejscowa. Opowiadają, że Wilhelmsburg jeszcze tak pełnego kościoła nie oglądał. Przybyli tacy, którzy latami całemi do kościoła nie chodzili. Czy i tych głód słowa Bożego przypędził? Nie, oni już nasyceni; karmili się przecież od lat karmą, dostarczaną obficie przez „czerwonych". Na słowo Boże nie łakomi; ono jest dla nich zbyteczne. Przyszli jednak, bo ta chwila miała być przeglądem Polaków w Wilhelmsburgu. Mieli zaimponować Niemcom ogromem liczby; chcieli pokazać, przynajmniej na zewnątrz, jak bardzo są spragnieni kazań w ojczystym języku i jak im chodzi o kapłana-Polaka. Obok tego odgrywała niepoślednią rolę ciekawość. Przyszły także różne szumowiny w przekonaniu, że Misyonarz wygłosi całe kazanie o strejku; byli ciekawi, jakie w tej sprawie zajmie stanowisko. Czy Polaków za to potępi, czy też może stanie po ich stronie.

O godz. 10. wszedłem na ambonę. Uczułem prawdziwą radość na widok tej licznej rzeszy. Jakież ziarno rzucić na tę rolę zachwaszczoną?

O strejku postanowiłem pierwszy raz całkiem nie wspominać. Umysły słuchaczy były jeszcze rozognione, serca ich niespokojne; mogłoby więc łatwo przyjść do zakłócenia spokoju; w kościele byli także tajni policyanci, którzy mogli skorzystać z najmniejszego nieodpowiedniego wyrażenia i całą moją misyę sparaliżować. Były jeszcze inne względy; dotychczas zapoznałem się ze strejkiem tylko jednostronnie, z opowiadania Ks. Proboszcza; chciałem także usłyszeć o nim zdanie z ust parafian, aby wyrobić sobie sąd całkowity, zupełny i dopiero na podstawie niego obmyśleć skuteczne lekarstwo. A potem w kościele znajdowali się tacy, którzyby może drugi raz już nie przyszli. Nadarzyła się więc dobra sposobność, żeby i na te duszy sieci zarzucić. Może pod wpływem łaski wrócą do Boga. Wskutek tych przyczyn wygłosiłem pierwsze kazanie o Pokucie. Z jednej strony podkreślałem miłosierdzie nad grzesznikiem, zaraz pokutę czyniącym, a z drugiej wskazywałem na wielkie niebezpieczeństwo odkładania jej na czas późniejszy. Dochodziła 11. godzina, trzeba było kończyć, bo zaraz miała wyjść ostatnia Msza św. Po kazaniu zapowiedziałem porządek nabożeństw i słuchania spowiedzi.

Niektórzy byli z kazania niezadowoleni; zawiedli się bowiem w swoich nadziejach. Mówili do innych, że gdyby przedtem byli wiedzieli, że o strejku nie będzie mowy, nie byliby przyszli.

Popołudniu zaprosiła mnie prezesowa „Towarzystwa Polek pod opieką św. Jadwigi“ na zebranie. Poszedłem chętnie, choć Ks. Proboszcz nie bardzo był za tem; chciałem przy tej okazyi zasięgnąć dokładniejszych wiadomości o strejku.

W Wielkim tygodniu rozłożyłem sobie pracę w następujący sposób: Spowiadałem codziennie od rana aż do godziny mniej więcej 11. Popołudniu zaczynałem spowiedź o godz. 5.; o godz. $7^{1}/_{2}$ odmawialiśmy cząstkę różańca o na-

wrócenie grzeszników przed Najśw. Sakramentem, wystawionym w monstrancyi; po nabożeństwie kazanie półgodzinne, następnie spowiadałem tych, którzy w ciągu dnia przyjść nie mogli.

Czas mijał prędko, myśli jednak z tęsknotą biegły do kraju, gdzie Pan Jezus w Najśw. Sakramencie wystawiony, a tysiące ludzi odwiedza grób Boży; tu tego niema.

W Wielką Sobotę popołudniu święciłem w niektórych domach dary boże. Inni przynosili je do kościoła, gdzie święcił jeden z księży wikarych. Pod wieczór zasiadłem do konfesyonału i nie opuszczałem go aż do 12. godz. w nocy.

Rezurekcyę urządziłem wczas rano według ceremoniału, dozwolonego dla Polaków w dyecezyi padernborskiej (polska rezurekcya zakazana); polega to na tem, że kapłan bierze krzyż, przedtem na stopniach bocznego ołtarza położony, śpiewa trzy razy *Surrexit;* następnie wśród śpiewu „Wesoły nam dzień dziś nastał“, odbywa się procesya z krzyżem do wielkiego ołtarza. Zaraz po rezurekcyi odprawiłem sumę; w czasie niej Towarzystwo śpiewackie wykonało rozmaite pieśni przy towarzyszeniu silnych dętych instrumentów, tak serdecznie i z takim zapałem, że nerwy z równowagi wychodziły.

Minął już tydzień wśród pracy.

O strejku mogłem sobie już wytworzyć należyty pogląd. Mogłem więc teraz tę bolesną sprawę omówić z ambony. Najprzew. Ks. Biskup w przysłanym liście zostawił mi w tem zupełną wolność.

W niedzielę Wielkanocną zapowiedziałem kazanie na drugi święto po sumie niemieckiej. Zachęciłem Polaków, aby się jak najliczniej zeszli, bo będę mówił o bardzo ważnej rzeczy. Posłuchali i tylu ich przyszło, że kościół nie mógł wszystkich pomieścić.

W drugie świeto wygłosiłem kazanie na temat: „Panie zostań z nami, bo się ma ku wieczorowi“. Potem w następujących słowach przemówiłem do nich w sprawie strejku kościelnego:

„Kochani Bracia i Siostry! Przyjechaliście z ojczyzny swojej, aby szukać chleba dla siebie i rodziny. Praca wasza ciężka, w pocie czoła musicie zarabiać na życie codzienne. Wiem, że pobyt wasz w tych stronach przykry, bo zdala od domów ojczystych, wśród obcych, gdzie nie możecie wcale zaspokoić swoich uczuć narodowych, a religijnych tak, jak tego pragniecie. Znam duszę poczciwego ludu naszego i wiem, jak wysoko ceni kapłanów swoich. To też rozumiem, jak wielki smutek ogarnia serca wasze, że tak rzadko oglądać możecie wśród siebie kapłana polskiego.

„Nieszczęśliwy los ojczyzny naszej rozprószył nas po rozmaitych krańcach kuli ziemskiej. My kapłani idziemy za tymi tułaczami i, o ile tylko możemy, niesiemy pomoc dla ich duszy, dźwigamy z upadku, krzepimy na drodze do wieczności. Niestety! jest nas za mało. Usług naszych duchownych nie możemy świadczyć w tym stopniu, w jakim pragnęlibyśmy.

„Kochani moi! Pragniecie mieć wśród siebie kapłana polskiego. Wierzcie mi: gdyby rodacy w innych stronach nie wyciągali rąk swoich z tą samą prośbą, co wy; gdybym gdzieindziej był niepotrzebny, to wierzcie mi, zostałbym wśród was i oddałbym się całkowicie pracy dla dobra dusz waszych.

„Drodzy Bracia! Odczuwam głęboko boleść w sercach waszych, że nie możecie zaspokoić życzeń swoich co do obsługi duchownej, do której macie prawo, ale równocześnie, gdy patrzę na odezwę, rozrzuconą przed trzema tygodniami, to łzy cisną mi się do oczu. Czyżbyście naprawdę byli przejęci myślami, które są na tych kartkach wydrukowane? Przecież czynić to, znaczy zerwać zupełnie z Kościołem katolickim. Czyżby wiara w sercach waszych zupełnie wygasła? Nie, tego nie przypuszczam, bo Polak raczej krew przeleje, a wiary św. się nie wyrzeknie. Jestem przekonany, że i wy dla względów językowych, narodowych, nie pozwolicie zachwiać się w wierze Ojców naszych. Żądanie na stałe kapłana polskiego jest słuszne, jest was przecież tak wielu; ale sposób, którego użyliście do przeprowadzenia życzeń

swoich, jest błędny i niedozwolony i tylko nieprzyjaciołom naszym podobać się może.

„Kochani moi! Jak z jednej strony ubolewam nad nierozważnym błędem, tak z drugiej pocieszam się myślą, że serca macie poczciwe; świadczą o tem te łzy w oczach waszych. Ufajcie, Pan Jezus wam chętnie przebaczy to chwilowe zapomnienie, jeżeli Go serdecznie przeprosicie i grzechy swoje ze skruchą na spowiedzi wyznacie.

„Co się zaś tyczy Najprzew. Ks. Biskupa, to naprawdę starał się dla was o kapłana-Polaka; wszędzie jednak otrzymał odpowiedź odmowną, bo i tam brak kapłanów. Bądźcie przekonani, że nadal o was pamiętać będzie i skoro się tylko sposobność nadarzy, przyśle wam kapłana, z którym będziecie mogli porozumieć się swoim ojczystym językiem.

„Przy tej sposobności wyrażam wam swoją radość i zadowolenie, żeście tak pilnie chodzili na kazania i tak licznie do Sakramentów św. przystępowali. Odwiedzajcie często tę świątynię także wtenczas, kiedy odjadę. Szukajcie pociechy i pomocy u stóp Najśw. Sakramentu. To, co wyczytaliście w odezwie, uważajcie za wcale nieistniejące. A gdyby was ktoś w przyszłości podburzał i namawiał do tego, co sprzeciwia słę Bogu i sumieniu, nie słuchajcie.

„Moi Kochani! Módlcie się gorąco do Maryi, tej potężnej i najlepszej Królowej naszej, o kapłana polskiego, a bądźcie pewni, że nadejdzie czas, kiedy z tego miejsca częściej rozbrzmiewać będzie słowo Boże w mowie ojczystej".

Oświadczenie powyższe przyjęli z zadowoleniem. Opornych było niewielu; ci mówili, że „księża mi już w głowie przewrócili, dlatego tak powiedziałem".

W następną niedzielę kilku wywrotowców zwołało zebranie dla prowadzenia dalszego strejku. Nie było mnie wtenczas w Wilhelmsburgu. Uczestników podobno zeszło się dużo. Kiedy jakiś krzykacz nawoływał do strejku, powstało na sali wielkie oburzenie. Jedna z pań zabrała głos; powołała się na moje słowa w kościele powiedziane i w końcu poprostu zawołała: „Mamy księdza słuchać, bo on nam do-

brze radził". Słowa te przyjęli obecni burzą oklasków. Następnie dodała: „Wszyscy, którzy na strejk się nie godzą, niech opuszczą salę" i wyszła, a za nią poszli wszyscy inni. Krzykacz pienił się ze złości, błagał na wszystko, aby nie wychodzili, ale słów jego już nikt nie słuchał. Zostało zaledwo kilku jego zwolenników. Jakaż radość powstała w mem sercu, gdy otrzymałem sprawozdanie z tego zebrania! Jak serdecznie dziękowałem Bogu, że ta bolesna sprawa tak pomyślnie się zakończyła.

Później przyszedł do mnie delegat Komitetu i oświadczył, że zaczną strejk na nowo, jeżeli nie otrzymają księdza od Nowego Roku. Odpowiedziałem, żeby cierpliwie czekali, a zresztą pogróżek ich nie boję się, bo ludzie się na nich poznali i z pewnością już nikt nie będzie ich bałamuctw słuchał.

Odetchnąłem swobodnie, bo najgorsza sprawa była skończona. To, czego najwięcej się obawiałem, szczęśliwie minęło.

Czas upływał prędko, bo zajęcia było dużo; konfesyonały były często oblężone. Polacy przystępowali chętnie i licznie do Sakramentów św. Spowiadali się nieraz z kilku lat. Zapewne Najśw. Panna, którą błagaliśmy na nabożeństwach wieczornych o nawrócenie grzeszników, przyjęła prośby nasze i wyjednała dla tych nieszczęśliwych łaskę pojednania się z Bogiem. Ilu spowiadało się, dokładnie nie wiem, bo nie liczyłem. Ks. Proboszcz zapewniał, że ogólna liczba była większą, aniżeli lat ubiegłych.

W wolnych chwilach odwiedzałem chorych; ze łzami dziękowali mi za to, że usłyszeli kilka słów pociechy z ust polskiego kapłana.

Wspomnę jeszcze kilku słowy o „Towarzystwie Polek pod opieką św. Jadwigi". Istnieje niedawno, bo zawiązało się dopiero w styczniu 1913 r. Rozwija się dosyć pomyślnie; liczy dotychczas 100 uczestniczek.

Jeżeli każde polskie Towarzystwo ma wielkie znaczenie dla spraw narodowych na obczyźnie, to wyżej wymienione jest konieczne.

W Wilhelmsburgu przebywają setki polskich dzieci; chodzą do szkoły niemieckiej; w szkole przebywają 4 lub 5 godzin dziennie; przychodząc do domu, muszą się znów uczyć lekcyi niemieckich. Do pierwszych Sakramentów przygotowują się w języku niemieckim, spowiadają się po niemiecku. Nic dziwnego, że w takich warunkach zapominają zupełnie języka rodzimego, tracą ducha narodowego, nie potrafią po polsku ani pisać ani czytać. W okresie szkolnym są poprostu skazane na zupełną germanizacyę. Samoobrona więc jest tu niezbędną. W przeciwnym razie wystarczy 25 lat, aby wszystkich Polaków na Niemców zmienić.

Roztropniejsi spostrzegli grożące niebezpieczeństwo i dla usunięcia go założyli wymienione Towarzystwo. Należy je powitać z radością tem większą, że stoi na gruncie czysto katolickim. Celem Towarzystwa jest — jak mówi statut — łączenie rodaczek z Wilhelmsburga i okolicy w jedno grono polsko-katolickie, pielęgnowanie mowy ojczystej, narodowych zwyczajów i moralności członków, wspólne pouczanie się w wychowaniu dzieci w duchu polsko-katolickim; pielęgnowanie śpiewu kościelnego i narodowego i wzajemna pomoc materyalna. Składa się prawie z samych matek. One przecież w pierwszym rzędzie są powołane do wychowania dzieci. Matka z dzieckiem najczęściej obcuje, podczas gdy ojciec przez cały dzień poza domem zarabia na życie. Ale matka nieświadoma swego zadania, nic nie zdziała dla dziecka pod względem narodowym. A tej obojętności niestety było dużo. Towarzystwo Polek ma ją usunąć. Każda z nich zobowiązuje się nauczyć dziecko swoje pisać i czytać po polsku. Dla ułatwienia całej pracy zbierają się co pewien czas na wspólne narady. Na niektóre zebrania przychodzą dzieci i popisują się tem, czego się nauczyły: śpiewają pieśni, deklamują wierszyki, odpowiadają na pytania, zadane z katechizmu, pokazują ćwiczenia z polskiego pisania. Dla dalszej zachęty otrzymują w nagrodę rozmaite podarki.

Prezesowa, korzystając z mego przyjazdu, zwołała nadzwyczajne zebranie i poprosiła, abym przyszedł i powiedział

kilka słów zachęty. W dłuższem przemówieniu wskazałem na niebezpieczeństwa, grożące polskim dzieciom, zachęcałem do gorliwego spełniania obowiązków, zawartych w statutach i wyraziłem życzenie, aby Towarzystwo to objęło wszystkie Polki w Wilhelmsburgu. Jeżeli każda matka będzie gorliwą Polką, świadomą swego obowiązku narodowego, jeżeli nauczy swe dziecko po polsku mówić, pisać i czytać, wtenczas można być spokojnym o Polonię wilhelmburgską; język polski będzie uratowany, a z nim po części i religia katolicka.

Duch w „Towarzystwie Polek" wyborny, zapału nie brak, można więc sądzić, że zakreślone zadanie spełnią sumiennie.

— — — — — — — — — — — — —

Z Wilhelmsburga urządziłem kilka małych pastoracyjnych wycieczek.

W Harburgu byłem dwa razy. Za drugim razem spowiadałem do godz. 11. w nocy. Złożyło się tak nieszczęśliwie, że zaraz o godz. 12. musiałem jechać do Warstade. Takby się człowiek chętnie zdrzemnął, a tu trzeba było czuwać, aby przypadkiem za daleko nie pojechać.

Wśród walki z morfeuszem stanąłem na przeznaczonej stacyi o godz. 1½ w nocy. Zacny Ks. Proboszcz czekał na peronie. Do plebanii dosyć daleko, koni niema, więc dalej bracie na piechotkę! Całe szczęście, że mieliśmy nad sobą pogodne, gwiaździste niebo. Spoczynek był krótki bardzo, bo już o godz. 6. rano zaczęła się praca w konfesyonale; trwała z przerwami do godz. 1. w południe. W tym roku było Polaków mniej. W fabryce cementu zastąpiono pracę licznych rąk maszynami, wskutek tego wielu musiało gdzieindziej pracy szukać.

W następnym tygodniu udałem się do Lehe. Naipierw odwiedziłem jedną chorą; po niemiecku nie umiała; czekała na księdza polskiego z wielką tęsknotą, bo była coraz słabszą; bała się, żeby bez sakramentów nie umrzeć. O jakże Bogu dziękowała, że mogła po polsku się wyspowiadać.

Procent Polaków w Lehe ten sam, co w latach poprzednich.

Stąd miałem zaglądnąć do Geestemünde, ale tamtejszy Ks. Proboszcz zawiadomił mnie, że w tym roku niema ani jednego Polaka w jego parafii.

W Lehe otrzymałem nadprogramowe zaproszenie do Nordenham. Wobec tego, że wypadła pastoryzacya w Geestemünde, mogłem trzy dni poświęcić tamtejszym Polakom. Aby nie tracić czasu, pojechałem zaraz tramwajem do Bremerhaven, a stąd parowcem do Nordenham.

Nordenham leży przy ujściu Wezery. Przed dziesięciu laty było tu zaledwo kilka domków. Dziś jest to miasteczko, liczące 9000 mieszkanców. Wskutek wygodnej lądowej i wodnej komunikacyi rozwija się szybko przemysł fabryczny i rybołostwo. Są tu huty cynku, ołowiu, ogromna fabryka kablów i cegielnie. Większość mieszkańców stanowią protestanci. Jest także sekta baptystów. Katolicyzm czyni wielkie postępy. Przed pięciu laty było katolików 600, a dziś 1600.

Do wzrostu parafii katolickiej przyczynił się w wielkiej mierze obecny proboszcz ks. Siemer. Jest to prawdziwy pasterz według Serca Jezusowego, o chwałę Bożą i dobro parafian bardzo gorliwy. Stara się nie tylko o niemieckie owieczki, ale i o polskie. Żałuje, że nie zna polskiego języka. Polacy odczuwają poczciwe jego serce, są mu za to wdzięczni i szczerze do niego przywiązani. Przed dwoma laty wybudował kościół. Za jego staraniem stanęła niedawno szkoła katolicka. Obecnie myśli o założeniu szpitala katolickiego. W tym celu umieścił w wynajętym domu cztery Siostry Franciszkanki; polecił im prowadzić ochronkę i odwiedzać chorych katolików. Z parafianami styka się nie tylko w kościele i zakrystyi, ale całe godziny poświęca na odwiedzanie ich w domu lub we fabrykach. Oko jego czuwa pilnie, aby która owieczka nie zginęła wśród większości protestanckiej.

Polaków jest około 100. Przyjechali dotąd z rodzinami z Poznańskiego, z Prus zachodnich, ze Ślązka, z Nadrenii i Westfalii. Mężczyźni pracują we fabrykach, a dziewczęta przy rybołostwie lub służą po domach prywatnych.

Nordenham nie było dotychczas polem naszej pastoryzacyi. Należy ono do dyecezyi monasterskiej. Raz do roku przyjeżdzał na krótki czas polski kapłan. Ci, którzy nie zdążyli wyspowiadać się, jechali do Bremy.

Na plebanii nie zastałem Ks. Proboszcza. Ciotka jego tłómaczyła się, że nie spodziewali się mego przyjazdu, bo nie otrzymali umówionego telegramu od Ks. Proboszcza z Lehe. Zależało mi na czasie. Jakże tu zgromadzić Polaków do spowiedzi? Była godz. 3. po południu. Dzieci były jeszcze w szkole, wśród nich także kilkoro polskich. Posłałem więc prośbę do nauczyciela, aby dzieci powiedziały rodzicom, że ksiądz polski przyjechał i jutro rano będzie spowiadał. Na drugi dzień przyszło tylko 10 Polaków. Było to trochę za mało. Aby ich lepiej uwiadomić i prędzej zgromadzić, chodziłem razem z Ks. Proboszczem całe pół dnia od domu do domu i zachęcałem do spowiedzi. Dziwili się, skąd się tak nagle wśród nich znalazłem. Tłómaczyłem im żartobliwie, że teraz dopiero kolędę odprawiam. Cieszyli się bardzo z tych odwiedzin. Przypominali sobie ojczyste strony, gdzie podejmowali u siebie kapłana polskiego.

Mieszkania mają wygodne i zdrowe. Każda rodzina posiada duży pokój, kuchnię i ogródek. Domy jednopiętrowe są własnością towarzystw fabrycznych; każdy z nich jest przeznaczony na pomieszczenie czterech rodzin.

Nieobecnym zostawiałem karteczki z następującą treścią: „Przyjechałem do was; proszę przyjść do spowiedzi św. dziś lub jutro. — Ksiądz polski“. Kartki te, jak się później przekonałem, okazały się naprawdę skutecznemi.

Po zwiedzeniu poszczególnych domków udałem się do koszar, przeznaczonych dla samych tylko robotników. Stróż Niemiec chętnie mnie oprowadził. Robotnicy byli wtenczas we fabrykach, zostali tylko ci, którzy mieli służbę nocną. Mieszkańcy tych koszar, to prawie sami schizmatycy z gubernii wołyńskiej. Polaków było tylko kilku. Dom był czysto utrzymany — czuwała nad nim ręka niemieckiego stróża. Na korytarzu wiszą obrazy, przedstawiające rozmaite sceny pija-

ków; na jednym np. leży pijak przy drodze, a przy nim stoi żona z dzieckiem na ręku i płacze; na innym położył się pijak na szynach; z daleka widać nadchodzący całą siłą pary pociąg. Celem tych obrazów jest powstrzymanie robotników od pijaństwa.

Po południu poszedłem do szpitala protestanckiego. Chorych obsługuje sześć dyakonisek. Po otrzymaniu pozwolenia zwiedzałem pojedyncze sale i pytałem się o Polaków. Pomyśli kto, że to chodzenie po protestanckim szpitalu było niepotrzebnem; wystarczyłoby przecież spytać się ogólnie, czy niema kogo z katolików. Nie wystarczy to jednak. Zdarza się czasem, że dyakoniska, do wiary katolickiej uprzedzona, umyślnie nie powie o pobycie katolickich chorych. Dlatego bezpieczniej przekonać się osobiście, zwłaszcza że kapłan katolicki ma według ustaw wolny wstęp do szpitala protestanckiego.

Znalazłem jednego tylko Rusina; cierpiał biedak dużo; był poparzony od roztopionego ołowiu. Dyakonisce zapowiedziałem, że go odwiedzę przed południem o 11. godzinie. Rano poszedłem z Komunią św. (naturalnie w cywilnem ubraniu, bo taki zwyczaj w dyasporze). Mój chory był już w osobnej sali, na stoliku szklanka wody i łyżka.

Pod wieczór zasiadłem do konfesyonału. Byłem bardzo ciekawy, jaki będzie skutek mojej wycieczki. W oczekiwaniu nie zawiodłem się. Do spowiedzi napływali licznie. Poczciwy Ksiądz Proboszcz zaglądał od czasu do czasu do kościoła i cieszył się, gdy zobaczył nowych penitentów.

Pod koniec przystąpił do konfesyonału pewien młodzieniec i zapytał, czy może się spowiadać? Zdziwiło mnie to i mówię mu: „Dlaczego się pytasz?“ — „A bo ja Rosyanin“. — „Katolik czy prawosławny?“ — „Prawoławny“. — „Przyjmij naszą wiarę, to cię wyspowiadam“. Tłómaczył się naiwnie, że nie może swej wiary zmieniać, bo coby matka powiedziała, „ale kiedy wrócę do domu, to zostanę katolikiem, jeżeli rodzice pozwolą“. Odszedł smutny, stanął przy drzwiach kościelnych i spoglądał często na konfesyonał. Skoń-

czyłem spowiedź św., a on dalej stoi. Zbliżam się do niego i mówię mu, aby poszedł do domu, jeżeli nie chce zostać katolikiem. Z miejsca nie chce się ruszyć. Dopiero wtenczas rozwiązała się cała zagadka, kiedy wyjąłem z kieszeni medaliki Najśw. Maryi Panny. Widział, jak innym przy konfesyonale rozdawałem, stąd jego smutek i czekanie, że on żadnego nie otrzymał. Widząc jego bolesną twarz, dałem mu także jeden; przypatrzył mu się, ucałował go i uradowany odszedł. Westchnąłem za nim do Maryi, aby i jemu swe miłosierdzie okazała.

Na drugi dzień zgłosiło się do spowiedzi jeszcze kilku Polaków i Niemców.

Rezultat ogólny był dobry. Pastoryzacya w tem miasteczku zupełnie się powiodła. Ks. Proboszcz był bardzo zadowolony, dziękował za przybycie i prosił, aby na drugi rok znów przyjechać.

Po południu opuściłem to wdzięczne pole pracy i drogą na Bremę wróciłem do Wilhelmsburga.

Czas wyznaczony na pobyt w Wilhelmsburgu zbliżał się do końca. Rzuciłem jeszcze raz okiem na tutejszą Polonię i stawiałem sobie pytania, czy czego nie zaniedbałem dla dobra ich dusz, czy strejk się nie odnowi? Sumienie mi niczego nie wyrzucało. Uczyniłem przecież wszystko, co tylko w swej nieudolności uczynić mogłem; widziałem, jak chętnie garnęli się do konfesyonału, jak obiecywali poprawę, mogłem więc być spokojnym i pewnym, że drugi raz buntować się nie będą. Przed odjazdem zebrałem ich jeszcze raz w kościele; na ostatniem kazaniu wyraziłem im swą radość i zadowolenie z gorliwego przyjmowania Sakramentów św. i zachęcałem do wytrwania w dobrem.

Praca była skończoną. Jak przed pięciu tygodniami przyjechałem tu z sercem przytłoczonem ciężarem niepewności i obaw, tak teraz mogłem wracać całkiem spokojny i na duchu podniesiony. Że wszystho tak gładko poszło, to zawdzięczać muszę jedynie łasce Bożej; nie brakowało mi jej, bo, jak się później dowiedziałem, poczciwa dyrektorka mo-

dliła się codziennie razem z dziećmi szkolnemi, aby mi Bóg we wszystkiem błogosławił. Bogu niech będą dzięki za wszystko.

Stąd pojechałem do Hildesheim zdać sprawę Najprzew. Księdzu Biskupowi. Arcypasterz pytał się z niepokojem, czy strejk się nie powtórzy. Zapewniałem go, że nie. Następnie przedstawiłem mu prośby Polaków w Wilhelmsburgu, a mianowicie, aby 1) tamtejszy Ks. Proboszcz powiększył liczbę nabożeństw z polskim śpiewem i aby 2) o ile możności jak najprędzej zamieszkał na stałe w Wilhelmsburgu ksiądz polski lub niemiecki, władający biegle językiem polskim. Prośby te przyjął chętnie. Co do pierwszego, mówił, niema żadnej trudności, a co się tyczy obsługi duchownej, postanowił zaraz wysłać księdza do Poznania, aby się języka polskiego nauczył.

— — — — — — — — — — — — —

Myśli moje pobiegły w inne strony. Tu nie mogłem dłużej pozostać, bo czekała na mnie inna praca. Zbliżał się maj — dzieci szkolne czekały na przygotowanie do I. Komunii św. Wracałem z pospiechem i radością jeszcze z innej zupełnie ubocznej przyczyny. Oto rozeszła się po Tarnowie pogłoska, że już nie żyję — niektórzy opowiadali, jako rzecz całkiem pewną, że w Wielki Piątek był mój pogrzeb. Chciałem więc czemprędzej przyjechać i pokazać się w swej własnej osobie, aby przeciw tej niegodziwej plotce zaprotestować i podziękować osobiście tym, którzy łzy przelewali i za spokój mej duszy Msze święte zamówili.

Ks. Ignacy Dudziak.

Wśród wojny.

Księża Misyonarze.

Odporyszów. *W październiku 1915 r.*

Wśród ogólnej powodzi klęsk i okropności obecnej wojny nie mógł Odporyszów pozostać nieuszkodzony. Kościół nasz i wieża dominują ponad niziną Dunajca, zewsząd widoczne, od szańców obu armii kilka tylko kilometrów odległe, a przecież linia bojowa trzymała się koło Żabna przez czas od 16. listopada 1914 do 6. maja 1915 r. Użyliśmy też wszystkich nieprzyjemności wojny i byliśmy cały ten czas narażeni nie tylko na śmierć od granatów i szrapneli, ale i na rekwizycye często bezpłatne, czasem banalnie płacone, i na rewizye nocne bezpodstawne i na kwaterunki wprost straszne, a dla całości przytrafiło nam się i aresztowanie i pomniejszy rabunek, naturalnie bierny. Było i głodno i chłodno i straszno, ale zostaliśmy przy parafii, bo nam stały w pamięci słowa Zbawiciela: „A najemnik i którego nie są owce własne, widzi wilka przychodzącego i opuszcza owce, a wilk porywa i dusi". Dnia 5. stycznia trafiła kula w dach naszego domu poraz pierwszy; złamała 2 krokwie i 4 belki sufitowe, eksplodując przytem na strychu. Siła wybuchu zwaliła wschodni szczytowy mur i półtrzecia komina, a dachówkę całą rozrzuciła naokoło domu. Druga kula, która padła między kościół i dom, siłą wybuchu pokruszyła szyby w oknach obu kurytarzy i powyrywała zamki w drzwiach, prowadzących z pokojów na kurytarz. Kościół pozostał nieuszkodzony, choć strzałów tego dnia padło dziewięć. Z ludzi nikt nie został zabity, tylko braciszek nasz Jan Kołkowski zraniony lecącymi

gruzami wraz z chłopcem służącym, kilka dni chodził obandażowany. Sztab rosyjski, który wtedy zajął w domu naszym kwaterę, szybko, bo tego samego dnia uszedł w odleglejszą stronę, ale strzelanie do kościoła nie ustało zaraz. Czasem był tydzień przerwy, ale takie przerwy trafiły się coś tylko trzy razy, a pozatem co drugi lub trzeci dzień, często i co dzień szła w kościół strzelanina, a on stał nieuszkodzony aż do kwietnia Dnia 28. kwietnia 1915 r. kulami zapalającymi trafiono w dach kościelny tuż obok sygnaturki i z obu jej stron, jak dwa krwawe ramiona, podniosły się w górę dwa olbrzymie płomienie. Bronić nie można było, bo strzały nie ustawały; gdy ustały, rzucono się do wynoszenia chorągwi, ławek, ołtarzy itd. Udało się przy pomocy Bożej obronić prawie całkowicie wnętrze kościoła, tak samo krokwie na plebanii i graty znajdujące się tam, a objęte płomieniem, dogaszono.

Już dnia 30. kwietnia celnym strzałem trafiono w hełm wieży tuż pod krzyżem; spaliła się dzwonnica z zegarem i dzwonami, belkami, gołe tylko mury zostały. Msze św. po spaleniu kościoła odprawialiśmy w sali odpustowej, ale że i tam było bardzo niebezpiecznie od kul, więc przenieśliśmy się do zakrystyi. Opisać w krótki sposób, co przechodzi ludność na linii bojowej zostająca, nie podobna; a że to, cośmy przeszli, jest nader maleńką jeszcze cząstką bólu kraju całego, więc nie może to być tak dalece interesujące; gdy całe sukno czerwone, to nie znać na niem kropli czerwonej. Strzałów armatnich różnego kalibru, które padły w stronę kościoła, naliczyliśmy 320, z tych 22. kwietnia popołudniu padło 125 i dziwna rzecz, że żadnej znaczniejszej szkody te 125 strzały nie uczyniły, choć celne były. Z ludzi miejscowych od kul zginęła tylko jedna staruszka z niemowlęciem (wnuczką) w łóżku leżąca. Granat trafił w chałupinkę, w której leżała, a wyjść nie chciała, choć ją ostrzegano, że kule idą w kierunku tego domku. Ojciec jej synowej, który też nie chciał uciekać, bo się wtedy właśnie golił, od wybuchu rzucony został pod łóżko i ze strzaskaną odłankiem granatu

ręką uciekł. Moskali przez cały czas w Odporyszowie samym zginęło trzech, a dwóch było zranionych.

Dnia 5. maja weszły do Odporyszowa patrole niemieckie, a już 8-go złamawszy opór wojska rosyjskiego pod Dąbrową i Olesnem, wyszły sprzymierzone armie, tak żeśmy znów odetchnęli wiejską ciszą. Jakie to błogie uczucie po takich tarapatach odetchnąć swobodnie, to każdy łatwo zrozumie. Ale nerwy nie tak prędko się uspokoiły; wiele też niedomagań do dziś dnia dolega. Kościół prowizorycznie nakryty papą przy silniejszym wichrze traci swe okrycie; dzwonów nie mamy, organy zniszczone, dzwonnica nie nakryta, przez zimę dużo zniszczeje. Wielu parafian bez dachu, przepracowani, bo w każdym domu najsilniejszych brak ludzi, a i dom nasz niszczeje, bo choć kilku gatunkami dachówki nakryty, rynien i gzemsów niema, więc zacieka wszędzie. Z tęsknotą czekamy, jak Noe gołębicy — zwiastunów pokoju.

Ks. Krzyszkowski.

Milatyn Nowy. *20. sierpnia 1915.*

Rok prawie upływa, jak pisałem ostatni raz. Zawierucha wojenna odcięła nas zupełnie od domu naszego Zarządu, nareszcie Opatrzności zarządzenie pozwala znowu nawiązać zerwaną korespondencyę. Zapewne ciekawi księdza Wizytatora nasze położenie, dlatego po krótkości opiszę, co u nas się działo od sierpnia ubiegłego roku.

26. sierpnia najechało Milatyn Nowy i jego okolicę wojsko rosyjskie około południa. Stało się to tak nagle, żeśmy jeszcze rano nie przypuszczali tego, co miało się stać popołudniu. Między Kozłowem, Rzepniowem a Buskiem rozegrała się bitwa zacięta, w której porażkę poniosły po czterogodzinnej walce wojska austryackie. Popalono granatami okoliczne wsie i dwory. 27. sierpnia mieliśmy już Moskali w Milatynie. Siedzieliśmy przez 2 dni w piwnicy pod kościołem i w kościele, obawiając się pocisków armatnich, które jak gęsty deszcz latały nad głowami naszemi. Po dwóch dniach panika minęła, odzyskaliśmy względny spokój, masy wojska,

koni, wozów przesuwały się przez nasze miasteczko. Byliśmy zupełnie odcięci od świata, ani poczty, ani kolei, ani gazet. Nieład, nierząd zapanował wszędzie; chłopstwo ruskie (moskalofile) rzuciło się na dwory, na żydów, na panów, rabowały wszystko, co wpadło w ich ręce: zboże, sprzęty, prowianty na czas wojny, rozbijano sklepy, piwnice, szafy, kasy, a sołdaty przeciągające dopomagali im w tem dzielnie. Po miesiącu takiego rabunku nastała pewna cisza. Najwięcej ucierpieli żydzi i dwory. Chłopi zabrali wszystkie sterty pszenicy, żyta, owsa, siana, koniczyny, chłopi wykopali dworskie kartofle. Nie miał kto bronić cudzej własności, władzy nie było, obywatelstwo pouciekało za granicę lub z wojskiem austryackiem. Nareszcie rząd rosyjski zaprowadził posterunki żandarmeryi, starostwa, uporządkował gminy i był odtąd jaki taki ład i porządek. A nawet było nam dobrze. Ludność wróciła do równowagi, do pracy; nabożeństwo po kościołach i cerkwiach powróciło do dawnego porządku; nastały jarmarki, drożyzna się zmniejszyła, do Lwowa można się było dostać choć za przepustką, a nawet gazeta od czasu do czasu dostała się nam do rąk.

Tak trwało do połowy czerwca b. r. Gdy Moskaliska zmuszeni do cofania się, dotarli już do Lwowa, rozpoczęła się i dla nas nieszczęsna godzina. Wywożono młodzież do Rosyi od 18 lat; wszystkie konie, krowy, kury, świnie, ziarno zabierano gwałtem. Całe wsie mężczyzn, kobiety, dzieci, starców (moskalofilskie wsie) wysyłano do Rosyi. Wsie, dwory, żydów palono. Dojrzewające zboże koszono lub walcowano, aby German nic nie miał, gdy przybędzie. Co się wtedy działo, to trudno opisać!

Dnia 22. czerwca zjechał do nas sztab korpusu (25 wyższych oficerów, żołnierzy około 50); sztab zajął całe probostwo, nas wyrzucono. Cały tydzień gospodarował tu na probostwie. W dzień biwakowano, w nocy orgie. Ogród splądrowano końmi, wozami, cały dom podobniejszy był do stajni aniżeli do rezydencyi księży. Zaraz w nocy o 11-tej zwołano całe Zgromadzenie do stancyi, przy drzwiach postawiono żoł-

nierzy uzbrojonych. Potem zabrano mnie, prowadzono między bagnetami w nocy do kościoła, gdzie policya (około 10 ludzi) robiła rewizyę. Przeszukano cały kościół, piwnice pod kościołem, strych, zakrystye, każdy schowek, szyfladę i szafkę, odrywano antypedya, stopnie ołtarzowe. Szukano widocznie za telegrafami i bronią, ale nie znaleziono, bośmy się nigdy w takie rzeczy nie bawili. Zagrożono mi, że jeżeli nie zeznam i nie pokażę wszystkich skrytek i zamilczę coś, natychmiast mnie wywiozą i ciężko ukarżą. Po dwóch godzinach zostawiono mnie w zakrystyi, klucze od kościoła odebrano mi na cały tydzień, a przed kościołem postawiono straż. Rewizya powróciła do domu, puszczono księży, a braci zabrano do rewizyi domu. Przy rewizyi wiele nam rzeczy poznikało małej wagi, ale bardzo na prowincyi przydatne, np. nożyczki, scyzoryki, szczotki, ołówki, lornetki, brzytwy, notatki, latarki etc. Skonfiskowano 5 butelek koniaku, bo tyle było w piwnicy, 1 flaszkę spirytusu i około 150 butelek wina. Na tem skończyła się pierwsza rewizya. Nad ranem tejże nocy otwarto kościół i dobijano się znowu do zakrystyi, ale nie otwarłem, udałem, że śpię, choć ze strachu i zdenerwowania o spaniu mowy być nie mogło. Byłem przekonanym, że zaraz z rana zostanę aresztowanym i wywiezionym, to też bardzo rano odprawiłem Mszę św., polecając siebie i swoją parafię opiece Bożej. Po Mszy próbowałem wyjść z kościoła, prosiłem żołnierza stojącego na warcie, aby mnie puścił, zapewniając, że zaraz powrócę. Nie uwzględniono mojej prośby, a kiedy oświadczyłem, że muszę wyjść, usłyszałem wyrok śmierci: „ja budu strylał!“ Dzięki odwadze ks. Piaseckiego wypuszczono mnie około 8-mej godziny i usunięto wartę od kościoła. Poszedł bowiem ks. Piasecki do komendanta, przedstawił mu całe położenie i uzyskał tym sposobem uwolnienie. Na drugą noc znowu zamyślano urządzać rewizyę kościoła i domu. Było mi już dosyć tego. Zebrałem całą odwagę i przez drzwi zamknięte zakrystyi beształem na całe gardło policmajstra i jego świtę. „Porąbcie mnie w kawały, aresztujcie, nie otworzę wam. Jesteście rabuśniki, nie chodzi

wam o telefony ani o broń, ale chodzi wam o wino w piwnicy. Bądźcie pewni, że cała Europa będzie wiedzieć o tem, co wyrabiacie. Ogłoszę w gazetach, jak sztab rosyjskiej armii napada księży po nocach, jak się upija cudzem winem, jak niepokoi niewiasty, niech wie świat, jacy wy ludzie jesteście, zresztą proszę przyjąć do wiadomości, że mamy Przełożonych we Francyi, a więc przez Paryż postaram się o to, aby Petersburg wiedział, jak się zachowują jego rycerze wojenni, zamiast pilnować wojny, oni pilnują piwnicy, kieliszków, wina". Ostatni argument, zdaje mi się, poskutkował dobrze, odeszli od drzwi, poszli na probostwo, poradzili coś i więcej mnie nie pokoili. Brat Antoni tylko tyle posłyszał, jak jeden z nich te powiedział słowa: „Ksiądz proboszcz ma zupełną racyę, wie, o co nam chodzi".

Nazajutrz zabrano nam dzwony kościelne, tłómacząc nam, że to robią tylko dlatego, aby ich German nie zabrał na armaty, również zabrano konie, krowy, świnie, kury, wozy, wózki, koniczynę, siano z łąki, skoszono mięszankę, owies, jęczmień, a to wszystko, aby German, gdy przyjdzie, nie miał żadnej wygody. Ponieważ klucze od kościoła zabrano, więc przez cały tydzień siedzieliśmy po nocach koło kościoła, obawiając się rabunku świątyni naszej, którą się wszyscy zachwycali. Nareszcie dnia 3. lipca wyjechał sławny ten sztab z probostwa, zabierając z sobą koce, poduszki, łyżki, widelce, noże, kieliszki, szklanki, mapy z korytarza etc. Po sztabie wpadli jeszcze kozacy, plądrując wszystko, przewracali cały dom, gospodarstwo, rozbijali szafy, biurka, pas ekę i odgrażając się, że będą palić wszystko, bo taki mają rozkaz. I kto wie, czyby do tego nie było przyszło, ale rublami, winem, herbatą głaskaliśmy te tygrysy, jak mogliśmy. Po kozakach już wieczorem zajechał jeszcze automobil z wojskowymi i 2 kozakami, a po spisaniu protokółu zaaresztowano i zaraz z sobą zabrano p. Adama Thulliego, marszałka powiatowego, i kleryka Wawrzyńca Woźniackiego, którzy się byli do nas schronili w tej ciężkiej dobie. Wywieziono ich, Bóg raczy wiedzieć, dokąd i dlaczego, podobnie jak wszystkich

panów okolicznych i wielu księży tak łacińskiego jak i greckiego obrządku.

Nazajutrz, t. j. 4. lipca ujrzeliśmy nareszcie upragnione patrole austryackie, a niedługo potem i wojsko. Cały Milatyn zadrżał z radości. Mimo pocisków uciekających Moskali wszystko wybiegło z lochów, z piwnic, z kryjówek na rynek. Całowano ręce upragnionych żołnierzy austryackich, wieńczono kwiatami, klękano nawet przed nimi, płakano z radości, a z ludem i my płakaliśmy, jak oni Ojcowie w otchłani w dniu Zmartwychwstania Pańskiego. Wśród ogólnej tej radości nie brakło i smutku. Gdy się jeden z poważniejszych gospodarzy naszych wychylił z domu, aby zobaczyć i powitać zjawiające się patrole austryackie, ugodzony strzałem moskiewskim, padł na miejscu bez życia. Bogu niech będą dzięki, że żyjemy, że mamy kościół cały i dom!

W następną niedzielę odbyło się bardzo uroczyste nabożeństwo dziękczynne, w czasie którego oficerowie sztabowi odśpiewali na 4 głosy Mszę łacińską z największą precyzyą. Obecnie mamy tu już 6. tydzień wojska madziarskiego moc wielką, a detonacya armat i moździerzy austryackich i moskiewskich niszczy nasze nerwy we dnie i w nocy. Jesteśmy 6. tydzień wśród ognia, plac boju 5 kilometrów od nas, granaty i szrapnele huczą nad głowami naszemi i padają niedaleko naszego kościoła. Z obawy, aby nam granat nie spalił domu, powynosiliśmy sprzęty, ubrania, bieliznę, książki do zakrystyi i piwnic kościelnych; noce spędzaliśmy w zakrystyi, a gdyśmy się już przyzwyczaili do grania armat, spędzamy teraz noc w pokojach, ale i tu zrywamy się od czasu do czasu, gdy nocne szturmy zanadto trzęsą domem i ruszają oknami lub drzwiami.

Urodziny Najjaśn. Pana obchodzono bardzo uroczyście. Po kościołach i kaplicach nakazała wojskowość nabożeństwa, kościoły, domy poubierano flagami austryackiemi, polskiemi, węgierskiemi. Na galowy obiad do sztabu otrzymałem zaproszenie. Byłem z ks. Piaseckim. Z całej okolicy zaproszono tylko nas. Kościół nasz odwiedzany codziennie przez wojsko-

wych. W niedzielę dwa kazania węgierskie, rano homilia, a po południu różaniec i przygotowanie do św. spowiedzi. Na sumie co niedzielę albo gra muzyka albo chór śpiewa na głosy z akompaniamentem skrzypiec. Chór złożony z samych oficerów sztabowych śpiewa nadzwyczaj pięknie; w sobotę urządzając zawsze próbę.

Cholera jeszcze dziesiątkuje ludność okoliczną, ale jednak z dniem każdym maleje. Biały Kamień jeszcze w rękach moskiewskich. Biedni nasi konfratrzy! prawdopodobnie wiele cierpią, bo czasu mają tam Moskale zawiele na niszczenie! Wszyscy prosimy bez ustanku Boga o pokój i szczęśliwe zakończenie wojny. Drożyzna u nas nie do uwierzenia. Taki tu czas teraz, że można mieć skrzynie złota, a umrzeć z głodu. Mięsa, mąki nie dostanie za najdroższe złoto. Za lichą krowę płaci wojsko 1000 koron. Co będzie, jak tak długo potrwa! Serce pęka, gdy się widzi, jak ludziska z ewakuowanych wiosek żebrzą o kawałek lichej strawy. Są między nimi ludzie, którzy się mieli dobrze, dziś chaty ich popalone, a zboże w polu gnije, bo ogień karabinowy nie pozwala im się zbliżyć do wioski rodzinnej — a takich setki!

Ks. Buchhorn.

Białykamień. *4. września 1915.*

Od 29. sierpnia jesteśmy pod panowaniem Austryi. Trudno opisać wszystko, co się przez ten cały rok przecierpiało, a zwłaszcza w ubiegłą niedzielę, w którym to dniu toczyła się straszliwa walka. Nasz dom ucierpiał dużo od granatów rosyjskich: kuchnia zburzona przez dwa granaty, zaś jeden granat trafił w schody, rozwalił je i wybił wielką dziurę w murze. My tymczasem, ja z ks. Moszyńskim z Oleska i dwaj bracia, siedzieliśmy w piwnicy. Zdawało nam się, że koniec nasz się zbliżył, Dopiero na drugi dzień, w poniedziałek, schroniliśmy się do Sióstr. Moskale ustąpili dopiero w nocy z wtorku na środę. Usadowili się na wzgórzach, więc tak trudno było ich stamtąd wypędzić. Nie możemy się nadziękować P. Bogu za tę Jego opiekę, jakiej doznaliśmy w chwilach dla nas najkrytyczniejszych.

Ks. Rożek zakończył swoje cierpienia dnia 14. sierpnia, a w dniu Wniebowzięcia pochowaliśmy go. Do ostatniej chwili łudził się stanem swego zdrowia, myśląc, że to tylko katar żołądkowy.

Moskale zabrali dzwony z naszego kościoła, innej szkody kościół nie poniósł w tym roku.

Ks. Wilhelm Wrodarczyk.

Kaczyka.

Zamierzam dać w streszczeniu obraz inwazyi rosyjskiej w Kaczyce.

Z początkiem września 1914 r. zostały zajęte Czerniowce. Już wtedy musieliśmy być przygotowani na wszystkie ewentualności. Wojska rosyjskie posuwały się z każdym dniem dalej ku południowej Bukowinie; niebawem zajęły Seret. Dnia 14. września wybuchła pierwsza panika w Kaczyce: „Moskale nadciągają!“ Urzędy pozamykano; urzędnicy wyjechali, jedni do Dorna Watry, drudzy do Wiednia. Po tygodniu uspokoiły się przestraszone umysły, a urzędnicy zaczęli powracać do domów. Moskale stanęli w Serecie i nie mieli zamiaru iść dalej. Chcieli na Rumunię wywrzeć nacisk, aby wkroczyła do południowej Bukowiny i zajęła ją dla siebie. Tymczasem Rumunia oświadczyła się za neutralnością. Część prasy rumuńskiej bałamuciła i buntowała lud przeciw Austryi, lecz zmarły król Karol oświadczył się stanowczo przeciw wojnie. Krążyły mimo to różne wieści tak, żeśmy tutaj na pograniczu byli w ciągłej obawie. Z początkiem października posunęli się Moskale poza Seret; patrole pokazały się w Hadikfalvie i znowu panika w Kaczyce. Było to w sam odpust Matki Boskiej Różańcowej, 4. października. Ludzie, którzy z okolicy na odpust przybyli, pouciekali ze sumy. My znowu w strachu. Cały tydzień żyliśmy w obawie, że lada dzień mogą wpaść Moskale. Poczta nie funkcyonowała, także telegrafy i telefony; wszystko w zdenerwowaniu i niepewności nieomal wpadało w rozpacz. Uspakajaliśmy lud, jak umieliśmy. Gromadziliśmy go na nabożeństwa w kościele i dzięki Bogu po dwóch tygodniach ułożyło się wszystko do spokoj-

niejszego poziomu. Zdawało się, że Moskale już chyba w nasze góry na zimę nie przyjdą. Spokojnie przeżyliśmy listopad i grudzień. W ostatni dzień starego roku weszło do Kaczyki nasze wojsko. Dowiedzieliśmy się wtedy, że sytuacya się pogorszyła. W tym samym dniu nastąpił odwrót dalej w góry. Moskale zajęli już Radowce, Suczawę i każdej chwili mogli wpaść do Kaczyki. Wszystko uciekało w popłochu. Nasi urzędnicy przez górę Kruczą, Plesz do Gurahumory. Znowu strach! Nie mogliśmy nawet odprawić wieczornego nabożeństwa na zakończenie starego roku. Doczekaliśmy szczęśliwie roku nowego, atoli każdy rozglądał się bojaźliwie, czy Moskale przypadkiem nie nadciągają. Nadszedł wieczór — nieprzyjaciel się nie pokazał. Z rana dnia 2. stycznia słyszymy, że patrole moskiewskie pojawiły się w Botuszanie, t. j. 7 klm. od Kaczyki. Byliśmy pewni, że lada chwila wpadną do nas. Jakoś jednak i ten dzień przeszedł i skończyło się tylko na strachu.

W niedzielę, dnia 3. stycznia z rana, przyjechali Kozacy do Ober-Pertestie, wioski, sąsiadującej z Kaczyką. Ja z całym spokojem odprawiłem sumę, ufając, że Matka Boska nasza będzie nas miała w Swej opiece. Skończyło się nabożeństwo, lud rozchodził się do domów, aż tu słyszę krzyki: „Kozacy jadą!“ Wybiegam z plebanii i rzeczywiście spostrzegam trzech na koniach w olbrzymich czapkach (kuczmach). W niczem oni nie podobni do naszych kawalerzystów, lecz raczej do jakichś bajecznych skrzatów. Ludzie uciekali, co mogli do domów i ja również do pokoju. Przejechała ta patrol przez całą Kaczykę, za nimi pojawił się liczniejszy oddział Kozaków z oficerem, którego całą odznaką była duża około pół metra wysoka biała barankowa kuczma. Ochłonąłem z pierwszego przerażenia i wyszedłem przed dom, żeby się tym dyabłom bliżej przypatrzyć.

Wkrótce zaczęło nadciągać regularne wojsko i tren z kuchniami polowemi, które z początku uważaliśmy za armatki polowe. Weszło około 4000 chłopa do naszej małej górskiej mieściny. Zajechały samochody ze sztabem generalnym, który ulokował się w domach urzędników salinarnych.

Większa część wojska rozlokowała się w zabudowaniach salinarnych, reszta zaś rozeszła się po domach prywatnych, szukając przytułku. Ja musiałem oddać dom pielgrzymów na nocleg dla żołnierzy, a na probostwo przyjąłem tylko 3 kaprali. Muszę być sprawiedliwym i przyznać, że zarówno na probostwie, jak i w domu przeznaczonym dla pielgrzymów, zachowali się Moskale uczciwie, nic w nich nie zginęło. Żołnierze byli dobrze i ciepło poubierani, wyglądali zdrowo i dziarsko, a pożywienie mieli znakomite. Nas księży i ludność kaczycką traktowali po ludzku. Na drugi dzień pomaszerowali dalej w góry, ku Gurahumorze i Kimpolungowi. Na miejscu pozostała jedna sotnia Kozaków, których później zluzowali landszturmiści. I ci ostatni nie byli najgorsi. Widocznie musieli mieć jakieś wskazówki z góry, bo splądrowali tylko mieszkania urzędników salinarnych oraz zrabowali doszczętnie sklepy i mieszkania miejscowych żydków. Ludziom zabierali tylko drób. Po tygodniu przejeżdżali przez Kaczykę na ślicznych koniach Turkomani, wojsko z Turkestanu, wszyscy wyznania mahometańskiego. Kilku oficerów wstąpiło do nas na pogadankę; mówili ładną niemczyzną. W pobliżu Kaczyki nie było żadnej bitwy, lecz dopiero w górach w Kirlibabie, Waleputnie, na stokach w Mesztykanesti i Czokanesti. Huk armat dochodził aż do nas. Najgłośniej słychać było ich straszną wymowę w dniach 18., 19. i 20. stycznia. Wtedy to zawrzała walka na dobre. W bitwach brali udział także i nasi legioniści polscy i przyczynili się wiele do zwycięstwa armii austryackiej.

Moskale widząc, że i tędy droga do Siedmiogrodu dla nich zamknięta, rozpoczęli dnia 1. lutego odwrót. W sobotę 1. lutego, wyniosła się i nasza sotnia, a w niedzielę, 7. lutego, byliśmy już wolni od Moskali. Przy odwrocie nie wyrządzili żadnych szkód ani ludziom ani w salinach, tylko mosty palili za sobą. W Kaczyce nawet i tego nie zdążyli zrobić. Nasze patrole pojawiły się w poniedziałek, 8. lutego, a w środę maszerowało już zwycięskie wojsko naprzód, prąc przed sobą nieproszonych gości. W czasie inwazyi nie od-

czuwaliśmy żadnego braku w artykułach spożywczych. Fury jeździły do Ickan i Rumunii, przewożąc stamtąd, co było potrzeba.

Dom nasz nie ucierpiał nic w czasie inwazyi. Było nas razem tylko trzech, t. j. ja, ks. Wochowski i braciszek Karol. Ks. Bibrzycki musiał wyjechać do Prus w sprawie wojskowej i bawił tam od początku października 1914 do końca maja 1915. Z powrotem z Prus zatrzymał się w Krakowie, nie mogąc otrzymać paszportu na Bukowinę. Dopiero pod koniec sierpnia udało mu się przyjechać do Kaczyki.

Mieliśmy w domu naszym przez jakiś czas przed inwazyą dwóch OO. Jezuitów z Czerniowiec jako uchodźców, a w czasie inwazyi kanonika ormiańskiego, ks. Łukasiewicza.

Praca kościelna szła zwykłym trybem. Moskale przychodzili także na nabożeństwo i zachowywali się w kościele uczciwie.

W czasie Wielkiego postu pomagaliśmy, jak zwykle, księżom kondekanalnym w słuchaniu spowiedzi wielkanocnej w parafiach w Radowcach, w Karlsbergu, w Gurahumorze, w Solce i w Jakobenach. Odpust nasz wielki na Wniebowzięcie nie odbył się w r. 1914 tak okazale, jak w inne lata, a tego roku władza polityczna nawet zakazała wszystkich zewnętrznych uroczystości odpustowych, z obawy przed epidemią.

Oto pokrótce obraz zdarzeń od wybuchu wojny aż do początku grudnia 1915 roku.

Ks. Wojciech Grabowski.

Siostry Miłosierdzia.

Rzeszów. *10. lipca 1915.*

Z początkiem mobilizacyi powołano do służby wojskowej wszystkich naszych trzech lekarzy. Ponieważ jednak przydzieleni zostali do służby w szpitalach wojskowych miejscowych, pełnili równocześnie obowiązki lekarskie i w naszym szpitalu. Stan ten trwał do 20. września 1914, w którym to dniu z powodu działań wojennych musiały wojska nasze

opuścić Rzeszów. Równocześnie wyjechali Dr. Zagórski i Dr. Teller, których Wydział krajowy upoważnił do pomocy naszym lekarzom za remuneracyą po 100 K miesięcznie. Chorych było również w szpitalu mało, gdyż w myśl rozporządzenia Wydziału krajowego wydalono lżej chorych i ograniczono przyjmowanie tychże do najcięższych przypadków. Od 15. sierpnia 1914 zaczęto zwozić do szpitala chorych rannych żołnierzy, początkowo po kilku, a od 20. sierpnia w większej ilości, np. 70 chorych żołnierzy naraz, a po jakimś czasie rannych transportowano dalej, a na ich miejsce przywożono nowych. Wówczas to liczba leczonych w naszym szpitalu dochodziła do cyfry 180, zaś chorych cywilnych było około 20. Przy ewakuacyi Rzeszowa, dnia 20. września 1914, wywieziono również wszystkich rannych żołnierzy, a pozostawiono tylko 5 ciężko chorych, prócz tego zostały w zakładzie 4 osoby cywilne. Po zajęciu Rzeszowa przez Rosyan, zaczęto zwozić do szpitala rannych i chorych żołnierzy rosyjskich, a w małej liczbie i austryackich, których cyfra razem dochodziła również do 180 osób i wyżej, prócz tego było w szpitalu około 10 chorych cywilnych. Leczeniem i opatrywaniem rannych żołnierzy zajmowały się nasze Siostry, które od świtu do późnej nocy niezmordowanie pracowały z uznaniem rosyjskich lekarzy. Leczeniem zaś wewnętrznie chorymi zajmował się Dr. Puchalski, który był pozostawiony przez wojska austryackie w Rzeszowie wraz z ciężko cierpiącymi na zakaźne choroby żołnierzami w barakach. Dnia 6. października 1914 wyparły wojska nasze Rosyan z Rzeszowa. Rosyanie pozostawili w szpitalu 49 chorych na dur brzuszny, 52 austryackich żołnierzy. Potem zaczęto dostawiać do Zakładu rannych żołnierzy austryackich tak, że stan chorych żołnierzy podniósł się do cyfry 170 dziennie i wyżej, tak że nawet kancelarya nie była w stanie wszystkich zapisać i umieścić w ewidencyi o dziennym ruchu chorych. Po wkroczeniu naszych wojsk przybyła „Grupa chirurgiczna Dra Balnera“, 3 lekarzy, 8 pielęgniarek z Czerwonego Krzyża i żołnierze sanitaryusze, którzy wspólnie pracowali z naszemi

Siostrami, lecz wobec naszych Sióstr Grupa ta zachowała się nieprzychylnie. Dnia 5. listopada 1914 „Grupa Dra Balnera“ wyjechała, pozostawiając w Zakładzie kilkunastu najciężej chorych i rannych żołnierzy, którzy nie byli zdolni do przewiezienia. Podczas drugiej inwazyi rosyjskiej chorych żołnierzy utrzymywał Zarząd swoim kosztem, od 8. do 18. listopada, leczeniem zaś zajmował się lekarz miejski Dr. Teller, który jeszcze dotychczas opiekuje się chorymi cywilnymi, pozostającymi w pawilonie zakaźnym. Od 18. listopada do 17. grudnia zjechał do nas szpital rosyjski 3. armii i utrzymywał się swoim kosztem. Przydzielono do niego trzech lekarzy rosyjskich, którzy również wspólnie pracowali z naszemi Siostrami i byli dla nich z wielkiem uszanowaniem i przychylnością, następnie od 18. grudnia przyjechał szpital rosyjski „Jekaterynosławski“ Czerwonego Krzyża, 3 lekarzy, 6 sióstr rosyjskich. Dla żołnierzy austryackich rannych przydzielono Dra Menkisa, pozostałego w Rzeszowie, a do wewnętrznie chorych w pawilonie zakaźnym p. Dra Tellera. Dnia 22. stycznia 1915 szpital ten wyjechał, a 23. stycznia zajął znowu nasz Zakład szpital Kaufmański i był do 9. lutego. Tegoż dnia zabrano żołnierzy do szpitala rosyjskiego, gdyż nasz szpital miał służyć dla cywilnych. Dnia 11. lutego zabrano resztę naszych żołnierzy rannych i z pawilonu zakaźnego. Chorzy żołnierze opuszczali szpital z wielkim smutkiem i żalem. Został jeszcze jeden medyk rosyjski, który miał oddać szpital Naczelnikowi garnizonu, komendantowi miasta Aleksandrowiczowi. Dnia 12. lutego przyjechał komendant Aleksandrowicz, aby odebrać szpital i powierzyć Magistratowi miasta. Po wyjeździe szpitala Kaufmańskiego przeszedł szpital na cywilny, którym opiekował się Magistrat miasta. Dla Zarządu okazał się nieprzychylnym, tak co do aprowizacyi, jak i innych punktów. Po kilku dniach przyjechało Towarzystwo rosyjskie „Sojus“. Przydzielono do naszego szpitala z tego Towarzystwa jedną doktorkę i felczerkę. Po dwóch tygodniach z powodu rzucanych bomb Towarzystwo to wyjechało. Dnia 12. maja wkroczyły wojska nasze do Rzeszowa. Ponie-

waż w okolicy tej toczyły się walki, więc też zaraz do szpitala dostawiono wielu rannych, nietylko żołnierzy, ale i cywilnych. Dnia 24. maja objęła szpital II. Grupa chirurgiczna Dra Eiselsberga pod komendą Dra Filipowicza, 3 lekarzy i 8 pielegniarek. Grupa ta po dwóch tygodniach wyjechała, a natomiast objęła szpital Grupa Dra Kukuli z Pragi pod komendą Dra Zahradnička, 3 lekarzy i 3 pielęgniarki. Grupa ta obecnie pozostaje i pracuje wspólnie z naszemi Siostrami i zachowuje się z wszelką przychylnością. *W r. 1914.*

Moszczany.

Ogromne mnóstwo wojska austryackiego, przeważnie Czesi i Tyrolczycy, zdążając ku Rawie Ruskiej, gdzie się pierwsze patrole moskiewskie ukazały, przechodziły gościńcem z Radymna na Laszki, a więc przed bramą Zakładu Sióstr.

Upał był straszny. We wojsku naszem obok mocy ducha łatwo domyśleć się można było wielkiego znużenia fizycznego. Dlatego też, kto pierwszy spotkał nadciągające oddziały, dał tylko znać domowym, a co żyło, a mogło się ruszać, spieszyło z posługą kochanym wojskom: konewki kawy, herbaty, mleka słodkiego, kwaśnego, woda ze sokiem, a jak tych dobrych rzeczy brakło, to i prosta woda studzienna, wszystko to wstrzymywało na chwilkę pochód wojska, które, pokrzepione na ciele i podniesione na duchu dołączonym Medalikiem i serdeczną zachętą do dziecięcej ufności w opiekę Niepokalanej Maryi odchodziło z pieśnią na ustach i gorącą łzą w oku. Gdy im przysługiwało prawo do dłuższego spoczynku na naszem polu, zapraszaliśmy bardziej znużonych do sal przygotowanych już na przyjęcie chorych i rannych. Co to była za radość na widok dobrze posłanego łóżka, miednicy i wody do umycia się z potu i kurzu! Każdy opowiadał, od ilu to już tygodni nie spał na łóżku! I na prawdę, nie tracili czasu, żeby się w niem na dobre ułożyć. Ośmieleni serdecznem przyjęciem i poczęstunkiem, pytali, czy po

obudzeniu dostaną kawiczki? To ich nigdy nie zawiodło. Dawałyśmy wszystko, na co nas tylko stać było, a i kieszonki były na drogę wypakowane, przeważnie owocami. Z żalem żegnaliśmy naszych kochanych gości, zmieniwszy im częstokroć bieliznę, której potrzeba bardzo się im już dawała we znaki.

W pierwszej połowie sierpnia przybył do nas szpital rezerwowy z całą starszyzną lekarską i pościelą na pomieszczenie mniej więcej 300 chorych, ale nie rannych, bo tych jeszcze nie było. Ale zato nie brakowało zapalenia płuc, reumatyzmu i t. p.

W takim miłym, serdecznym, nieomal rodzinnym stosunku z chorymi i z władzami minął dobry miesiąc. Na początku września zaczęły się jakieś złowrogie szepty, tak pomiędzy starszyzną, jak i między żołnierzami, ale od nikogo nic nie można się było dowiedzieć, takie jest poszanowanie dla tajemnicy wojennej. Niepokój jednak zdradzał się u wszystkich. Moskale byli już blizko!...

Około 8. września cała starszyzna odjechała, zostawiając tylko jednego lekarza z chorymi. Odjeżdżają, bo otrzymali rozkaz, ale nie przyznają się, że to ucieczka. Żegnali się z nami, jak z rodziną; prawie wszyscy płakali. Ale też nie podobna było okazać im więcej serca. Sama Siostra Przełożona nie kładła granic poświęceniu i ofiarności. Cały dom najchętniej się do tego przyczynił. Chorzy, dzieci, służba i Siostry ogałacały się prawie z najpotrzebniejszych rzeczy, z pościeli i t. p., byleby ci nasi podwójnie ukochani panowie i obrońcy dobrze i wygodnie obsłużeni byli.

Najgorszy kłopot mieliśmy z chlebem. O głodzie wprawdzie jeszcze nie było mowy. Hrabia Zamojski, odjeżdżając na wojnę, polecił swoim oficyalistom, ażeby cały przychód z majątku był obrócony dla wojska. Korzystaliśmy z tego. Folwark dostarczał nam zboża, żołnierze wozili je do młyna, bo te nie były jeszcze popalone, więc o ile piec mógł podołać, piekłyśmy chleb bez ustanku, ale to wszystko nie

wystarczało! Często wydałyśmy, co tylko było w piekarni, a nawet i w refektarzu, a pomimo to trzeba było nieraz usłyszeć te rozdzierające skargi: „Siostrzyczko! chociaż mały kusek chleba! ja isem moc bohaty, a mam wielki hlad!“... Pokazują pieniądze, chcą kupić, a chleba brak, bo dom w polu, innych mieszkańców niema. Myśmy im chleba nie sprzedawali, którzy mogli i chcieli, sami dawali na Czerwony Krzyż i wychodziliśmy zawsze na swoje, a za biedakami naszymi, jakie gorące wznosiły się modły, żeby się Pan Jezus użalił nad ludem swoim, żeby mu pomnożył chleba.

Do kaplicy, do Komunii św. cisnęli się też poczciwi nasi żołnierze. W medaliki cudowne wszyscy uzbrojeni byli. Wątpię, czy udało się której Siostrze zachować swoją koroneczkę kieszonkową? Oni tak serdecznie o nie prosili, a któżby potrafił czego odmówić tym ofiarom, idącym na taką straszną śmierć?!... Teraz, przeczuwając coś złego, jeszcze więcej garnęli się do Boga.

Dnia 11. września wieczór ksiądz proboszcz i wikary przybyli do Sióstr, ażeby z pierwszym brzaskiem dnia rozpocząć ucieczkę przed zbliżającym się dzikim wrogiem.

Około godz. 2. po północy Siostra czuwająca usłyszała niezwykły ruch pomiędzy wojskiem. Doktór wbiegł na salę chorych i krzyknął: „Auf! auf!“ i coś jeszcze powiedział po niemiecku i wszyscy, co się ruszyć mogli, zerwali się na równe nogi, Siostra pospieszyła obudzić wszystkie Siostry i księży. Chorzy żołnierze za jaki kwadrans byli już gotowi do drogi, pieszo do Radymna. Dla kilkunastu ciężko chorych nadeszły zaraz fury.

Co to za straszny był popłoch w domu! Chorzy, dzieci, służba, nasi przybysze, wszystko to z tłumoczkami na plecach, płacząc i drżąc ze strachu, ścisnęli się przed drzwiami kaplicy, czekając na ostateczną decyzyę: uciekać, czy gotować się na śmierć?... Księża, nie mając już czasu na odprawienie Mszy św., wyspowiadali tylko kilku żołnierzy, domagających się tego, rozdali Komunię św. i poleciwszy nas opiece Boskiej, sami spiesznie opuścili Moszczany.

Żaden język nie potrafi opowiedzieć, a tem bardziej żadne pióro opisać tego przygnębienia, trwogi, jakiejś bezradności, która nas wszystkich owładnęła! Matka nasza Niepokalana patrzała na tę niedolę dzieci swoich, a ze wszystkich piersi wyrwał się, jakby jeden jęk: „Matko! nie opuszczaj nas! Matko! ratuj, bo giniemy!“ „Przepuść Panie! przepuść ludowi Twojemu!“ I rozmodlonym, rozpłakanym, wpatrzonym w Tabernakulum i Matkę Najśw., jakoś się lżej na sercu zrobiło. Jakaś nowa odwaga, jakaś pewniejsza, dziecięca ufność w opiekę Królowej naszej, dodała nam siły. Bo też nam jej trzeba było, nie tylko dla nas samych, ale i dla tych nieszczęśliwych, którzy się całemi gromadami do klasztoru cisnęli Kilkanaście rodzin wieśniaczych z dziećmi i resztą dobytku, kilku oficyalistów hr. Zamojskiego także z rodzinami, nadto rzeczy rozmaitych osób, przysłane do przechowania. Jak ci ludzie czują, że najbezpieczniej w domu Bożym i pod opieką Niepokalanej Maryi. Trzeba więc było zająć się tymi niespodziewanymi gośćmi, a umieścić ich tak, żeby wiele ubikacyi nie zajęli, by nie uszczuplać pomieszczenia chorym.

Tegoż samego dnia, 11. września wieczorem, przywlókł się pieszo ks. Frączkiewicz (mogący mieć około 85 lat życia) z Laszek ze straszną nowiną, że Moskale już się pokazują. Zamieszkał u Sióstr, a widząc całe niebezpieczeństwo położenia, zaproponował, ażeby wszyscy, kto żyje w domu, zeszli się jutro rano do kaplicy, żeby się przygotowali do otrzymania generalnego rozgrzeszenia i Komunii św. i żeby się raczej spodziewali śmierci niż życia, bo straszne pogłoski poprzedzały wtargnięcie Kozaków. Tak się też i stało. Nikogo nie brakło w kaplicy, a z całego nastroju pobożnego można było wnosić, że wielka żarliwość ducha towarzyszyła tej podniosłej ceremonii, mającej nam już zastąpić i Ostatnie Namaszczenie.

Jeszcześmy z wrażenia nie ochłonęli, a Moskaliki już zaczęli zaglądać. Po dwóch, po trzech wchodzili nieśmiało na podwórce, rozglądali się, rozpytywali o Austryjców, prosili czasem o rubaszki (koszule), grożąc odrazu, że jak nie

damy, to oni sami wezmą. Przy takich wizytach radziby byli napić się czego. Siostra Przełożona przyniosła raz flaszkę jakiejś nalewki i chce ich poczęstować, ale Moskal z niedowierzaniem: „niet matuszka, wy preždie sami napiejtieś“ — myślał, że zatrute. Biedna Siostra Przełożona musiała skosztować. „No! tiepier charaszo — uże nie bajuś“. I już spokojnie pili, na końcu podziękowali: „Spasiba wam, Siestrica“, a myśmy były kontenci, żeśmy ich uraczyli, bo wiele nam zależało na tem, żeby sobie tych dzikusów zjednać. Gdzie tylko jeden dom w polu, tam i jeden żołnierz potrafi być wszechwładnym komendantem.

Patrol moskiewska rozlokowała się od strony Laszek, na cmentarzu i pod murem naszego ogrodu, a z przeciwnej strony, od Łazów, patrol nasza ukryta pod mostem i także za murem Siostrzeńskim. Od czasu do czasu wystrzał zdradzał ich obecność. Z mieszkańcami pod mostem znaliśmy się już trochę, ci, co się ukrywali za murem, przychodzili do nas, jak do swojego domu, ale i Moskalom pilno było przypatrzeć się nam bliżej. Raz weszło ich kilkunastu, prosząc o czaj. Siostra zaprowadziła ich do piekarni, gdzie przyjmowało się wszystkich, nawet generałów, dla braku miejsca. Sama idzie do kuchni po czaj. Za piekarnią, pierwsze drzwi, prowadzą do kuchni. Siostra wchodzi i z przerażeniem spostrzega także kilkunastu naszych żołnierzy, którzy sobie spokojnie przyszli „do sestryczek na kawiczku“. Jeden gest ręki, jedno słowo „u c i e k a j c i e“, wymiotło ich z kuchni w oka mgnieniu. Coby to było za nieszczęście, gdyby ich byli Moskale spostrzegli! Wyzbywszy się Moskali, posyłaliśmy stale naszym żołnierzom i kawiczkę i co Bóg dał, prosząc, żeby nie zachodzili tak gromadnie do domu, aby i ich i nas nie narażać na nieszczęście spotkania się dwóch patroli.

We wtorek, 15. września, przyjeżdża porucznik moskiewski, wita nas uprzejmie: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“. Przedstawia się i dodaje, że przybywa, aby nas ostrzedz po przyjacielsku, że nasz Zakład bardzo źle jest zanotowany u władz rosyjskich i że prawdopodobnie

nie minie go wysadzenie w powietrze. Żadne tłómaczenia nic nie pomogą, bo są zbyt silne dowody, że przechowujemy Austryaków, że od nas wychodzą strzały na moskiewską patrol, że mamy telegraf, że światełkami dajemy znaki naszym wojskom i że przechowujemy broń. Na najuroczystsze zapewnienia, że wszystkie te zarzuty są fałszywe, że mamy wprawdzie 7 karabinów, pozostawionych przez uciekających chorych żołnierzy, lecz te są zakopane w ogrodzie... na to aż drgnął z przerażenia. Kazał to przy sobie natychmiast wykopać i wrzucić do stawku. Podczas wykopywania tej broni nadleciał austryacki aeroplan. Nasz oficer płackiem na ziemię i prosił Sióstr, żeby go zasłoniły. Zwiedził dom, zapoznał się z naszemi dziełami, a ujęty szczerością zeznań i widokiem tego schroniska dla wszelakiej nędzy, przyrzekł, że dołoży wszelkich starań, żeby stan rzeczy we właściwem świetle generałowi przedstawić. Przerażenie nasze było coraz większe. Ale też jedynie ufność w opiekę Serca Jezusowego i Niepokalanej Maryi utrzymywała nas w równowadze. Przed rozpoczęciem wojny radzono Siostrze Przełożonej, żeby się wyzbyła choć połowy sierót, ze względu na ciężkie czasy, które staną się coraz cięższemi. Duchem św. Wincentego rządzona, oparła się temu Siostra Przełożona, a teraz posługiwała się niemi jako pośrednikami do Boga. Postanowiono przeto, że jako najniewinniejsze, a zatem najmilsze Bogu duszyczki, będą odbywały nieustającą adoracyę przed Najśw. Sakramentem. Po kilka sierotek, zmieniając się co pół godziny, krzyżem leżąc w kaplicy, odmawiały „Przed oczy Twoje Panie“, „Przepuść, Panie, ludowi Twojemu“, „Nie opuszczaj nas“, zwykłe suplikacye i t. p. pieśni i akty błagalne. Przytem paliły się ciągle dwie świeczki na ołtarzu. Dzieci były bardzo przejęte, to też widok ich bardzo dodatnie wywierał wrażenie, nawet na Moskalach, którym powiedzieliśmy, że dzieci proszą Boga o „mir“.

Na drugi dzień powrócił nasz oficer ze smutną wiadomością, że jego starania na nic się nie przydadzą, bo poszlaki są zbyt silne. Radził nam tylko ucieczkę, jako jedyny

możliwy sposób ratowania życia. Rada w radę. napisałyśmy do komendanta armii, do Bobrówki, że Zakład nasz nie uprawia żadnej polityki, że jest tylko schroniskiem sierót, chorych, ślepych, głuchych, niemych, kulawych, paralityków, epileptyków, obłąkanych, starców, jednem słowem, wszelkiej nędzy. Że przed rozpoczęciem wojny ścisnęliśmy się do ostateczności, ażeby jak najwięcej miejsca zostawić na szpital dla obsługi chorych i rannych żołnierzy, tak austryackich jak i rosyjskich, gdyż nasze Zgromadzenie jest dla wszystkich. Jeżeli jednak fałszywe doniesienia wywołały ten nieprzebłagany wyrok, że dom nasz ma być wysadzony w powietrze, prosimy tedy o przepustkę i o łaskawe ułatwienie nam wyjazdu, jakoteż i tym nieszczęśliwym, którzy u nas mają schronienie, gdyż my już ani wozu ani koni nie mamy.

Z tym listem wysłaliśmy 17-letniego chłopaka, a gdy do drugiego dnia nie powrócił, byliśmy pewni, że go zatrzymano jako szpiega, a może i powieszono! Cóż robić? Posyłać znów kogo? Nie warto! Siostra Przełożona wybrała się z jedną towarzyszką, by osobiście tę sprawę załatwić. Błoto straszne, deszcz leje — przeszło mila drogi polem, piechotą! Po drodze spotykamy żołnierzy, leżących już w dekunkach, kule bez przestanku świszczą w powietrzu, a Siostry wciąż idą, odmawiając akty przy konających, polecając ducha Bogu, bo tu każda chwila mogła być ostatnią. Doszedłszy do Laszek, chciały się dowiedzieć od starszych wojskowych, czy generał rzeczywiście mieszka w Bobrówce, czy wogóle cała ta ciężka wyprawa przyda się na co. Oficer przyjął nas bardzo grzecznie, odradził tej niebezpiecznej i męczącej drogi i przyrzekał, że wyszle natychmiast Kozaka po chłopca i po odpowiedź generała.

Rzeczywiście późno już wieczorem przychodzi nasz chłopak zbiedzony, zgłodniały, przemoknięty do ostatniej nitki! Trzymali go w areszcie. Przyniósł odpowiedź, ale jaką?... „Pozwala się Siostrom Miłosierdzia opuścić Moszczany i przez Rawę Ruską, Lubaczów itd. udać się do Rosyi, jaknajdalej na północ“. Ładna perspektywa!... Widać więc, że wyrok na

dom jest nieodwołalny. Może miny są już podłożone? W każdym razie do Rosyi nie pójdziemy... a gdzież?... Chyba do Przeworska? Na nic nie możemy się zdecydować... wszystkie projekta niepodobne do wykonania. Przeważyły jednak głosy bojących się i zdecydowano ucieczkę. Chorzy chodzący, dzieci, służba, Siostry, wszyscy mają już z wieczora tłumoczki upakowane, a nazajutrz po błocie, deszczu, piechotą, z torbą na plecach, mamy wyruszyć do Przeworska. Biedna Siostra Eleonora Wysocka, będąca już poważnie chora, jękiem tylko tę decyzyę powitała. A tych kilkoro chorych, co się ruszyć nie mogą?... Czy możemy ich opuścić, a same liczyć na pomoc i błogosławieństwo Boże w naszej ciężkiej wyprawie?... Święty Wincenty nie zrobiłby tego... nie opuściłby chorych, ani wyznaczonego Mu z woli Bożej stanowiska... Nie, nie ruszymy się nigdzie, a jeżeli trzeba umrzeć, pomrzemy wszyscy razem, tam, gdzie Bóg chce i tak, jak chce, u stóp Pana Jezusa i Matki Najświętszej. Po tej ostatecznej decyzyi, która się odbyła późnym wieczorem, na dormitarzu, jeszcze raz poleciwszy się opiece Boskiej, poszłyśmy spać, a rano każda powróciła na swoje stanowisko z postanowieniem przyjęcia chętnem sercem wszystkiego, co Bóg dopuści. Wszyscy domownicy ucieszyli się bardzo, że nie potrzebują uciekać i czemprędzej rozpakowali tłumoczki.

Piątek, dnia 18. września, to początek strasznych dni: kilkudziesięciu Kozaków wpada na gazon, a na ich czele pułkownik strasznej powierzchowności, domagający z okropnym krzykiem i pogróżkami wydania mu dwóch austryackich lekarzy. Nie wierzył naszym zapewnieniom, że niema żadnego lekarza. Kazał sobie przedstawić wszystkich mężczyzn, jacy są w domu. Zaaresztował ośmiu. W tej liczbie jeden dzierżawca, dwóch ekonomów i oficyalistów hr. Zamojskiego, ogrodnik, nawet jeden głuchoniemy, któremu z dziką ironią obiecał, że go wnet mówić nauczy. Z pomiędzy przedstawionych mu odłączył zaraz dwóch zdrowych, młodych ludzi, na których mieliśmy zawsze podejrzenie, że są szpiegami na korzyść Moskali — teraz nie mieliśmy już żadnej wątpliwości,

że tak jest. Pułkownik kazał sobie dać klucze od piwnic. Kozakom polecił straż nad jeńcami, a sam z kilkoma innymi rozpoczął rewizyę w całym domu, a raczej rabunek.

Gdy otworzono magazynik z kawą, herbatą, cukrem itd., zaraz wrzasnął: „Dawaj mieszki!“ Na błaganie jednak Siostry Przełożonej, że to jedyny zapas dla całego domu, udobruchał się i kazał sobie dać tylko parę funtów świec stearynowych, za które nawet raczył zapłacić. Ostrzył sobie ząbki na naszą kasę, ale gdy mu Siostra Przełożona pokazała kobiałeczkę z drobną monetą, krzyknął ze złością: „Nie te głupstwa, ale kasa gdzie jest?“ — „Nasza kasa w Krakowie“, brzmiała odpowiedź. Pchnął pogardliwie kobiałkę i pozwolił ją zatrzymać. Widząc, że szpital austryacki parę tygodni był u nas, spodziewał się może, że nam pobyt swój hojnie zapłacił; omylił się bardzo. Ucieczka naszych tak się nagle odbyły i w takiem zamieszaniu, że nikt ani pomyślał o żadnych rachunkach; może je wyrównają po ukończonej wojnie!..

Dalej zwiedzał p. pułkownik cały dom, a nie znalazłszy materyału, nadającego się do rabunku, przeszedł do piwnic, od których już miał klucze. Ale jego „rebiata“ już go uprzedziła: wyłamali kratę w oknie w piwnicy z nabiałem, zjedli parę garnków masła i sera, pakując je bez chleba, prosto do gęby. Co się już nie dało zjeść, wpakowali do kieszeni, masłem wysmarowali sobie włosy, wąsy, garnki porozbijali, mleko powylewali na ziemię. Po odniesionem takiem zwycięstwie czekali ci nasi kulturalni oswobodziciele zapewne na pochwałę, a może i order od godnego naczelnika. Warto ich było odfotografować!.. Nie pochwalił ich jednak, nawet powiedział, że gdyby wiedział, kto to zrobił, kto wyłamał kratę, toby go surowo ukarał, bo ich zakon wojenny nie pozwala rabować. Przyszła kolej na piwnicę z winem. Tam także za późno przyszedł; wyłamali drzwi, pili, ile tylko mogli, nakradli, ile chcieli, resztę wylali na ziemię. Szczęściem, że kilkanaście flaszek przechowało się w piasku. Tyle tylko zostało do Mszy św. Były tam jeszcze i jabłka, choć za wcześnie złożone do piwnicy, ale to dla zabezpieczenia choć tej

odrobiny przed rabunkiem. Otóż wszystkie te jabłka padły ofiarą, a dla domu żadnego na zimę nie zdołano przechować owocu. Pan pułkownik przynajmniej tak lichą zdobyczą napełnił swoje mieszki.

Teraz zarządził wywiezienie owych ośmiu aresztowanych. Matki, żony i dzieci urządzili za nimi rozpaczliwą scenę; ale to nic nie pomogło, pojechali!...

Teraz rozbierał kwestyę światełek, któremi miałyśmy dawać znaki wojsku. Z trudnością uwierzył, że nie mając nafty do oświetlenia korytarzy, przechodzimy czasem ze stoczkiem, a w ostateczności poświecimy sobie zapałką. Uwierzył czy nie uwierzył, ale ostro zakazał, żeby się to nie powtarzało. Od tej pory musiałyśmy na każdy wieczór wszystkie okna wszelkiemi kocami okrywać. To była także jedna z wielkich przyjemności!..

Ale najważniejsza rzecz! Ciąży na nas zarzut telegrafu! Pułkownik gwałtuje, że słyszano, jak po całych nocach telegrafujemy. Aha! jesteśmy w domu! Jedna Siostra przypomniała sobie, że na podwórzn gospodarczem jest przeciągnięty drut od stajni końskiej do krowiej. Co wieczór uwiązuje się psa łańcuchowego w ten sposób, że na końcu łańcucha jest kółko, które nawleka się na ten drut, tym sposobem pies pilnuje obu stajen, nie mogąc uciec. Biegając z jednego końca na drugi, szeleści drutem, zupełnie jak telegraf, kiedy jest w ruchu. Wytłómaczono i to p. pułkownikowi, na co przecież raczył się roześmiać i uznać naszą niewinność. Ale nasze nieszczęście! Szukając telegrafu, znalazł stajnie. Końska była próżna, bo wszystkie konie zabrali dla wojska, ale zato krów było aż 45, gdyż i hr. Zamojskiego krowy tu się schroniły. P. pułkownik nie posiadał się z radości; kazał wszystko zabrać, jakoteż i chlewnię. Tylko łzy Siostry Przełożonej ocaliły dwie krowy. Z takim łupem odjeżdżał uszczęśliwiony pułkownik. A myśmy zostały, jak Job, naraz ze wszystkiego odarte; tem bardziej, że Kozacy z własnej inicyatywy zrabowali nam całą pasiekę, zabrali miód, a ule z pszczołami spalili. Cały dom był tak przygnębiony, zdawało się, że zmysły

wypowiadały już posłuszeństwo. To nasze jedyne szczęście, że w pośrodku domu Pan Jezus i Jego Matka Najświętsza. Tam wszystko się cisnęło i wzdychało i płakało, bo żadna mowa już się nikomu nie kleiła!

Podczas wojny dom na rozdrożu — musi znowu ktoś czuwać, by ostrzegać drugich o coraz to nowych nieszczęściach. I tym razem około godz. 10. w nocy słyszymy straszny hałas na gazonie. Moskale przygnali nam zrabowane krowy. Łażą po gazonie wśród wichru i deszczu, a w domu niema ani jednego mężczyzny, któryby je porachował i zagnał do stajni. Nasze dwa szpiegi uprawiali swoje rzemiosło za domem. Naglili, żeby im dać jak najprędzej pokwitowanie, że oddają wszystkie krowy, chociaż przekonałyśmy się potem, że brakowało kilka, a i te, co przygnali, to po większej części nie nasze, nie dojne. Miała być także wrócona i chlewnia, ale Kozacy po dokonanym rabunku po drodze ją zabijali i nie wiadomo, co z nią zrobili, dość, że nie mieli się czem pochwalić przed komendantem w Bobrówce.

Zaledwieśmy z wielką biedą zagnali bydło do stajni, znów nowy ruch, turkot, gadanie na podwórcu. Ale tym razem, to już wielką pociechę zesłało nam Najśw. Serce Pana Jezusa. Powrócili wszyscy jeńcy, których nam rano tak brutalnie zabrano. Przemoknięci, zgłodniali, złamani cierpieniem i niepokojem, jakby z drugiego świata powrócili, rzucali się w objęcia swoich najdroższych, zalewali się łzami radości. Bo ci, co pozostali w domu, zrozpaczeni, nie myśleli nawet o spoczynku, oni jeszcze jęczeli przed Bogiem, bo nikt ani na chwilę nie śmiał łudzić się tą myślą, że biedni aresztowani przy życiu zostaną. Ocalenie ich należy przypisać najprzód cudownemu miłosierdziu Bożemu, a następnie zacności generalnego komendanta Litwinowa, przed którym ów dziki pułkownik złożył swe łupy wojenne. Przyjął po ludzku naszych biednych aresztowanych, pozwolił im wyjaśnić całą sprawę. Sam bardzo dobrze mówił po polsku. Zfukawszy pułkownika, kazał natychmiast wszystkich i wszystko klasztorowi odesłać. Chlewnia jednak przepadła, oprócz trzech ma-

łych prosiątek, którym pozwolili zaraz z drogi uciec. Kto wie, czy porozumienie się ustne z naszymi więźniami nie wpłynęło dodatnio na zapatrywanie władz rosyjskich, gdyż od tej pory nie było już mowy o wysadzeniu domu w powietrze. Tak się zakończył ów straszny dzień w dziejach domu moszczańskiego. Ale niestety! nie był on ostatnim.

Piątek, dnia 25. września, nowa scena. Znów wpada kilkudziesięciu Kozaków czy Czerkiesów. Musieli być z południa, bo strasznie czarno wyglądali. Ci zapowiedzieli z góry, że nie dla rabunku przybywają, ale dla zrobienia ścisłej rewizyi, szczególnie na strychach, ażeby się upewnić, że nie przechowujemy tam wojska austryackiego. Przechodzili więc calutki dom, nic nie ruszając, chociaż spotykali wszędzie mnóstwo rzeczy i kufrów, danych do przechowania. I tu pokazała się także cudowna opieka Boska. Żadnego z tych kufrów nie kazali otworzyć. A któż wie, co w nich było? Mogłyśmy się jednego wszystkiego obawiać, gdyż raz wypakowana szafa otworzyła się sama, a z niej wypadło kilka sztuk broni, wprawdzie staroświeckiej, pamiątkowej, ale to nie przeszkodziłoby do narobienia nam największego kłopotu. Ale w kąciku jakiegoś strychu znaleźli jeszcze trochę jabłek. Natura tak silnie popchnęła wilków do lasu, że pomimo krzyku i srożenia się dowódcy nie ustąpili, aż wszystkie zabrali. Ta nieprzyjemna wizyta utwierdziła już Moskalów w przekonaniu, że nie przechowujemy Austryjców.

Nie trzeba jednak myśleć, że poza temi wielkiemi awanturami używaliśmy już zupełnego spokoju. Broń Boże! Po kilka razy na dzień przychodziło po paru żołnierzy, niby to „pasmatriet'“. A jak co wysmotrzył, to już było jego. Naprzykład spostrzegł dziś samowar, kołdrę, poduszkę i t. p.; nazajutrz przychodzi z kartką, niby to od jakiegoś oficera, żeby mu to sprzedać albo pożyczyć. Najprzód grzecznie prosi, ale zaraz dodaje, że gdybyśmy dobrowolnie nie dały, to mają nakaz wziąć przemocą. Naturalnie, że musiało się zawsze wszystko dać, niby nawet bardzo chętnie, bo cóż robić wobec

przemocy? Dla rozmaitości zapłacili czasem za którą z tych rzeczy, ale pożyczonych nigdy nie oddali.

Mieliśmy raz wizytę kilkunastu oficerów kozackich. Podobno są z Kaukazu, nazywają się kubańskimi. Oglądnęli dom, natłukli dużo pokłonów w kaplicy, napili się mleczka i zaczęli nam opowiadać o swoim ślicznym kraju, o swoich rodzinach, o gospodarstwie. Z tego wszystkiego łatwo było domyśleć się, że największe sentymenta żywili dla swoich koni. Bo też te konie są ich własne, a nie wojskowe, jak we wojsku regularnem. Rząd nie daje im nic, ani żołdu, ani pożywienia i oni są obowiązani swoim kosztem utrzymywać się podczas wojny. To jest w zamian za podatki gruntowe, od których Kozacy są wolni. Nie mają też ze sobą żadnych trenów, żadnych prowizyi i dlatego przysługuje im prawo rabunku. Gdzie się tylko pokażą Kozacy, tam trzeba się już pożegnać z drobiem. Tak zgrabnie wetknie na pikę jaką kurę, kaczkę, nawet gąskę, przez drogę skubie ją, potem wejdzie do jakiej chaty, gdzie się kurzy z komina, upiecze to sobie, czasem nawet podzieli się z domowymi, a w zamian za to każe sobie dać chleba, masła, mleka... ot i tak jakoś dobrze im się dzieje. Pokazywali nam różne sztuczki swoich koni; Kozak i koń jedli razem jeden kawałek chleba, trzymając go obaj w zębach. Koń wyciągał mu z kieszeni cukier, czekoladę, chleb. Kozak pieścił i całował konia, a koń go lizał... Widać było tę najserdeczniejszą przyjaźń. Ale co rzeczywiście godne było widzenia, to sposób czołgania się konia. Kozak poklepał go po kolanach, pogłaskał, pocmoktał i koń klęka na przednie nogi, tylne chowa pod siebie. Tak wygląda jak kot, kiedy się do myszki skrada. Kozak kładzie się na koniu, pikę skraca, wsuwając ją do pochwy i tak płazem czołgają się czasem po kilka kilometrów, żeby nie być z daleka widzianym przez nieprzyjaciela. Opowiadali nam, że oni nigdy na polu bitwy nie walczą, bo cóżbyśmy zrobili, jakby nam zabili konia? Oni tylko gotują drogę wojsku regularnemu, wywołując panikę pomiędzy ludem swojemi dzikiemi krzykami i pikami. Ci nasi goście zachowali się

bardzo przyzwoicie, ale inne wizyty kozackie upamiętniły się tem, że tylko szczęśliwym, wyjątkowym sposobem potrafił kto zatrzymać swój kieszonkowy zegarek. Jedna pani, nasza lokatorka, stała na podwórzu, blizko domu. Na to zajeżdża Kozak, prosto na nią, przyciska koniem do muru i woła: „Dawaj czasy“ (zegarek), zerwał go jej ze szyi, ani dając nawet czasu na odjęcie jakiejś pamiątki od łańcuszka.

We wtorek, dnia 29. września wieczorem, przybiega do nas kilka kobiet (żony parobków folwarcznych) z okropnym krzykiem i płaczem, prosząc, żeby je ukryć przed pijanym oficerem, który, wypędziwszy mężczyzn z domu, dopuszczał się na kobietach strasznych gwałtów. Co za przerażenie dla całego naszego bezbronnego domu! Dać schronienie ściganym, to tyle, co ściągnąć do domu ścigającego!... Schowałyśmy je, bo od początku wojny zasadą całego domu było: Być wszystkiem dla wszystkich.

Siostra Przełożona, widząc, że tylko Bóg sam ocalić nas może przed coraz to straszniejszemi napadami, zwołała do kaplicy chorych, dzieci, służbę i wszystkie Siostry i po gorących modlitwach, wspólnie codziennie odbywanych, uczyniła uroczysty ślub, że po skończonej wojnie poda do roczników Serca Jezusowego, jako największy cud, jeżeli toż Najświętsze Serce dom nasz ocali. To jakoś uspokoiło, wzmocniło wszystkich. Zdawało się nam, że i Bóg jakieś nowe obowiązki miłosierdzia względem nas zaciągnął. Ale ufność nasza musiała być doświadczoną, jak ufność Abrahama.

Pan porucznik, zawsze nam życzliwy, odwiedzał nas czasem i dziś (30. września), przejeżdżając przez Moszczany, wstąpił na herbatkę. Kilka Sióstr z nim było, jak zwykle, w śpiżarce. W tem dają znać, że do szwalni dziecinnej wpadł pijany oficer... W jednej chwili poczciwy pan porucznik poleciał na górę i nie bez trudności sprowadził olbrzyma, przy którym sam wyglądał jak dziecko. Z obowiązku służbowego musiał on jednak sam odjechać, zapewniając nas, że postara się o surowe ukaranie napastnika.

Ale ten pijaczyna, to ciekawe stworzenie. Zanim dostał się do dzieci, napadł był na jedną Siostrę, domagając się munduru oficera austryackiego. Sam mówił po niemiecku, ale strasznie łamaną niemczyzną. Zaledwie mu Siostra uciec zdołała, popędził do dzieci. Powiadają, że jeden z tych naszych domowych szpiegów dostał był 200 koron za wskazanie mu drogi do dzieci. Ów porucznik, odjeżdżając spiesznie, szepnął nam, że nie wyzbędziemy się tego pijaka, dopóki nie wytrzeźwieje, a tymczasem trzeba go bawić, żeby nie zrobił jakiej strasznej awantury.

Zapraszamy więc pijaczynę do pokoju, zajmowanego przez panią Neiserową, żonę rządcy dóbr hr. Zamojskiego. Ta pani, wraz ze swą siostrą p. Rylską, osoby bardzo wykształcone, pomagały nam w tej trudnej sprawie. Pijaczyna w mundurze moskiewskim udaje oficera austryackiego, plecie androny, opowiada herezye o wojsku austryackiem, to znów chwali Moskalów, że ścinają i wieszają polskich biskupów. Ciągle gadał po niemiecku, ale tak okropnie, że trudno go było zrozumieć. Ratował się jak mógł mimiką. My wszyscy słuchamy, przytakujemy, dolewamy herbatki i tylko z niepokojem spoglądamy na siebie, na czem się to skończy?... Już zaczynamy poziewać, już się nam na dobre spać chce, bo to godz. 11. w nocy. Nareszcie żołnierz, służący jego, trzymający konia od samego zmroku, zapukał, pytając, co ma zrobić z koniem? To go przyprowadziło trochę do przytomności, zerwał się, pożegnał z nami bardzo serdecznie, podziękował za miłe przyjęcie i obiecał, że nas jeszcze odwiedzi. Nie spełniły się jednak jego obietnice, bo, o ile można było domyśleć się z tego, co nam mówił ów przyjazny nam oficer, rozstrzelano go za tysiące podobnych sprawek. Ten jego służący opowiadał, że to jakieś moskiewskie książątko, bardzo bogaty, wydający ogromne pieniądze na podobne rzeczy.

Wszystkie poprzednie napady zdawały się nam niczem wobec tego. Możnaby także powiedzieć: „Kto czyta, niech rozumie“, od jakiego nieszczęścia zachował nas Bóg.

Przeżyliśmy już trzy straszne piątki: 11., 18. i 25. września. Zbliża się czwarty piątek. Chociaż poddajemy się woli Bożej i z góry przyjmujemy każdy rodzaj śmierci, jednakże, to nie ludzka rzecz, pogodne czoło jej stawić. Z trwogą więc czekamy, co nowego Bóg da!.. Wiedząc, że sprawiedliwość Bożą przebłagać można modlitwą połączoną z postem, biedna Siostra Przełożona do codziennych naszych, wspólnych, błagalnych modłów zaproponowała jeszcze całemu domowi ścisły post, na ten nadchodzący piątek. Najchętniej wszyscy myśl tę przyjęli i tak pościli, że przez cały dzień nikt nic do ust nie włożył. Rzeczywiście tego dnia nastąpił przełom w tem trudnem położeniu naszego domu.

Głód zaczynał już na dobre dawać się nam we znaki. Zboża mało co można było zwieść do śpichlerzy. Jak tylko weszli Moskale, zaczęli zaraz palić młyny, psuć i niszczyć narzędzia gospodarcze i rolnicze. Wykopywali ziemniaki, które nieszczęśliwym trafem były przy drodze, którą przechodzili. Siano zabrały oba wojska, krów niema czem karmić, a w pole wygnać nie można, bo zaraz zabiorą. Mleka bardzo mało, a cały zapas nabiału zrabowany. Zostało jeszcze trochę ziemniaków w polu. Dla większej pewności, że się je zbierze, sama Siostra Przełożona z dziećmi domowemi chodziła do kopania. Ale cóż? Co wykopały, to nadjechał jaki forszpan pod komendą kozacką, zabrali wszystko, jak swoje, i nie było nic do gadania. Raz udało się im układać sporą kupkę, złożyć na jedyny pozostały wóz, zaprzężony jedynym, ślepym i kulawym koniem, porzuconym przez forszpana i już z tryumfem dojeżdżają do bramy, aż tu nadbiegają Moskale, przewracają wóz, wysypują ziemniaki i zabierają co do jednego. Jednem słowem, tyle tylko zebrano na zimę ziemniaków, ile dzieci zdołały przynieść w koszyczkach do domu. Tego trochę zboża, które jeszcze było na folwarku i u nas, nie było czem zmłócić, ani gdzie zemleć. Musiało się więc po całych dniach obracać żarna, ażeby choć codzienne potrzeby zaspokoić. Zaczął się więc przymusowy ścisły post: codziennie na obiad kartoflanka, barszcz albo kapuśniak i kartofle pieczone, ma

się rozumieć bez masła a i ze solą trzeba było bardzo ostrożnie obchodzić się, bo i tej już brakło. Czasem udało się nam dostać jakiej kaszy lub fasoli, ale na kolacyę, to już zawsze była tylko czysta herbata i chleb razowy. O żadnem mięsie nie było mowy. Drób wszystek zabrany. Kilka kur tylko chowało się cichaczem na strychu. Poznałyśmy trochę, co to bieda, co to głód, dlatego też dzieliliśmy się z jeszcze biedniejszymi ostatnim kawałkiem chleba i tą odrobiną nędznej strawy. Nasi lokatorzy, t. j. nieszczęśliwi uchodźcy, mieli trochę swoich zapasów, więc dla domu ciężarem nie byli, ale i ci już gonili ostatkami.

Od czasu odwrotu naszego wojska i szpitalu, przychodzili pojedynczo chorzy i ranni Moskale, prosząc o opatrunek, lekarstwa, a nawet o przyjęcie na parę dni. Przyjmowaliśmy wszystkich. Raz nawet przywieźli nam ciężko chorego na tyfus i zapalenie płuc. Obsługiwaliśmy tych chorych, leczyli, żywili, a władze moskiewskie nie troszczyły się o nich wcale, jakby o nich nie wiedzieli. Myśmy były kontente, że miałyśmy czem usprawiedliwić nasz Czerwony Krzyż i przy sposobnosci mówiłyśmy Moskalom, że obsługujemy ich chorych, że mamy ich u siebie. Wszyscy dość obojętnie tę wiadomość przyjmowali, a myśmy się zaczęły bać, żeby tych chorych nie poczytano za jakich zbiegów wojskowych i żeby znów wina na nas nie spadła. Postanawiamy więc donieść jakiemu starszemu, mieszkającemu w Łazach o tych chorych żołnierzach, z prośbą, by nam ich więcej przysyłano wraz z lekarzem i środkami do życia.

To nasze przedstawienie zatelefonował oficer do głównego zarządu sanitarnego i otrzymuje lakoniczną odpowiedź, że przyszlą zabrać nam wszystkich chorych! Nowy kłopot! Stracimy tę jedyną naszą obronę. I miałyśmy już wysłać pisemne, dokładne wyjaśnienie, a to za radą i pośrednictwem telefonującego oficera, żeśmy gotowe na pomieszczenie i na uługi 400—500 chorych, byleby nasze usługi przyjąć raczyli. Kiedy, powróciwszy z Łazów, radzimy o tem, zjeżdża naraz cała starszyzna oddziału, a raczej szpitalu polowego Nr. 385

z doktorami i generalnym lekarzem. W oka mgnieniu obejrzeli cały dom, co chwila wyrywały się im wykrzykniki zachwytu: „eto prieleśt'“, „eto wielikalebno“. Podobały im się szczególnie pokoiki po paniach i całe urządzenie szpitalne, pozostawione przez wojska austryackie. Zajęli też i wszystkie ubikacye na folwarku, przeznaczając je od razu dla lżej chorych. Tegoż samego dnia jeszcze zaczęli zwozić rannych i u nas urządzili punkt opatrunkowy dla linii bojowej, którą dom nasz z czterech stron był otoczony. Strzelali jednocześnie z Przemyśla, Jarosławia, Wysocka i Radymna. A Moszczany w środku...

Rozpoczął się ogień nie ustający ani na chwilę przez jakie dwa tygodnie. Wyobrazić sobie najstraszniejszą burzę z błyskawicami i piorunami, a do tego świst kul karabinów maszynowych, które dają 500 strzałów na minutę. To się tak słyszy, jakby kto sypał groch na blachę. To istne piekło, ten straszny huk armat trwał dzień i noc.

Wozy ratunkowe (po moskiewsku „liniejka“) przywoziły nam rannych prosto z frontu. Spieszyli się złożyć ich na trawniku, na gazonie i powracali po drugich. Tym sposobem niemal cały gazon był założony rannymi. Opatrunki odbywały się częściowo na dworze, częściowo w stolarni, z której na prędce urządzono salę operacyjną. Co to za straszny widok! co za jęki! co za rozdarcie serca! Zdaje się, że gdyby nie szczególna pomoc Boża, to żaden rozum ludzki nie wytrzymałby; najtwardsze serce musiałoby chyba pęknąć. To są chwile do odprawienia takich rekolekcyi, których wrażenia nic już w życiu zatrzeć nie zdoła!...

Niejeden biedaka umarł, nie doczekawszy się pierwszego opatrunku, chociaż było z dziesięciu lekarzy, pięć Siόstr i trzy panie, pracujących po całych dniach i nocach. Jedni chorzy zostawali u nas, drudzy na folwarku, innych odsyłano do Rosyi, przeważnie biednych naszych jeńców austryackich. U nas był taki ruch, taki jęk, taki trzask kul, że sami lekarze od roznerwowania wytrzymać już nie mogli, zaczęli chorować, a biedna Siostra Eleonora, tak dobrze umiejąca współ-

cierpieć z ubogimi i chorymi, umarła ze strachu. Żeby sobie wyobrazić, co się u nas działo, dość powiedzieć, że przez dwa tygodnie nieustającego boju, przeszło przez nasz szpital około 10.000 rannych.

Warto też tu dodać, że kochana nasza Siostra Eleonora Wysocka miała i pogrzeb, jak na czas wojenny i na prawdziwą sługę ubogich przystało. Chorowała i umarła w refektarzu, bo tam mniej było widać i słychać strzały. Dla braku miejsca w domu, musiała leżeć w piwniczce w ogrodzie. Nie było ani wozu porządnego ani koni do urządzenia niby karawanu, więc jej trumnę wraz z trumną ubogiego dziadka, który w naszym szpitalu zmarł tegoż samego dnia, złożono na prostym wozie i zaprzężono jedynego kulawego konia; kilka babek szpitalnych i trzy Siostry tylko towarzyszyły temu orszakowi pogrzebowemu, prowadzonemu przez czcigodnego księdza Frączkiewicza. Inne Siostry musiały pozostać w domu przy chorych. Ten pogrzeb miał dziwnie uroczysty i rzewny charakter; był on jakby ostatniem świadectwem pokornej i wiernej służebnicy ubogich.

Ksiądz Frączkiewicz, staruszek bardzo niedosłyszący, schronił się do nas przed wejściem Moskali. Domek jego w Laszkach i pszczoły, stanowiące cały jego sposób utrzymania, zrabowane do szczętu, a on całem sercem przytulony przez Siostry, stał się teraz prawdziwą Opatrznością, największym dobrodziejem naszego domu. Bez niego nie byłoby ani Mszy św., ani Pana Jezusa, ani nareszcie spowiedzi, którą wprawdzie z wielką trudnością, ale można było w zakrystyi odbyć. Był on jeszcze jedynym kapelanem konających żołnierzy. O spowiedzi nie było mowy, tylko udzielał Ostatniego Namaszczenia, klęcząc przy nich na ziemi, gdyż te ceremonie odbywały się zwykle na gazonie. Kapelani wojskowi nie mogli odstąpić linii bojowej, a zresztą przy wojsku moskiewskiem nie spotkałyśmy się z księdzem katolickim. Za to „batiuszki“ byli zawsze. Są to ludzie różni, czasem bardzo prości, ordynarni, czasem inteligentne paniątka. Noszą oni zwykle to, co nazywają Najśw. Sakramentem, „preczastie“, w kieszeni, w pu-

dełeczkach wielkości i formy tych paczek, w których znajduje się 10 pudełek zapałek. Z wierzchu są pokryte czarną safianową skórką, wewnątrz wyłożone czerwonym aksamitem. Tam są dwie małe puszeczki złote, w jednej przechowują... może Pana Jezusa?... któż to wie?... w drugiej, nie wiemy co. Przychodzi taki pop do chorego, zapyta go o imię, nazwisko... cały protokół, zapyta go, czy on chce „gawiet“ (komunikować) i daje tę komunię bez żadnej ceremonii, bez żadnego światła. Olejów św. nigdy nie dawano. Że mnóstwo chorych umierało, zaczęli więc bez żadnego pytania grzebać umarłych w naszym ogrodzie, o jakie dwadzieścia kroków przed oknami refektarza. Dopiero po wielkich staraniach i prośbach przyszło do tego, że urządzili dwa cmentarze, tuż przy bramie wjazdowej, po drugiej stronie ulicy. Jeden cmentarz dla oficerów, którym dawali trumny, a drugi dla żołnierzy, wrzucanych bezpośrednio do grobu.

Przez cały czas trwania oddziału opatrunkowego pralnia nasza, będąca w pobliżu sali operacyjnej, nie służyła za pralnię, chociaż tak bardzo potrzebną była, ale za kuchnię, gdzie w dwóch kotłach gotowano bez ustanku herbatę dla przyjeżdżających i odjeżdżających rannych. Nadto lekarze i saniteci urządzili tam sobie łazienkę. Że popalili wszystko, co im w rękę wpadło, to rzecz całkiem naturalna, „eto wojna“. Ale też i w razie wojny mogliby byli uważać i nie wylewać kąpieli na posadzkę w ten sposób, że znaczna część tej brudnej wody powracała do studni!... Dziwny i smak i kolor wody zwrócił uwagę wszystkich. Bez trudności wykryto przyczynę. Zrobił się prawdziwy alarm, bo to jedyna studnia. Trzeba ją więc naprawić i oczyścić, ale kto? Ludzie zdrowi i fachowi na wojnie, a ci, co zostali, to same stare niedołęgi. Zwracamy się do Moskalów, ale oni obrazili się. Jakto? Oni, ludzie kulturalni, przyszli tu, żeby nas z niewoli oswobodzić, nie żeby nam studnie czyścić! Wzięto ich za słowo. W imię więc tej dobroczynnej kultury uproszono, żeby raczyli pouczyć naszych prostaków, jak się mają zabrać do tej roboty. Udało się. Skończyło się na tem, że butni

cywilizatorzy pod dyrekcyą pastucha Mikołaja, sami oczyścili studnię, a tymczasem przez kilka dni trzeba było z wielkim trudem nosić wodę z folwarku.

Cały ten szpital ze wszystkiemi towarzyszącemi mu okropnościami, był jednak niewypowiedzianem dobrodziejstwem dla domu. Czerwony Krzyż, od czasu austryackiego szpitala pozawieszany na wszystkich stronach domu, na wieży kaplicznej, na najwyższych drzewach, nawet na folwarku hr. Zamojskiego, nabierał coraz większego znaczenia. Ale najbardziej uwydatniał się na bramie wjazdowej, która była cała przykryta dużem prześcieradłem, a na niem z rozdartej wsypki olbrzymi krzyż.

Przebywanie oddziału sanitarnego i dygnitarzy wojskowych zabezpieczało nas przed ciągłemi a najstraszniejszemi wizytami pojedynczych żołnierzy, a nawet i okolicznych chłopów, którzy stawali się coraz bardziej podejrzanymi i groźniejszymi. Kilka faktów będzie tego dostatecznym dowodem; biedne zapewne kobiety, obarczone rodziną, uskarżały się przed przejeżdżającymi Kozakami, że nie mają czem żywić dzieci. Ci im poradzili doskonale: zabrali kilkanaście krów z folwarku i porozdawali tym kobietom. Nadto wytłómaczyli im, że wszystko, co jest na polu hr. Zamojskiego, jest ich własnością, bo hrabia już jest powieszony. Wobec tego cała wieś (Łazy), uzbrojona w drągi, wyszła do kopania ziemniaków i nie dopuściła zbliżyć się ani ludziom dworskim ani Siostrom, którym, z okazyi Czerwonego Krzyża i na mocy pozwolenia hr. Zamojskiego, wszelkie prawo do tego przysługiwało. Krowy były później zwrócone przez inne władze szpitalne.

Linia bojowa posunęła się, a z nią i oddział opatrunkowy, pozostawiając nam tylko tyfus i cholerę, około 500 chorych. Ma się rozumieć, że i kilku lekarzy i potrzebna ilość sanitetów została. Po takich strasznych burzach przeżytych, cholera i tyfus już nas nie przerażały. Zdawało się nam owszem, że to rodzaj jakiegoś upragnionego spoczynku.

Skorzystała z tego spokoju Siostra Przełożona, która, mając ważny interes do załatwienia we Lwowie, uzbrojona wszelkiemi, możliwemi przepustkami, wybrała się w drogę. Musiała tam pozostać przez dwa tygodnie, t. j od 4. do 18. listopada.

Podczas nieobecności Siostry Przełożonej powrócił ksiądz wikary Czerkies, który dnia 10. września wraz z księdzem proboszczem schronił się w stronę zachodniej Galicyi. Ukazanie się jego w Moszczanach, to było jakby deska rzucona rozbitkom. Cały dom zapragnął spowiedzi. Nowe jakieś życie wstąpiło we wszystkich jego mieszkańców. W takich razach szczególnie, jak się to umie ocenić szczęście posiadania gorliwego kapłana w Zakładzie!... Napracowawszy się u nas, musiał jeszcze przezacny ksiądz Czerkies pospieszyć na folwark, gdzie już tyle chorych umarło bez spowiedzi, a kilkunastu jeszcze tak gorąco jej pragnęło. Przy pomocy więc poczciwego lekarza (Moskala) wyszukaliśmy najciężej chorych, zaopatrzyli wszystkiemi świętemi Sakramentami i dopiero bardzo późnym wieczorem odjechał ksiądz wikary, odesłany powozem i końmi doktora. Po tym szczęśliwym dniu, dla odmiany, miałyśmy znów nieprzyjemny kawałek. Czerwony Krzyż na bramie wchodowej był nizko umieszczony. Jakiś więc Moskalik, umiejący zaledwie pisać, pozwolił sobie na iście moskiewski dowcip. Na całą szerokość bramy wypisał dużemi literami: „Wsie manaszki sotniuju pieresiecz“ (to znaczy, żeby sotnia Kozaków przesiekła nahajkami wszystkie zakonnice). Szczęście nasze, że się dość wcześnie ten barbarzyński koncept spostrzegło, a że był napisany ołówkiem, więc i wytarło. Gdyby nie to, a raczej, gdyby znów nie cudowna opieka Boska, mogłyby były Siostry paść ofiarą kozackiej dzikości.

Chorych było już znacznie mniej, prawie wszyscy mieścili się na folwarku, a dom zaczęliśmy po trosze oczyszczać. U nas tylko wszyscy lekarze mieszkali Zaledwie odetchnęliśmy spokojnie, aż tu znów w piątek, 6. listopada, ukazuje się na gazonie rozwinięta chorągiew, za nią pełno śpiewają-

cych (!) Czerkiesów, a na końcu Ekscelencya i sztab korpusu, generał z adjutantami i całą swoją świtą. Weszli na korytarze, spotykali tylko wystraszone, uciekające kobiety i dzieci. Myśląc, że są zdobywcami jakiego opuszczonego gmachu, zaczęli wrzeszczeć na wszystkie strony, żeby się wszyscy wynosili, że oni sami cały dom zajmują. Im więcej hałasowali, tem więcej uciekano i chowano się.

Dwie Słostry chore leżały na dormitarzu, słyszą ten hałas i kilkakrotne dobijanie się do drzwi, czekają jednak, czy się kto nie zjawi. Na to wbiega wystraszona Siostra i zaledwie wymówić może: jeszcze takich straszydeł nie było: każą się wrzystkim zaraz z domu wynosić. I zapłakało się biedactwo. Niema czasu do namysłu. Siostra z gorączką 39.7° zrywa się, ubiera czemprędzej i biegnie do głównego lekarza, prosząc go o radę i opiekę. Lecz zastaje i jego bezradnym, wystraszonym. „To wściekły waryat“, powiada, „to dziki człowiek, on i nas chce wyrzucić“. Wezwawszy więc Boga na pomoc, spieszy biedna Siostra stawić czoło dzikiemu żołdactwu. Straszny to był widok, bo to wojsko nieregularne, ale każdy ubrany według swego gustu i najdziwaczniejszej fantazyi. Jedni mieli turbany na głowie, inni czapki futrzane najróżnorodniejszego kalibru. Okryci byli kocami, kołdrami, serwetami kolorowemi; byli i w kożuchach, obcisłych do pasa, a potem, jakby szeroka peleryna futrzana, którą starannie okrywają konia, gdy nań wsiadają. Każdy taki kożuch inną materyą kryty, wszystko pstre, jaskrawe. Każdy ma u boku przepasany kindżał, a w ręku albo za cholewą nahajka. Taką to straszną bandę, poprzedzoną trzema generałami i całą świtą adjutantów, spotyka na korytarzu owa Siostra. Wita ich z daleka ukłonem. Zdziwiony herszt pyta: „Czto wy za adna?“ „Jestem zakonnica, Siostra Miłosierdzia, gospodyni tego domu“. W jednej chwili spuszcza z tonu, przeprasza, przyznaje się, że myślał, że to jest klasztor męski, opuszczony przez zakonników, w którym „żenszczyny szlajut sia“ (kobiety włóczą się). Wypytywał zaraz bardzo ciekawie o nasze dzieła i łaskawie pozwolił zatrzy-

mać chorych i dzieci, nakazując wszelako, by wszyscy przybysze natychmiast dom opuszczali. (To tylko w części dało się przeprowadzić). Zanim jeszcze spotkał się ze Siostrą, już cały dom obleciał. Rozporządził wszystkiemi ubikacyami, w sypialni dziecinnej mieli mieć salę jadalną itp. Tylko na usilną prośbę, popartą przedstawieniem, że, znając rozkład domu, wygodniej im to urządzić potrafi, zdołała Siostra wprowadzić miłych tych gości do piekarni na śniadanie, a sama co tchu zajęła się urządzeniem, tak, żeby ich, o ile możności, odsunąć od dzieci. W tem była właśnie największa trudność, bo im się ta część domu najlepiej podobała. Mieli naprzykład dwie sale, jedna na wschód, druga na zachód; tam się chronili, stosownie do tego, z której strony były strzały. Pomimo największych usiłowań nie można było wycofać żołnierzy z korytarzy dziecinnych i tylko powtarzający się cud opieki Niepokalanej Panny Maryi zachował te biedne dzieci od największych nieszczęść. Żołnierze zapełnili każdy kącik domu, wszystkie korytarze. Przed samemi drzwiami dormitarza siostrzeńskiego spali Kozacy. A jaki to był porządek!... co za powietrze!...

Nowi nasi lokatorzy w pół godziny po przybyciu mieli już urządzone telegrafy, telefony, na cały dom rozlegały się echa komendy. Kiedy już wszystko było gotowe, nadjechał samochodem jeszcze jeden generał z całym szeregiem oficerów, lśniących złotem i dekoracyami. Było w tem coś tajemniczego, wszyscy mu robili szczególniejsze honory. Żadnego nazwiska dowiedzić się nie można było, ale zdawało się nam, że to był sam Mikołajewicz. Przywieźli ze sobą całą kuchnię, t. j. kucharzy i przybory kuchenne, a do tego i najwytworniejsze artykuły żywności. Bez żadnej ceremonii kazali usunąć się Siostrze Marcie ze swojej rezydencyi. Tym razem obeszło się bez żadnych pertraktacyi. Biedna Siostra Marta, uzyskawszy sobie łaskę kucharza, mogła czasem bardzo pokornie przysunąć jaki garnuszek do ognia. Wszystkie maleńkie kuchenki salowe, piece piekarskie, wszystko było użyte, wszystko się przydało.

Co stanowiło największy prawie nasz kłopot, to zupełny brak światła. Gdzieniegdzie palił się jaki niedogarek świecy, przylepiony do futryny okna, nad którym ciągle czuwać trzeba było. żeby go kto nie ukradł. A jak się taki ogarek dopalił, to się chodziło po omacku, utykając co krok na Czerkiesa. Na wielkie prośby dali nam trochę nafty i kilka świec, ale to tylko dla oświetlenia tych miejsc, któremi miał generał przechodzić.

Podobał się im nasz strój. Koniecznie chcieli mieć nasze fotografie, ale dzięki Bogu udało się nam przekonać ich, że na obrazkach paryskich daleko lepiej habit nasz uwydatniony. Uwolnili nas od tej przyjemności, otrzymawszy pierwej kilka obrazków św. Wincentego, wysyłającego pierwsze Siostry do Polski. Myśmy się wykręciły, ale dzieci fotografowali.

Pierwszy ów przybyły krzykacz, będący niby prokuratorem tego sztabu, to Tatar. Po tatarsku więc chciał sobie postąpić. Chciał pomieścić w kaplicy 50 żołnierzy, zapewniając, że obecność Pana Boga nie będzie im przeszkadzać. Pomimo całego rygoru wojskowego, adjutant jego, czysty Moskal, oparł się temu stanowczo, dowodząc, że gwałcąc w ten sposób kościół, przekroczyłby prawo wojenne. Ocalała kaplica, a ten adjutant okazywał nam do końca wiele życzliwości i usłużności.

Mili ci goście byli w Moszczanach przez jeden tydzień tylko, ale też okropnie dali się nam we znaki.

Zwykle, mając takich ważniejszych gości, prosiłyśmy o napisanie nam jakiegoś zaświadczenia, żeśmy nie podejrzane osoby, że owszem chętnie służymy chorym wszelkiej narodowości, że mamy prawo do Czerwonego Krzyża, a więc uwolnienie od rekwizycyi i t. p. Trzeba więc było wykorzystać i tych naszych najważniejszych potentatów. Za staraniem owego usłużnego adjutanta wypisano nam na dużym arkuszu jak najchlubniejsze świadectwo, że z wielkiem poświęceniem służymy chorym, rannym i wszystkim nieszczęśliwym, że przeto zasługujemy na uznanie, szacunek i uwol-

nienie od wszelkiej rekwizycyi wojennej. Następują podpisy kilku generałów, ale wszystkie nieczytelne, nareszcie pieczęć sztabu.

Sam generalissimus wręczył Siostrze tę bumagę. Siostra znów, ośmielona jego popularnością, przedstawiła mu bardzo przykre położenie domu, okropny głód i prosiła o przysłanie jakich wiktuałów. Bardzo grzecznie wysłuchał prośbę, kazał sobie dać notatkę, czego potrzebujemy i rzeczywiście nazajutrz, przysłali nam całą furę rozmaitych wiktuałów i 100 rubli. Wyjechali. Znów uspokoiło się w domu. Pozostali lekarze, zawsze byli dla nas bardzo grzeczni. Chorzy, tak nasi jeńcy, jak i Moskale zawsze bardzo wdzięczni, cierpliwi. Już nam Pan Jezus pozwala spocząć maluczko.

To opowiadanie kończy się z dniem 25. listopada 1914 r. Można myśleć, że na tem nie skończyły się wszystkie przygody domu Moszczańskiego, że Matka Najświętsza dawała coraz nowe dowody swej macierzyńskiej opieki nad Zgromadzeniem naszem, że przeto pilno będzie naocznym świadkom podać te wszystkie szczegóły do wiadomości całego Zgromadzenia, ażeby tym sposobem wzmocnić ufność i miłość naszą ku Niepokalanej Maryi.

Wypisawszy tyle rzeczy ujemnych o Moskalach, czy nie byłoby rzeczą sprawiedliwą dodać, że i oni mają bardzo dodatnie strony:

1. Nie przeszedł żaden koło kaplicy, nie oddawszy głębokiego pokłonu Panu Jezusowi. Starsi oficerowie dawali w tem budujący przykład żołnierzom.

2. Chcieli mieć swoje nabożeństwa. Dzięki Bogu, nie proponowali nawet, żeby ich z tem wpuścić do kaplicy, ale rozbili sobie namiot na gazonie i tam pop odprawiał im służbę Bożą. Oprócz tego nigdy nie opuścili Mszy św. niedzielnej ani naszych codziennych, na których śpiewano różne błagalne pieśni, a nawet „Boże, coś Polskę“, a oni wtórowali. Zwykle starszyzna przodowała, a pop siadywał koło „Ihumeni“ (przełożonej).

3. Jeszcze ich dodatnią stroną to, że bardzo lubią dzieci. Sam ich widok rozrzewniał ich do łez. Zaraz opowiadali o swoich domach, o swoich rodzinach, wzdychali do swego kraju, do upragnionego pokoju. Często przynosili lub przysyłali dzieciom jakie łakocie, fotografowali je. Raz nawet, chcąc im zrobić wielką przyjemność, urządzili rodzaj muzykalnego wieczorka. Jeden z doktorów grał na harmonii ręcznej, przywołali kilku żołnierzy, którym kazali tańczyć kozaka, kołomyjkę i inne tańce narodowe. Potem doktorzy bawili się z dziećmi w kotka i myszkę, w pytkę i inne gry. Ale to wszystko bardzo przyzwoicie, w obecności Sióstr.

4. Byli gotowi na wszelkie posługi dla Sióstr: robili sprawunki, sprowadzali wiktuały z Rosyi, wozili zboże do młyna. Dawali konie, dokąd Siostry chciały.

Daj nam jednak Boże, żebyśmy już ani złych ani dobrych stron moskiewskich nie widzieli!

Nowosiółki. *List z dnia 27. lipca 1915 r.*

My tylko jeszcze zupełnie odcięte od Krakowa, chociaż już czwarty tydzień dobiega, jak i do Nowosiółek wkroczyły wojska nasze. Jesteśmy na linii bojowej; tuż pod Nowosiółkami i na całej przestrzeni pól Nowosieleckiej są okopy. Nasz domek jest formalną twierdzą, bo górą osłonięty od strony nieprzyjacielą, więc też mieści pełno starszyzny i wojska. Pięć kuchni stoi na podwórzu, a starczyzna wiktuje się u nas, ale dostarcza mięso, kawę i cukier; oprócz tego wydają codziennie dla Sióstr cztery kilo mięsa, również kawy, cukru nam nie brak; tylko chlebuś się kończy, a nowego z pola zebrać nie można, chociaż zboże, zwłaszcza żyto i jęczmień, już przestało. Na niedzielę zamówione przez wojsko nabożeństwo w naszej kaplicy. Nie mamy rannych żołnierzy, tylko kilku cywilnych inwalidów, ale praca wielka w kuchni od rana do wieczora. Ludność ze wsi musiała ustąpić. Obok naszego domu na wzgórzach Nowosieleckich pełno armat, do których huku jużeśmy się przyzwyczaiły. Obawiamy się tylko bitwy. Starszyzna nas uspokaja, że jak się posunie lewe i prawe

skrzydło, to ze środka Moskal się wycofa, że w Nowosiółkach bitwy nie będzie.

Nasz ludek tuła się, niektórzy bez kawałka chleba, bo ewakuacya tak prędko nastąpiła, że nie mogli się ludziska w chleb zaopatrzyć. Pozostawiali wszystko, a wrócą do pustkowia.

Czy nasza przykra sytuacya skończy się prędko, nie wiadomo; zdaje się, że długo się przeciągnie. Nędza zagraża straszna. Odwrót wojsk rosyjskich był straszny. Naokoło gorzały wioski i folwarki, ale to krótko trwało. Stan obecny groźniejszy, jeśli się Bóg nie zlituje.

Cholery w Nowosiółkach wśród wojska było kilka wypadków. Rosyanie przed wycofaniem się mieli u nas przeszło tydzień szpital główny, ale byli grzeczni, gdyż było trzech lekarzy Polaków, a tylko jeden Moskal. Wojska stało dużo, ale cała dywizya prawie polska, więc też i nasza wioska ocalała od ognia dotychczas.

Notatki z pierwszego roku wojny.

Ludność tutejsza, a szczególniej wezwani do wojska, licznie się spowiadali, gotując się szczerze na zapowiadaną straszną wojnę. Nie mogłyśmy nastarczyć im cudownych medalików i innych dewocyonaliów. Przerażenie rosło coraz bardziej wskutek niepokojących wiadomości o Kozakach. Nam zeszedł czas, poprzedzający przybycie nieprzyjaciela, na szyciu chorągwi Czerwonego Krzyża i przygotowaniu bandaży. Wokoło Nowosiółek i naszego domu zakopałyśmy cudowne medaliki w nadziei, że Najśw. Panna otoczy całą wioskę Swą szczególniejszą opieką i nie pozwoli nam uczynić żadnej krzywdy. Nimi poobwieszałyśmy także bramy, drzwi i okna, tak że wszędzie błyszczały przed nami, przypominając o bezustannej czujności naszej Niepokalanej Matki.

Ponieważ Nowosiółki leżą tuż przy gościńcu, wiodącym ze Lwowa do Brodów, więc można było dobrze obserwować ruchy wojsk walczących, które tym szlakiem głównie się odbywały. Setki armat i tysiące naszego wojska dążyło w stronę

Brodów już w pierwszej połowie sierpnia. W kilka dni potem dały się słyszeć głuche strzały armatnie. Smutne wieści o strasznych zdradach Rusofilów i klęskach naszych z tego powodu, zwiększały ogólne przygnębienie. Anioł wojny zbyt szybko biegł ku nam, bo już 22. sierpnia wkroczyli Kozacy do Olejowa, a na niebie okazywały się codziennie nowe łuny pożarów. Przerażona ludność, z obawy przed ogniem i rabunkiem, pochowała swoje rzeczy w naszych piwnicach, zamawiając także dla siebie schronienie, na wypadek walki w pobliżu. Przybyły także do nas Siostry św. Teresy z Lackiego z wychowankami, nie czując się u siebie bezpiecznemi. Rozczulający był widok tej pobożnej gromadki, gdy leżąc krzyżem, błagały Boga o zmiłowanie. Również ksiądz ruski z rodziną schronił się do naszego domu.

Dnia 23. sierpnia przybyła patrol austryacka, wyrażając się wymijająco o wyniku walk. Poznałyśmy z tego, że nasi się cofają. Rzeczywiście już 24. sierpnia wkroczyli Moskale do Złoczowa, z którego Austryacy zdołali wywieść wszystkie magazyny.

Dnia 25. sierpnia byłyśmy naocznymi świadkami bitwy niedaleko nas w kierunku od Łysej Góry ku Krasnemu. Po nabożeństwie polowem w poblizkim lesie wyruszyli Austryacy w grobowem milczeniu, tuż koło naszego domu, na plac boju. Serce się krajało na widok tych bohaterów, uwieńczoczonych zielenią, pełnych dobrej nadziei, a za kilka godzin nieboszczyków. Od godz. 10. rano do 9. wieczorem trwała ta straszna walka, tem okropniejsza dla nas, które nigdy czegoś podobnego nie widziałyśmy. Liczne pożary, spowodowane wystrzałami, zwiększały tę grozę. Po daremnem oczekiwaniu zwycięstwa, zauważyłyśmy cofanie się naszej piechoty na gościniec w stronę Lwowa.

Dnia 26. sierpnia przybył do nas kapelan wojskowy na kilka godzin. Dłużej nie mógł się zatrzymać; widocznie nie czuł się bezpiecznym. Nagle powstał wielki popłoch i ucieczka z amunicyą z pod Olszanicy, na którą napadli Kozacy, ukryci w pobliżu przez Moskalofilów.

Dnia 27. sierpnia urządzono u nas szpital austryacki z jednym lekarzem. Wkrótce przysłano kilkudziesięciu rannych z ostatniej walki. Musiałyśmy im dać całe utrzymanie, w czem bardzo wiele dopomagała nam tutejsza ludność. Pierwszy raz widziałyśmy straszne skutki wojny. Ranni byli bardzo cierpliwi, chociaż niektórzy mieli okropne rany. Zajęłyśmy się nimi najchętniej, ciesząc się, że choć w małej cząstce możemy im osłodzić życie. Wszyscy byli zaopatrzeni w różne medaliki, a bardzo wielu miało nasze cudowne, mówiąc, że je otrzymali jeszcze w domu od Sióstr do nas podobnych. Pochodzili prawie ze wszystkich krajów Austryi, byli nawet pomiędzy nimi mahometanie. Umarło nam siedmiu. Tylko jeden dzień spędziłyśmy w pośród nich tak przyjemnie, bo zapowiedziana katastrofa miała nas spotkać nazajutrz. W nocy przyszło do nas kilku rozbitków austryackich, prosząc o nocleg i opowiadając, że się źle powodzi naszym.

Dnia 28. sierpnia część przestraszonej ludności pochowała się do kaplicy, a drudzy, uciekając ze wsi, wbiegli do nas na podwórze, głosząc z płaczem, że Moskale są już w Nowosiółkach. Pełne trwogi oczekiwałyśmy ich nawiedzin. Nie kazali na siebie długo czekać, gdyż już o godz. 8. rano weszli do naszego szpitala. Byli to zwyczajni sołdaci, nie tak okrutni, jak Kozacy. Gniewało ich to, że ludzie przed nimi uciekają i uspakajali ich, mówiąc, że „oni przecież nie zwierzęta“. Dopytywali się tylko za „Awstryjciami“, gdyż byli w obawie, czy się u nas nie ukrywają. Z tego powodu odbyli w naszym domu aż siedm gruntownych rewizyi, tak dokładnych, że nawet za drzwi zaglądali, czy tam na nich nie czyha Austryak. Uszanowali tylko nasz dormitarz i refektarz, poprzestając na otwarciu drzwi. Cały szpital z lekarzem dostał się do niewoli. Nie bardzo się obłowili, bo ten szpital był licho zaopatrzony. Odebrali broń naszym, przeszukali tornistry, grabiąc, co tylko się dało. Zresztą dość grzecznie i po ludzku obchodzili się z jeńcami. Po wkroczeniu pierwszych przyjechało konno kilku prawdziwych Kozaków z długiemi dzidami i ustawili się wprost naprzeciw okien szpitala, pewnie

dla postrachu. Po tej krótkiej paradzie opuścili podwórze. Siostry, jak poprzednio, służyły rannym aż do wyjazdu szpitala. Pamiętamy dobrze ten pierwszy dzień carstwowania. Tak nas oswobodzili z wszelkich zapasów żywności, że na obiad pozostały nam tylko jałowe ziemniaki. Spożywałyśmy je ze łzami na myśl o długiej niewoli i rozłące z najdroższem Zgromadzeniem. Teraz byli zmuszeni sami dostarczyć wszystkiego dla chorych. Na domiar złego ktoś wystrzelił w pobliżu szpitala. Powstał popłoch wśród Moskali. Ustawili w szeregu austryackich sanitetów, twierdząc, że wystrzał pochodził ze szpitala. Po rewizyi puszczono ich, grożąc śmiercią wszystkim w razie ponownego wystrzału.

Dnia 29. sierpnia rozkazano wszystkim Siostrom wybrać się z Nowosiółek pod pozorem służenia rannym w innych szpitalach rosyjskich. Jednakże cofnięto ten rozkaz, widząc nasz opór. Poprzestali tylko na wydaleniu ludności z naszego domu.

Dnia 30. sierpnia rozpoczęła się pięciodniowa straszna bitwa pod Jaktorowem, z której około 1000 rannych przywieziono do nas. Prawdziwą niespodziankę zgotowali Austryacy Moskalom w drodze do Lwowa. Zauważyłyśmy znaczne zaniepokojenie wśród starszyzny rosyjskiej, bo nasi, mając dobrą pozycyę, położyli tam trupem tysiące Rosyan. Wkońcu jednak musieli ustąpić przed przeważającą siłą. Napływ rannych był tak liczny, że mimo transportu dawniejszych do Kijowa, zapełniono nimi każdy wolny kącik. Sale szpitalne, cała szkoła, kapelania, korytarze i szopa przepełnione były rannymi. Okropny to był widok! Samej starszyzny rannej była jedna sala. Wspólnie z lekarzami pracowałyśmy dzień i noc, bo ciągle nadchodziły nowe transporty. Tak było do końca wspomnianej bitwy.

Dnia 4. września o godz. 10. rano wywieziono resztę rannych do Rosyi. Szpital podziękował nam grzecznie i wyruszył w stronę Lwowa. Potem nie miałyśmy już żadnego szpitala aż pod koniec czerwca 1915 r. Nastąpiła dziesięciomiesięczna niewola i tęsknota za swoimi. Ciągle nowe roz-

porządzenia caratu dodawały bólu, uszczuplając dawniejszej swobody. Brak pracy, właściwej naszemu powołaniu, spowodował wyjazd czterech Sióstr do sąsiednich naszych szpitali, by służyć chorym. Przez cały przeciąg tego czasu prawie codziennie słyszałyśmy kanonadę. Im była ona bliższą, tem bardziej cieszyłyśmy się błogą nadzieją rychłej wolności. Miałyśmy nadzieję przeciw wszelkiej nadziei, nie widząc wśród ciągłych klęsk deski ratunku; z drugiej strony zdawało się nam, że słuszna sprawa musi zwyciężyć, a że nasza Cudowna Matuchna nie zawiedzi tak ogólnej ufności w Jej pomoc. Tymczasem coraz większe siły Rosyan spieszą na naszych. Prawie codziennie nowe oddziały widać na gościńcu, tysiące trenu i bydła spieszą na zachód. Widzieć było można pułki rozmaitego gatunku; od Charkowa, Półtawy, Kijowa, Czerkiesów w stroju narodowym w wysokich, baranich czapkach, Tatarów i Dońskich Kozaków. Nawet trafiali się Polacy od Warszawy, którzy nocując we wsi, przychodzili do naszej kaplicy. Miałyśmy częste wizyty ciekawców, same nawzajem podziwiając ich obyczaje i stroje. Często starszyzna zaglądała do nas na kwaterę. Początkowo tryumf Moskali nie miał granic. Śmiali się z Austryaków, że skoro tylko ich zobaczą, to dają drapaka bez bitwy. Głosili, że „Lwów wezmą na śniadanie, Kraków na obiad, a Wiedeń na kolacyę“. Z nadejściem zimy miałyśmy znów inne widowiska. Już mało przechodziło wojska, a zato w Nowosiółkach pozostawiono załogę 33 Moskali pod pozorem pilnowania gościńca, na którym od czasu caratu bywały wypadki rabunku. Załoga chciała początkowo umieścić się w naszym domu, ale oparłyśmy się temu. Pozwoliłyśmy im tylko na pieczenie chleba w naszej piekarni. Było widać u nich mało ogłady, byli nadzwyczaj krzykliwi. Z czasem jednak wśród naszej ludności nabyli delikatniejszego obejścia.

Począwszy od Bożego Narodzenia, pocieszył nas Pan Bóg przybyciem kilkudziesięciu jeńców austryackich, którzy zdołali odłączyć się od innych i chodząc po wioskach, pomagali nieraz w pracy, a żyli przeważnie o proszonym chle-

bie. Skłoniła ich do tego obawa przed Sybirem, a nieraz brak sił nie pozwolił na dalszy marsz. Od nich dowiedziałyśmy się wielu pocieszających rzeczy. Załoga rosyjska, chcąc nam pochlebić i okazać się dobrą, pozwalała tym biedakom spocząć u nas przez kilka dni. Starałyśmy się w tym czasie odzież ich i bieliznę doprowadzić do porządku, bo naprawdę byli w opłakanym stanie. Za naszym przykładem cała wioska chętnie u siebie podejmowała i gościła, czem mogła, nieszczęśliwych jeńców. Po wypoczynku kazano im iść samym do Rosyi, dokąd naumyślnie nie mogli trafić, chodząc w kółko po okolicznych wioskach. Zdarzało się nawet, że zamiast do Brodów zaszli do Lwowa jedynie, by przydłużyć swój pobyt w Galicyi. Jeńcom, którzy mieli rodziny w miejscowościach zajętych przez Rosyan, pozwolono na krótki pobyt w domu.

Walki karpackie wysłały znowu liczne transporty rannych. Mniej ranni wracali na pokaleczonych koniach i nieraz spoczywali w Nowosiółkach. Biedni, powtarzali ze smutkiem, jak ich strasznie Germaniec bije. Znów błysła nam gwiazdka nadziei. W tem jakby grom z nieba przychodzi wiadomość o upadku Przemyśla i to w samą uroczystość Zwiastowania. Przygnębienie nie do opisania i ogólne zwątpienie. Z drugiej strony radość u naszych wrogów. Znowu większy ruch na gośińcu, jadą wozy naładowane rzeczami, zrabowanemi w Przemyślu, nowe wojska i szpitale dążą w Karpaty i na Kraków. Wszyscy przypisują Rosyi najpewniejsze zwycięstwo. Spodziewano się odebrać Kraków na Wielkanoc. Tymczasem natrafiła Rosya na taki opór, który ich bardzo zdumiewał.

Dnia 23. kwietnia sam car zjeżdża oglądać zdobycze. Naturalnie pewniejsza podróż gościńcem, który musiano poprzednio nawet pozamiatać. Przybył do Lwowa w towarzystwie 20 samochodów, następnie udał się do Przemyśla i w Karpaty. Kiedy wracał i którędy, niewiadomo, chowano to w tajemnicy, widocznie dla bezpieczeństwa. Jakoś źle wpłynął na swą armię, bo po upływie tygodnia musiała zarządzić powszechny odwrót. Widzimy znów długie szeregi wozów z rannymi, nastaje wędrówka Moskalofilów do nowej

ojczyzny w miarę cofania się Rosyi. Nowe siły idą niechętnie do boju, mówiąc, że ich czeka pewna śmierć, że idą na „mięso“. To znów nie wierząc w waleczność świeżych pułków, twierdzą, że jeżeli pierogami nie zdołano pobić Germańca, to zacierką tem mniej coś zrobią. Rosła nasza nadzieja na widok zwycięstw niezwykłych, a z nią obawa, bo grożą Moskale, że w razie ustąpienia wszystko zrabują, a wioskę spalą. Setki żydów wynędzniałych i innych podejrzanych prowadzono do Rosyi. To znów rozbitki rosyjskie wracały pojedyńczo lub małemi gromadami, lżąc Germańca i Madziarów. Wystrzały coraz bliższe upewniają nas, że już niedaleko Austryacy, którzy przywrócą nam dawniejszą swobodę. Każdy dzień nowe zwycięstwa przynosi. Chwalimy Boga za dziwne jego sprawy i dzięki składamy Pannie Najśw. za Jej cudowną pomoc, którą okazała właśnie w miesiącu Swej czci poświęconym. Następuje z kolei rabowanie Lwowa i okolicznych wiosek i transport tego rabunku do granicy. Płakać się chciało, patrząc na te setki wozów, zabierających nasze bogactwa. Za nimi zdąża tren rosyjski, zjeżdża z gościńca i spieszy krótszemi, pólnemi drogami na Krasne. Wioskę zaczynają niepokoić kopaniem szańców; ludność chowa się po lasach i nie chce pomagać wrogowi. To znów zabierają mężczyzn, zdolnych do wojska, jako jeńców. Coraz okropniejsze nastają czasy. Rozlega się bezustanny skrzyp wozów i samochodów. Liczne latawce spadają na sąsiednie pastwiska, a huk armat słychać ze wszystkich stron. Już cofnięto rosyjską amunicyę do Nowosiółek, przy której większa część Polaków. Przychodzili do nas, prosząc o przesłanie wiadomości ich rodzinom, znajdującym się już pod panowaniem Austryi. Wątpią o zwycięstwie cara, bo wielki brak wszelkiej amunicyi. Toczą się walki o Lwów, a w Nowosiółkach zaczynają rabować. Zaczynając od dzwonów, zabrali wszystkie nasze i z cerkwi, pozostawili nam tylko sygnaturkę, której nie spostrzegli. Kozacy pojedyńczo na swoją rękę rabują pieniądze i bydło. Nie wiele skorzystali, bo uprzedzona ludność uciekła z dobytkiem do lasu, gdzie trudno ją było odszukać. Myśmy

także poszły za ich przykładem. To trwało prawie dwa tygodnie. Namawiano także lud, grożąc Germańcem, by z całym dobytkiem udał się do Rosyi, ale nikt nie dał się namówić. Nam także proponowano wyjazd, a gdy odmówiłyśmy, tłumacząc się tem, że musimy pozostać na miejscu, rozgniewany Kozak rzekł nam na pożegnanie: „Panuje sobi z Bohom i Germańcem“. Wreszcie wydano ostatni rozkaz, by pokoszono wszystko zboże, chociaż zielone, nie chcąc Germańcowi zostawić ani źdźbła żywności. Nie posłuchaliśmy rozkazu i na tem się skończyło.

Dnia 27. czerwca zawitał do nas szpital rosyjski, a z nim dwóch lekarzy Polaków i ks. kapelan wojskowy, także Polak od Warszawy, dawniejszy kapelan naszych Sióstr. Zrobiło się nam trochę znośniej w takiem towarzystwie. Naturalnie byli nam bardzo przychylni i bronili przed nachodzącymi Kozakami. Nawet księdzu ruskiemu dali w tym celu osobną straż. Teraz cała linia bojowa posunęła się pod Jaktorów, znany z początku wojny.

Dnia 28. czerwca rozpoczęła się tam bitwa, trwająca pięć dni. Z niej przywieziono około 400 rannych, których po krótkim spoczynku wysyłano do Rosyi. Tym razem sami ich obsługiwali, a Siostry tylko ich odwiedzały. Pomiędzy nimi było kilku Austryaków, zabranych widocznie z patroli. Lekarze upewniali nas, że pobędą tylko dwa dni, tymczasem nadspodziewanie bitwa się przedłużyła.

Nareszcie dnia 3. lipca po południu otrzymali rozkaz wyjazdu pod Złoczów. Z tego sądziłyśmy, że Rosyanie cofną się pewnie na Nowosiółki. Strach znowu przed Kozaczyzną, która poprzedzała zwykle wojska regularne. W okolicy liczne pożary. Moskale palą resztę dworów, wsi i miasteczek. Prawdziwy to obraz końca świata! Czekamy, rychło zapalą naszą wioskę, a przypominamy Najśw. Pannie Jej cudowne medaliki wokoło wioski. Lecz nasi zbyt nacierają, nie dając czasu na niszczenie. Powszechnie jednak wszyscy przypisują to ocalenie opiece cudownego medalika, bo blizkość gościńca czyniła naszą wioskę widoczną wrogowi, wiedzącemu do tego,

że w niej niema Rusofilów otwartych. — Noc przeszła spokojnie.

Dnia 4. lipca rano spostrzegłyśmy z naszych okien cofanie się Rosyan. Piechota, ustawiona na naszych polach, strzelała do Austryaków, zasłaniając cofającą się artyleryę rosyjską. Potem udała się do przygotowanych okopów za Olszanicą i pod Łysą Górą. Nastąpiła chwilowa cisza. Po południu przyszła do nas patrol austryacka. Nie wierzyłyśmy własnym oczom, widząc przed sobą Austryaków. W ślad za nimi nadeszły wojska nasze i po większej części stanęły kwaterą w naszych zabudowaniach. W nocy wychodziło wojsko do kopania szańców i przygotowywało płoty kolczaste, bo w dzień nie mogli się spokojnie tem zająć, nie chcąc się zdradzić przed Moskalami. Starałyśmy się ułatwić im zagospodarowanie się, a starszyzna nawzajem zaopatrywała nas w niektóre wiktuały, których nam na razie zabrakło. Na każdym kroku czułyśmy, że to nasi przybyli w przeciwieństwie do Moskali, od nich bowiem niczego nie mogłyśmy się doprosić. Zresztą nasze wojska były lepiej zaopatrzone od Rosyan. W niedzielę miałyśmy nabożeństwo ze śpiewem niemieckim. Aż dwóch kapelanów wojskowych miało u nas Mszę św.

Dnia 2. lipca zarządzono zmianę wojsk niemieckich na węgierskie i wysiedlono ludność tutejszą do miejscowości bezpieczniejszych. Ponieważ mury naszego domu są dość grube i kule armatnie nie zdołałyby ich przebić, pozwolono nam z kilku rodzinami pozostać, ale obłożono aresztem domowym. Nie wolno było nikomu wychodzić z podwórza bez żołnierza lub Siostry. Ostrożność była konieczna z powodu, że cała wioska z nami leżała pod ogniem armatnim. Po przybyciu Madziarów aż do ustąpienia Rosyan, nastało życie jednostajne. Zwyczajnie w dzień walka działowa, a w nocy karabinowa. Widziałyśmy pękające granaty obu stron walczących, co początkowo bardzo nas przerażało, gdyż zachodziła obawa o nasz dom z powodu kwatery wojska. Na szczęście nieprzyjaciel nie wyśledził tego pomimo częstych

latawców nad nami, bo żołnierze starali się za każdym razem dobrze ukryć i ze szpitala do nich nie strzelali. Zato w okopach nie próżnowały karabiny maszynowe. Musiałyśmy się chować, aby przypadkiem nie dostać spadającą kulką. Okien naszych od strony wroga nie było wolno oświetlać. Żałował nas pewnie Moskal, bo nieomal każdej nocy kierował reflektorzy na nasz dom, tak że na dormitarzu było zupełnie jasno. Nasi mało używali reflektorów, zastępując je rakietami, puszczanemi w wielkiej ilości. Szkoda tylko, że nas prawie co noc budzili pukaniem z karabinów. Zresztą w domu dosyć wesoło. Widać jednakże piękną karność wojskową, bo pomimo kilkuset żołnierzy cisza i porządek wzorowy. Ponieważ tylko połowa wojska bawiła w okopach, urządzono zmianę co drugi dzień. Pozostali w domu odpoczywali lub odbywali zwyczajne ćwiczenia w naszym ogrodzie. Miałyśmy także w domu telefon wojskowy i tym sposobem otrzymywałyśmy wiadomości o zwycięstwach bardzo szybko. Warto było widzieć oficerów, co jak studenci skakali z radości na każdą taką nowinę. Szczególniej po zdobyciu Warszawy, dnia 5. sierpnia, nie była końca radości. Do późnej nocy odbywały się śpiewy węgierskie, a nawet pieśni pruskie śpiewano. Cały pas okopów trząsł się od śpiewu i wykrzykników. Co słysząc Moskale, zaczęli również śpiewać w okopach. Cóż tedy robią nasi? Napisali na kilku drewnianych tablicach dużemi literami po rosyjsku o zdobyciu Warszawy, postawili blizko ich okopów i oświetlili, aby mogli sobie przeczytać. Za to później Rosyanie rzucali kartki z latawców na naszą stronę, wyrażając nadzieję odebrania utraconych fortec. W czasie pobytu Madziarów miałyśmy w kaplicy śpiew węgierski. Po odśpiewaniu hymnu ludów w języku węgierskim i niemieckim, śpiewano „Boże, coś Polskę“, na naszą melodyę, ale po węgiersku. Chcieli tem okazać swą sympatyę do Polaków. Rusinom, chociaż Ukraińcom, nie bardzo dowierzano. Rzeczywiście miałyśmy u Austryaków bardzo wiele względów. Ponieważ nie można było żniw odbywać, jak zwykle, zajęli się sami sprzętem zboża, a nawet je wymłócili. Pracowali na

polu tylko w nocy, bo w dzień Moskal nie pozwalał. Później, gdy ludziom pozwolono z pobliża przychodzić i w pewnych godzinach zbierać zboże, przebierali się za wieśniaków i pomagali im w pracy. Urodziny cesarskie, przypadające w tym czasie, obchodzono bardzo uroczyście. Ubrałyśmy dom wieńcami i chorągwiami, a w powietrzu rozbrzmiewały liczne salwy armatnie. Moskal, nie chcąc być dłużnym, odpowiedział na nie w niezwykły sposób. Użył w tym celu pierwszy raz armat japońskich, które biją cicho; słychać tylko wycie i eksplozyę granatów. Zresztą upływały dni monotonnie prócz kilku, na które zapowiedziano atak. Wtenczas ruch w domu, przenoszenie pościeli i rzeczy do piwnic i na parter, a po daremnem oczekiwaniu naodwrót. Czasem znów łuna na niebie wskazuje, że Rosyanie prowadzą dalej swe dzieło zniszczenia. Sprzykrzyła się nam ta jednostajność, wyglądałyśmy codziennie odejścia Rosyan, ale nadaremnie. Dopiero po zdobyciu Brześcia Litewskiego, gdy się wyrównała nasza linia bojowa, zapowiedziano nam stanowczy atak z naszej strony na 27. sierpnia. O godz. 10. rano rozpoczęła się niebywała kanonada. Około półtora tysiąca kul działowych posłano Moskalom, którzy słabo i rzadko strzelali. Widocznie wycofywali działa, myśląc o ucieczce. Przyzwyczajone do takiej muzyki, nie bardzo bałyśmy się, bo tylko rosyjskie granaty mogły nam szkodzić. W nocy nastąpił atak, na szczęście nie wprost naprzeciw nas, tylko na prawem skrzydle. Przerwano linię rosyjską i zmuszono Rosyan do ucieczki o godz. 3. rano. Pożegnali nas w samą rocznicę wkroczenia do Nowosiółek. Za nimi podążyły nasze wojska pod Złoczów. O jak bardzo dziękowałyśmy Bogu za tak szczęśliwy obrót rzeczy!

Dnia 29. sierpnia zjechał szpital sztabowy z kapelanem wojskowym, przed którym spowiadałyśmy się, gdyż od dwóch tygodni nie miałyśmy księdza, a Komunię św. dawał nam ksiądz ruski. Naszego księdza dziekana uwieźli Moskale do Złoczowa, przytem w straszny sposób zrabowali tamtejszy kościół i plebanię, a całe Gołogóry spalili doszczętnie. Niezadługo przybyło kilka set rannych z pod Złoczowa. Po więk-

szej części jednak mieli nieznaczne rany i przychodzili pieszo, a po dziennym wypoczynku wysyłano ich do dalszych szpitali. Obecny szpital był bogato zaopatrzony, mieli nawet własne łóżka i wogóle nie było widać najmniejszych braków. Oprócz sal i słomy nie potrzebowałyśmy niczego im dawać. Służba szpitalna tak liczna, że Siostry były zbyteczne. Odwiedzałyśmy wszakże chorych, pilnując, by słabsi byli zaopatrzeni na śmierć. Sami lekarze prosili księdza kapelana o częstą wizytę sal w tym celu.

Powoli zaczęła ludność powracać, lecz niestety, wielu z wysiedlonych nie oglądało swych progów. Jednych asenterowano do wojska, inni umarli na cholerę lub z przemęczenia. Nawet już po powrocie kilku zachorowało na cholerę. W naszym domu nie było ani jednego wypadku tej epidemii; być może dlatego, że wojskowość zarządziła ogólne szczepienie. Po ustąpieniu wojsk zwiedzałyśmy okopy austryackie, podziwiając podjętą pracę w tak krótkim czasie. Na szczególniejszą uwagę zasługują gustowne domki artyleryi, zbudowane w lesie. Chociaż Rosyanie tak długo bombardowali naszych, nie widać było w okopach żadnej szkody. Wogóle licho strzelali; zaledwie zdołali zburzyć jedną szopę chłopską i dach na leśniczówce. Chociaż kule padały we wsi, nikogo z cywilnych nie zraniono.

Dnia 4. września ustąpił szpital sztabowy miejsca rezerwowemu, pozostawiając mu do 60 ciężko rannych. Zadaniem tego szpitala było pielęgnować chorych do czasu, gdy nabiorą dostatecznych sił do podróży.

Dnia 15. września wysłano wszystkich rannych, a szpital podążył do Brodów. Odtąd nie miałyśmy już rannych. Z całej masy w ciągu roku umarło 35 Austryaków i około 15 Rosyan.

Dnia 17. września nadzwyczajna radość, bo przybył do nas Najczcigodniejszy Ojciec Wizytator, a dnia następnego odjechał do Białego Kamienia z obietnicą rychłego powrotu. Rzeczywiście dnia 24. września powrócił do nas na kilka godzin.

Odtąd nastała cisza, tylko niekiedy zbaczają na nocleg szpitale lub oficerowie. Czasem słyszymy od Tarnopola strzały. Na gościńcu ruch coraz mniejszy, widocznie koleją się posługują. Tylko gromady jeńców idą do Lwowa albo spieszą do zasypywania okopów rosyjskich. Nowe życie się zaczyna! Mimo wojny rząd pamięta o potrzebach swych poddanych. Zaledwie walki się oddaliły, zabrano się do odbudowania spalonych wiosek, używając do tego jeńców. Ponieważ żniwa z powodu walk nie mogły się odbyć w swoim czasie, a potem znowu ciągłe deszcze przeszkadzały, sprzęt zboża, po części porosłego, dokończył się dopiero z końcem września, a sianożęcie i zasiewy ledwie zaczęte. Wszystko znacznie spóźnione. Lecz dzięki Bogu, mamy znów piękną pogodę i pomoc w pracy.

Dnia 2. października zjechał do nas wojskowy oddział robotniczy, który bez żadnego wynagrodzenia zwozi wszystko z pola i przygotowuje rolę pod zasiew. Korzystamy także z tego dobrodziejstwa, a da Bóg, pokończymy roboty w polu przed zimą. Zdaje się, że chleba, a osobliwie ziemniaków, będzie pewnie dosyć. Widocznie opieka Boska nad nami, bo chociaż pola były w tym roku zaniedbane, urodzaj bardzo dopisał. Nie poniosłyśmy zatem żadnej szkody w pośród morza nieszczęść, które okolice i kraj nasz nawiedziły. Nie zawiodła nas ufność w naszej Niepokalanej Matce i spodziewamy się do końca wojny, że potrafi nas ochronić przed wszelkiem złem.

Rozdół. *Z listu z dnia 23. czerwca 1915 r.*

Dzisiaj rano przybyło do Rozdołu wojsko nasze na miejsce rosyjskiego. Jest możliwe, że w tych dniach mieć będziemy pocztę, dlatego spieszę z radością donieść, chociaż króciutko, Najczcigodniejszym Przełożonym o tem wielkiem dobrodziejstwie, jakie Wszechmocny Bóg wyświadczyć raczył całemu miasteczku i nam, gdyż miasto wcale nie zniszczone, tylko najbliższe folwarki całkowicie zrabowane, więc i nasi dzierżawcy w Kijowcu i w Derzowie: zostały tylko budynki, za co też Panu Bogu dziękujemy.

Od jedenastu miesięcy doświadczamy rozmaitych odmian, z wojny wynikających. O przebiegu tych naszych kłopotów i o naszych zajęciach pragnę później szerzej napisać. Dzięki Panu Bogu wszystkie Siostry zdrowe.

Zaraz z początkiem września 1914 r., gdy całą inteligencyę rozdolską ogarnęła straszna panika przed nadejściem Kozaków, wyjechali wszyscy trzej księża. Rozdół był przez pewien czas bez pomocy duchownej. Dopiero z końcem listopada ks. Arcybiskup przysłał administratora parafii, który swoją dobrocią i gorliwością całkowicie podniósł na duchu rozdolskich parafian.

My też uległyśmy namowom inteligencyi, kilka nas wyjechało do Stryja, skąd po tygodniu z niemałym trudem wróciłyśmy do Rozdołu i już zastałyśmy około 200 rannych Rosyan, którymi zajęły się pozostałe w domu Siostry.

W Stryju Siostra Chmielewska przyjęła nas serdecznie. Ale co ominęłyśmy w Rozdole, temu byłyśmy przytomne w Stryju, bo właśnie wtedy weszło wojsko rosyjskie i zajęło miasto.

Ciężkie to były dni; dobrze, że już minęły.

3. lipca.

W Rozdole zanosiło się na straszną bitwę. Byłyśmy naokoło oszańcowane i otoczone po wszystkich wzgórzach armatami. Już zaczynały grać nad naszemi głowami, lecz Pan Bóg i Najśw. Panna cudownie to nieszczęście oddalili, bo jednej nocy Rosyanie cofnęli się z Rozdołu zupełnie bez walki, a rano ku naszej radości zobaczyliśmy naszych żołnierzy. Dzięki Najwyższemu nie było też ognia, tak Opatrzność Boża czuwa nami.

Już trochę po tych strachach odetchnęliśmy, ale bieda drożyzna.

4. lipca.

W tych dniach, z roporządzenia obecnych, właściwych władz, ma się rozpocząć nauka w szkole; w lipcu i sierpniu będzie we wcześniejszych godzinach, od 7. rano do 11. przed południem; zaś od września, jak zwykle.

Bursztyn.

Dnia 14. sierpnia 1914 r. i dni następnych rozpoczął się bardzo liczny przemarsz wojska. Wezwano mnie do Starostwa po odznaki Czerwonego Krzyża. Dnia 18. sierpnia na drodze do Rohatyna ciężko było nam przeprawić się wśród pułków piechoty, konnicy i automobilów. Jechałyśmy jednym koniem, bo drugiego zabrali nam 15. sierpnia dla wojska. W mieście wyłudniło się, w biurach gdzieniegdzie jeden urzędnik; lekarzy już nie było. Kobiety, niedorostki, starcy jeszcze się kręcili, narzekając, jak dokończą zbiorów, aż 26. sierpnia wszystko, co żyło, poczęło od godz. 3. rano uciekać ku południowemu zachodowi; nawet najubożsi brali tłumok na plecy i w drogę, choćby do najbliższego lasu. W całym Bursztynie, oprócz klasztoru, prawie wszystko uciekło, nasz ksiądz kapelan także. Około południa mówiono, że w Martynowie nie puszczają przez most na Dniestrze, więc p. Korzeniowski z pod Brzeżan, uciekając, gdy dalej nie mógł, zajechał do nas w trzy zaprzęgi i z 15 ludźmi i pozostał przez trzy tygodnie.

I nam było strasznie! Oddałyśmy się Najśw. Pannie; na drzwiach, oknach, parkanach pozawieszałyśmy Cudowne medaliki, zapaliłyśmy lampki i świece na ołtarzach i wraz z dziećmi i domownikami śpiewałyśmy: „Święty Boże“, Godzinki i odmawiały koronkę. Na domu zawiesiłyśmy chorągiew Czerwonego Krzyża. Tegoż dnia po południu nadciągnęli do klasztoru ludzie ze Sarnek, ze Skomoroch z p. Tomaszewskim, Siostry Maryanki z trzech domów. Ku wieczorowi był ścisk wielki, bo i z lasu powracali niektórzy, a przyszli do nas z dziećmi, wozami, krowami; tak był pełny dom, korytarze, podwórze i część ogrodu. Trwało to parę dni.

Dnia 27. sierpnia przywieziono nam pierwszych rannych z Jezierzan.

Dnia 28. sierpnia przeciągało bardzo dużo wojska austryackiego. Ostrzeliwali aeroplan rosyjski. Nocowali poniżej klasztoru na polance, przychodąc coraz po wodę do naszej studni.

Dnia 29. sierpnia miałyśmy Mszę św. o godz. 6. Wtedy dały się słyszeć strzały coraz głośniej i częściej. Moskale napadli na Austryaków na polanie pod klasztorem, konie i wojsko rzuciło się w nasze podwórze, przesadzali parkany, przez ogród uciekali, dając po drodze strzały do goniących ich Moskali, ci strzelali na naszych i tak miałyśmy bitwę na naszem podwórzu. Po Mszy św. błogosławieństwo Najśw. Sakramentem, „Święty Boże". Wtedy granaty padały nad domem i ogrodem, a kule jak grad sypały się po dachach, przebijając szyby, wpadały do mieszkania: popłoch, tłok, pisk — i Moskali kilku w kaplicy, w czapkach, biegnie nadstawiając bagnety. Jeszcze strzelali koło domu. Kilku rannych żołnierzy przybyło znowu do szpitala. Nasze sieroty zabierały się do śniadania, gdy jedna jeszcze kula moskiewska wpadła do jadalni, przebiwszy szybę, świsnęła koło ucha dziecka i utkwiła w przeciwnej ścianie. Moskale zrewidowali każdy kąt domu, czy się tutaj żołnierze nie pokryli. Od tego dnia nie widziałyśmy już wojsk austryackich.

Drugiego dnia chłopi ze sołdatami urządzili rabunek. Sklepy, mieszkania prywatne, składy, młyny, fabryki rozbijali, kradli, resztę palili, przewracali latarnie, słupy telegraficzne, zdzierali napisy. Nam co chwila ciągnęli to krowy, to konie i co się dało, ale broniliśmy się, że to Czerwony Krzyż, że to szpital, i tak jakoś nam się obrona udawała.

Przywieźli nam Moskale rannych austryackich przeszło 120 i 40 Moskali, wśród których było 8 cholerycznych. Przywozili dniem i nocą, a kładli nawet na korytarzach na słomie. Lekarze rosyjscy zaledwie się na chorych popatrzyli. Opatrunki robił zaledwie jeden. Czasem przysłali trochę żywności dla chorych; przeważnie same musiałyśmy się starać o wszystko i dzielić się z chorymi domowymi zapasami.

Od połowy września przybył rosyjski urzędnik; urzędował w magistracie. Co chwilę nas spisywali. Karał tych, co rabowali. Broń Boże, mówić, że rabowali naspół z Moskalami. Robili rewizye u chłopów, odbierali im łupy, niby, aby oddać właścicielom, a sami je sobie przywłaszczali. Ciągle od-

bywały się przemarsze, ale już tylko te straszne hordy Kozaków, Kirgizów. Rozbierali płoty, zagrodzenia, palili ogniska, rabowali drób, sady i ogrody. Odgrażali się, że idą na Kraków, na Wiedeń, na Berlin. Jeden zapytał tutejszego sędziego: „A daleko do Wiednia?“ Ten mu odrzekł: „Ej, bliżej do nieba!“ A też tych Moskali wysiekli bardzo pod Gródkiem, a tak bliżej im było do nieba.

Zimę miałyśmy bardzo ciężką. Nasze źródła dochodów znikły. Panie za sieroty nie płaciły, subwencyi w styczniu nie było, drzewa nie dostałyśmy. Z naszych procentów wypłacono nam tylko połowę.

Do Nowego Roku jeszcze było tu dość tanio, ale później wszystko szło w górę niemożliwie, np. 1 kg. kawy do 14 K. Zaznałyśmy wtedy zimna, kłopotów i różnej biedy. Mieszkanie prawie wcale nie opalane, drzewo chowałyśmy dla kuchni głównie; u chorych i dzieci przepalało się po trosze. Całą zimę chodziłyśmy do parafii, a to tak daleko, jak z Kleparza na Grodzką. Nie chciałyśmy jeździć, aby nam Moskale koni nie zrabowali.

Ku wiośnie zbliżała się odsiecz, teraz w Maryampolu mieli kule koło domu, ale to jeszcze sie odwlekło. Nasza stacya Czerwonego Krzyża znowu się zapełniła; było przeszło 30 Moskali gorączkowych, od 10. marca do kwietnia 1915 r. I znowu uważałyśmy przygotowania do boju na naszej linii naddniestrzańskiej. Napływ wojsk coraz większy. Dużo rodzin żydowskich i huculów popędzono do Rosyi. Prowadzono też kilkaset jeńców austryackich. Od czerwca obóz Bursztyński bardzo się powiększył. U nas zakwaterowali się lekarze i oficerowie. Pozakładali telefony. Tren był w naszem podwórzu i ogrodzie. W kuchni i w całym domu gospodarują Moskale. Przyjechał i batiuszka, grał w karty z sołdatami, chciał się nam wpakować ze swojem nabożeństwem do kaplicy, ale mu poradziłam, że dla wojska, to najuroczyściej ołtarz polowy i tak obroniłyśmy naszą kapliczkę.

W tych dniach znowu odbywały się ćwiczenia na tej pamiętnej polance pod klasztorem; z drugiej strony próby

strzelania z karabinów maszynowych do nocy. Później zaczęto kopać szańce w naszym ogrodzie i wokoło. Nie wątpiłyśmy, że się znajdziemy pośród ognia z naszym biednym klasztorkiem pod drewnianym dachem. W Bukaczowcach, Martynowie i indziej strzały i pożoga. Podwoiłyśmy modlitwy, zakopały medaliki na wszystkie strony ogrodu i popod dach i czekałyśmy zmiłowania Bożego.

Oficerowie rosyjscy wynieśli się od nas około 23. czerwca. Dnia 27. czerwca rabunek i podpalanie w Bursztynie i naokoło; także wiele mostów spalono.

Dnia 28. cerwca przybyły wojska austryackie. Drugiego dnia pruskie z generałem Puttkammerem. Generałowie kwaterowali u nas; całą noc niemal przepędzili przy telefonach. Wojska oba rozłożyły się po sąsiednich górach. Strzelano z dział, kule leciały ponad Bursztyn i klasztor, dużo kul padało na miasto i tuż koło nas, nawet na nasze podwórze. Szańce stały próżne, a my dzięki Niepokalanej Matce znowu ocalone.

To jeszcze nie koniec! Słychać strzały dość blizko — módlmy się jeszcze!

Od połowy lipca mamy znowu w domu chorych około 50, następnie cały tren sanitarny i 9 lekarzy i aptekarzy.

Dnia 10. sierpnia tren odjechał do Królestwa; pozostali chorzy i dwaj lekarze.

Obecnie w mieście i okolicy cholera nie ustała jeszcze, ale zdaje się już mniejsza. Urządzono oprócz szpitala cholerycznego w sądzie, znowu w gmachu szkolnym dom izolacyjny dla rodzin, wśród których była epidemia. Tam lokują ich na kilka dla kwarantanny.

Zeszłego tygodnia miałam tam dozór, co mi zajęło dość dużo czasu.

Rohatyn.

Byłyśmy w czasie ostatnich walk w samym środku ognia, o dom nasz uderzały szrapnele raz po raz. W podwórzu było 4200 Rosyan, a przed nami Austryacy, którzy nas uprze-

dzili, że gdyby zmuszeni byli użyć granatów, dom padnie w ruinę. Szczęściem obeszło się bez granatów; trochę muru uszkodzili, szyb natłukli, krowę zabili, lecz dom ocalał. Pięcioro dzieci z przestrachu rozchorowało się na tyfus. Siostra Brodzińska także dostała tyfusu, lecz i dzieci i Siostra szczęśliwie wyszły z tego, lecz później Siostra Brodzińska dostała wrzodu na mózgu i w kilkanaście godzin umarła. Także Siostra Kuzora umarła dnia 27. lipca na cholerę azyatycką.

Kozacy zrabowali nas bardzo!... a ludzie pomogli. Zboże zabrali dla koni, wzięli 38 krów, 300 sztuk drobiu, 17 koni. i to bez najmniejszej zapłaty. Wszystkie płoty popalili, łąki i w zeszłym i w tym roku wypaśli, koniczynę skosili; w lesie były też szkody ogromne. W ostatniej bitwie granatami strzaskali mieszkanie fornali, część młyna, szkołę i olearnię spalili. Inne budynki folwarczne stoją, a Moskale, odchodząc, podminowali je, aby Niemca, gdy przyjdzie, wysadzić w powietrze. Uprzedziłyśmy naturalnie patrol, a tak Niemcom nic się nie stało i budynki ocalały. Cały folwark wciąż zajmuje wojsko, dawniej Moskale, obecnie Austryacy, 200 koni i tren. Na Zalipiu także kwaterują Austryacy.

Rohatyn spalony, jakoteż Podgrodzie, a zatem 2 szkoły nasze na Zalipiu i Podgrodziu i 2 plebanie.

500 żydków zabrali Moskale do Rosyi, a trochę pomarło na cholerę. Obecnie epidemia zmniejsza się nieco. U nas w domu wszystko zdrowe.

Niemcy objęli nasz szpital cały z kapelanią i furtą, dużo baraków postawili, także różne desinfektory, pralnie, studnie 3 w ogrodzie, łazienki i nie wiadomo, co jeszcze będzie, bo wciąż budują. Dom nasz zupełnie zamknięty, nie puszczają nikogo, ostrożności wiele. Dziwią się, że żadna Siostra więcej nie umarła — Bóg nas strzeże!

Obecnie jest u nas oddział zakaźny; przyjętych 149 osób. W roku zeszłym miałyśmy 803 rannych. Są 2 oddziały zakaźne, cywilny i wojskowy, na 300 osób. Ogród zajęty na baraki, gdzie mają być pomieszczeni cierpiący na różne choroby zakaźne.

W zastępstwie księdza kapelana, który na kilkanaście dni wyjechał do rodziny, mamy kapelana wojskowego.

Maryampol. *List z dnia 26. lipca 1915.*

Po dziesięciomiesięcznej niewoli próbuję donieść, że z łaski Bożej żyjemy wszystkie wraz z naszemi sierotkami, że Serce Jezusa i nasza Niepokalana Matka strzegli nas i szczęśliwie zachowali, gdyż mimo trzytygodniowej strzelaniny, mimo że nad nami gwizdały granaty i szrapnele, wszystko całe tak w Maryampolu jak w Dubowcach, trochę tylko uszkodzony róg domu księdza kapelana. Naturalnie dach nasz trochę podziurawiony, w kilku miejscach zacieka. Z powodu rabunku mamy dość znaczne szkody, ale cóż robić? nikt tego nie uniknął, jeszcze i tak łaskawie obeszli się z nami. Ale za wszystko niech będą dzięki i chwała Ojcu Niebieskiemu, a przedewszystkiem za to, że nas wyzwolił. Inne powietrze, inaczej się oddycha, gdy nasi przyszli, a przyprowadziła ich Matuchna nasza i Serce Jezusowe 2. lipca, w pierwszy piątek.

Miasteczko zniszczone, coś 180 numerów zupełnie spalonych od pocisków, cztery osoby zabite, a 15 czy 18 rannych cywilnych.

A w Krakowie kochanym? Mówią nam, że tam nie było zupełnie bitwy. Chwała Bogu, że nasz kochany Kraków ocalał od zniszczenia! O jak często byłyśmy myślą u naszych Najczcigodniejszych Przełożonych, jak odczuwałyśmy ich troskę o nas! Jednak nasza Niepokalana Matka dała rzeczywiście dowód, że jest z nami, że czuwa nad nami.

Siostry w Bursztynie i Stanisławowie także szczęśliwie Bóg zachował. Nie wiemy, jak Rohatyn, ale mówił mi jeden z oficerów, że Rohatyn spalony, ale klasztor i kościół ocalał. Kościół parafialny w Maryampolu strasznie zniszczony!

Maryampol w pierwszym roku wojny.

Byłyśmy pod panowaniem rosyjskiem przez całe dziesięć miesięcy, od 2. września 1914 do 2. lipca 1915.

Z początkiem wojny przez kilka tygodni gościłyśmy tak w Maryampolu jak i w Dubowcach liczne nasze wojska, przeważnie węgierskie. Wojsko zachowywało się bardzo spokojnie i przykładnie. Jednego dnia miałyśmy na obiedzie 90 oficerów, a między nimi J. Eksc. ks. Windischgrätza. Wszyscy prosili o medaliki, nawet pewien żyd lekarz, który natychmiast włożył go na siebie. Wkrótce zabrakło nam takowych zupełnie, a żołnierze radzili sobie, bo bez ceremonii zabierali dzieciom Maryi medale. U niektórych przebijała gorąca wiara i pobożność. Sama widziałam pewnego pułkownika, starszego wiekiem, który, mając już na sobie trzy srebrne medaliki, prosił mnie jeszcze o czwarty.

Tymczasem coraz bliższe strzały armatnie od strony Niżniowa i Bołszowiec dawały znać o zbliżającym się nieprzyjacielu, a przeróżne potworne wieści i pogłoski wyprzedziły go do nas i napełniły niewypowiedzianym strachem wszystkich. Ludność w panice uciekła, tak że w paru dniach nie pozostał nikt w mieście prócz wojska i kilku rodzin, które z rzeczami i całym dobytkiem szukały w klasztorze schronienia. Pomieściłyśmy ich, jak tylko było można; podwórze zapełnione było końmi i bydłem. Wszyscy wśród śmiertelnej trwogi oczekiwali Moskali. Ksiądz proboszcz, uciekając do Jezupola, zostawił u nas Przenajśw. Sakrament i cudowny obraz Matki Boskiej z wielkiego ołtarza. Siostry czuwały co noc dla bezpieczeństwa. Pewnego razu o godz. 11. w nocy słyszymy odgłos dużego dzwonu kościelnego. Zrywamy się wszystkie przerażone, parę Sióstr zabrało w pośpiechu swoje tobołki i w nowe suknie się poubierały, pewnemi będąc, że to znak jakiejś rzezi lub sygnał naszego wojska do ucieczki. Inne zaś polecały dusze Bogu... Po chwili dowiadujemy się, że wojsku pilno było potrzeba benzyny do samochodów, a żołnierz po nią wysłany, nie wiedział, co ma zrobić, gdyż wszędzie było pozamykane, więc zadzwonił sobie w duży dzwon kościelny. Dziś, gdy to już przeszło, wspominając o tem, serdecznie wszystkie się śmiejemy z siebie, ale wtedy rzeczywiście ciężka i denerwująca była chwila.

Z odejściem wojska pozostała straszna pustka i cisza grobowa, przerywana tylko gorącemi, nieustannemi modłami w dzień i w nocy. Ostatnie wreszcie strzały armatnie, wysadzające mosty kolejowe na Dniestrze w Haliczu i Jezupolu, były zapowiedzią, że Moskale już nadchodzą. Jakoż następnego dnia można było widzieć nadciągające z Dubowiec nieprzeliczone ich hordy w kierunku Halicza. Ból serce ścisnął, a oczy zaszły łzami, gdyż zdawało się, że już, już zostaniemy na dobre pod rosyjskimi rządami, gdy tymczasem Wszechmocny inaczej zrządził!

Zaraz po wkroczeniu Moskali zaczęły się rabunki. Ludność z okolicznych wsi wpadała wraz z Kozakami i rabowała, co się dało; nawet drzwi, okna i piece doszczętnie zrujnowano. Miasteczko podobne było do cmentarza, po którym snuli się tu i ówdzie Kozacy, wywijając dla postrachu nahajkami. Potem nadeszło wojsko regularne, lecz i ci nie mniejsi złodzieje. Byli częstymi gośćmi u nas, zwłaszcza w Dubowcach; przychodzili często w nocy nawet, zabrali parę koni, 30 sztuk bydła, wszystką koniczynę, owies (120 korcy) i wiele innych rzeczy. Raz wpadło sześciu żołnierzy z workami do mieszkania Sióstr i, pod pretekstem szukania Austryaków, brali wszystko, co było pod ręką. Innym razem szukali telefonów. Najgorszy kłopot był z krowami, bo chcąc resztę ocalić przed rabunkiem, sprowadziłyśmy je do Maryampola z folwarku i schowałyśmy je do ochrony, a w okna dałyśmy rodzaj firanek, inne były w piwnicy domowej, inne w altanie w ogrodzie. Kłopot był wielki, bo to wszystko było wystraszone i ryczało, a tem samem mogło zdradzić swe schronienie, ale przynajmniej tym sposobem dało się resztę krów ocalić. Niektórzy z Moskali pytali, czy w Haliczu mieszka wasz „Franz Josef?“ Że z Halicza już pewnie bardzo blizko do Wiednia! Starszyzna była grzeczna dla Sióstr i zachowywała się spokojnie.

Niewypowiedzianie smutną była dla nas wiadomość o wzięciu Przemyśla, bo Moskale ogromnie już tryumfowali i mówili, że wprost idą na Kraków i będą mieć całą Gali-

cyę. Tak byli pewni siebie, że na Boże Narodzenie mieli być we Wiedniu i śpiewać kolendy!!! Ciężkie, bardzo ciężkie były to czasy dla nas. Bóg jednak wkrótce nas pocieszył, bo z końcem lutego usłyszałyśmy dalekie strzały armatnie od strony Tłumacza i Stanisławowa. Otucha wstąpiła w serca na nowo, bo krążące wieści głosiły, że wojska nasze szybko się zbliżają. Potem już bezustannie było słychać strzelanie coraz to bliższe i rozpoczęły się bardzo zacięte walki nad Dniestrem, aż nareszcie dnia 27. lutego padły pierwsze strzały na Maryampol i ta straszna kanonada trwała do 4. marca. Najśw. Serce Jezusowe i Marya Niepokalana czuwali nad nami. Wojsko nasze widocznie ochraniało klasztor, bo ani jedna kula armatnia go nie trafiła, pomimo że setki ich przelatywały nad domem w stronę zamku, na którym były rosyjskie armaty. Strzały zaś karabinów maszynowych robiły wrażenie silnego gradu po blaszanym dachu kościoła. Tego też dnia jedna tylko kulka karabinowa wpadła do refektarza dzieci, lecz tam nie było nikogo. Niestety, dnia 5. marca, wszystko ucichło; wojska nasze cofnęły się poza Stanisławów, a Moskale tryumfowali dalej.

W duszy pozostał niepokój i smutek głęboki, tylko zdwojona modlitwa krzepiła zbolałego ducha. Jednak P. Bóg nas nie opuszczał i wkrótce na nowo pocieszył. W początkach czerwca zauważyłyśmy jakiś niezwykły ruch między Moskalami: najpierw zaczęły jechać treny wszystkiemi drogami w ogromnej liczbie; jechały dzień i noc, przeszło tydzień; następnie przesuwały się kolejno znaczne siły wojsk, co nam kazało się domyślać, że to cofanie się na całej linii. Zresztą coraz bliższe strzały upewniały nas o tem. Moskale zaczęli się na gwałt fortyfikować w Maryampolu i okolicy, tak że całe miasteczko było jakby ze wszech stron oszańcowane, nawet przy samym naszym murze porobione były rowy strzeleckie. Armaty ustawili na zamku, w środku miasta między domami, koło kościoła parafialnego i na cmentarzu. Widząc takie przygotowania, oddałyśmy się na nowo Najśw. Sercu Jezusowemu i Matce Najśw., w Nich tylko pokładając nadzieję i ufność.

Truchlałyśmy także o biedne nasze Siostry w Dubowcach, które przyjeżdżać nie mogły już dla wielkiego niebezpieczeństwa. Mnóstwo osób szukało u nas schronienia. Mieściłyśmy je, jak się dało. Rozpoczęła się strzelanina dnia 13. czerwca zrana i trwała bezustannie prawie do 2. lipca, t. j. do dnia, w którym ukazała się patrol pruska od Halicza, a węgierska od Jezupola. Biedny Maryampol był z trzech stron ostrzeliwany. Nie obeszło się też bez wypadków: kilka osób cywilnych zabitych, a kilkanaście rannych przywieziono do szpitala. W tym czasie codziennie można było widzieć wieczorem łuny dokoła nas, a i w naszej mieścinie siedm pożarów było od kul armatnich. Coraz więcej przybywało do nas osób bezdomnych, lecz i tu nie było bezpiecznie, zwłaszcza gdy wojsko nasze zaczęło z za Dniestru przesyłać nam granaty większego kalibru. Wtedy cały dom i kościół trząsł się, szyby wylatywały, kulki szrapnelowe wpadały do mieszkania, nawet do łóżek. Huk, świst, szum, krzyk chwilami nie do opisania! Codzień, co godzina doznawałyśmy cudu ocalenia! Ratować domy wśród ognia było niemożliwem, bo właśnie, gdzie był pożar, tam najwięcej strzelano, gdyż nasi sądzili, że ludność wyprowadziła się, a pozostali sami tylko Moskale. Okropne przeżywałyśmy chwile w dzień, a jeszcze okropniejsze w nocy. Dom nasz stosunkowo nie wiele ucierpiał, mnóstwo tylko szyb potłuczonych, w dachach niezliczona ilość dziurek od kul szrapnelowych, w ogrodzie kilka drzew zniszczonych, poza tem nic. Nawet statua Najśw. Panny przed gankiem nienaruszona, pomimo że dokoła w ogrodzie i na podwórzu setki kul pękały i eksplodowały. Za to kościół parafialny bardzo zniszczony

W ciągu tych trzech tygodni życie nasze często bywało zagrożone, lecz opieka Boża była widoczna! W Dubowcach nawet pożaru nie było, choć Moskale wciąż odgrażali się, że je z dymem puszczą.

Wreszcie w dzień Nawiedzenia Najśw. Panny, w pamiętny pierwszy piątek lipca, opuścili Moskale pospiesznie niegościnny Maryampol, a myśmy ze łzami w oczach powi-

tały naszych, ofiarując kwiaty i serdeczne podziękowanie za wyzwolenie nas od Moskali. Potem już tylko znaczne siły wojsk sprzymierzonych kroczyły tędy, nie zatrzymując się dłużej, lecz dalej ścigając nieprzyjaciela. Przyjmowałyśmy też raz i gościłyśmy u siebia pruskich oficerów. Najdłużej stał tren węgierski, a kapitan, mieszkający u nas, bardzo był dla nas grzeczny. Dał nam raz ogromne wozy wojskowe, pokryte budami, byśmy z dziećmi pojechały za Dniestr, odwiedzić rannych żołnierzy, oddalonych stąd o 10 klm. Wielka była radość. Pobrałyśmy, cośmy tylko miały, i mogły i kto tylko mógł, to pojechał. Chorzy niezmiernie się cieszyli, szczególniej kwiaty, których tego roku miałyśmy wielką obfitość, sprawiały im wielką przyjemność.

Chorych miałyśmy w szpitalu stosunkowo nie wielu i to tylko w początkach wojny dlatego, że Maryampol leży na boku, daleko od kolei i wreszcie, że był objęty linią bojową.

Wspomnę tu jeszcze o powitaniu naszego Następcy tronu. Przejeżdżał tędy z placu boju w towarzystwie licznej generalicyi. Całe miasteczko wyległo: wojsko tu będące, księża z procesyami, żydzi ze swemi przykazaniami, no i my ze swą małą procesyą, ubraną w bieli, z kwiatami i ze sztandarem Dzieci Maryi. Gdy nadjechał Arcyksiążę, przemówili w krótkich słowach najpierw księża, na co im serdecznie odpowiedział, a następnie zwrócił się do nas i, zobaczywszy dzieci, aż mu się oczy roześmiały, dziatwa obrzuciła kwiatami samochód, a jedna z malców wręczyła wspaniały bukiet z odpowiedniem przywitaniem. Arcyksiążę ogromnie był rozrzewniony tą miłą niespodzianką i uprzejmie kilkakrotnie dziękował, a nawet malcom podawał rękę do ucałowania. Ktoś odfotografował tę rzewną scenę. Wreszcie samochód ruszył z miejsca, a Arcyksiążę, żegnany z wielkim entuzyazmem, odjechał do Halicza. Ogromnie sympatyczne i dobrotliwe oblicze przyszłego Monarchy utkwiło w pamięci przytomnych dziwnie głęboko.

Na zakończenie dodam jeszcze słów parę o najmilszej naszej niespodziance, t. j. o przyjeździe naszego Najczcigodniejszego Ojca Wizytatora, który prawdziwie jak anioł z nieba pocieszyciel zjawił się pośród nas dnia 9. sierpnia całkiem niespodzianie i dlatego chwilę tę uczynił niezapomnianą i drogą!

Odnawiając wszystkie wspomnienia z ubiegłego i bieżącego roku, musimy wszystkie bezwzględnie przyznać, że tylko cud nieustannej opieki Bożej i Najśw. Panny zachował nas, dom cały, tu i w Dubowcach, oraz bezustanna modlitwa naszych dzieci w tych ciężkich chwilach ocaliła nas od grożącego w każdej chwili niebezpieczeństwa.

Moskale przynieśli tu z sobą różne zakaźne choroby. U nas cholera zabrała i zabiera dosyć ofiar. Ufamy P. Bogu, że jak przedtem, tak i teraz nas ocali.

Kołomyja. *21. czerwca 1915 r.*

Dzięki Bogu, nieprzyjaciel od nas daleko, Bóg da, że już nie wróci. Przeżyliśmy ciężkie czasy przez miesiąc. Ustnie da się to kiedyś opowiedzieć. Dosyć, że dzień i noc byliśmy wśród gradu kul. Obecnie tu straszna drożyzna, wielu rzeczy zupełnie brak. W okolicy również bieda zagląda do chat. Tu i tak biedy bywało dosyć, a teraz już można sobie wyobrazić, ile. Najwięcej trzeba ubolewać nad tymi biedakami, a tak mało można im przyjść z pomocą. Jest tania kuchnia, ale to w mieście, a po wsiach nędza, bo to co było, to Moskale zrabowali.

U nas chorych bardzo dużo, pracy dosyć. Do tej pory jeszcze nie odczuwamy braków. Dla chorych nam dają wiktuały.

Zaleszczyki. *16. lipca 1915 r.*

Na początku wojny bardzośmy wiele strachu wyżyli, widząc, jak ludzie miasto opuszczali. Przedstawiano nam wszystko w czarnych kolorach. Moskale dla szpitala byli bardzo grzeczni; były również i kłopoty. Rewizye bardzo często robili. Raz nawet urzędnicy z komendantem na czele rewidowali po wszystkich kątach, paki i kufry otwierali, a na-

około szpitala było wojsko ustawione. Nareszcie po skończeniu rewizyi mówi mi komendant, że powodem rewizyi były urzędowe skargi na szpital, że mamy przechowaną amunicyę austryacką. Później jeszcze były skargi. Mimo to wszystko dziwna opieka Boża czuwała nad tym szpitalem; że nie runął, to cud. Najśw. Sakrament wynoszono dwa razy do magazynu.

Za naszym szpitalem były ustawione moskiewskie armaty. Huk był okropny, granaty i szrapnele z jednej i drugiej strony krzyżowały się nad szpitalem. Jeden granat uderzył w środek szpitala, poharatał niektóre belki i paki na strychu. Odłamki granatów często padały na podwórze i na szpital; dach całkiem podziurawiony, szyby powybijane. Kule bardzo często wpadały na sale chorych, ale tak szczęśliwie, że chorym nic się nie stało; jednej tylko kobiecie rękę zadrasnęło.

Chłopak dwunastoletni z chirurgicznej sali, pasąc krowy przeznaczone dla szpitala, znalazł bombę, rozebrał ją, nie wiedząc, co to jest. Tylu cywilnych od bomb poranionych, czy to nie opieka Boża nad chorymi? Tak samo z potrzebami materyalnemi. Mamy ciągle chorych, a w mieście nic nie można kupić, lecz wojsko nam posyła, co nam potrzeba dla chorych.

Z przeszłości obydwóch Zgromadzeń w zaborze rosyjskim.

IX.

XX. Misyonarze w Wilnie.

Tempora mutantur et ad nihilum reducuntur.

(Dokończenie)

Dochody i wydatki Misyonarzy wileńskich w XIX stuleciu.

Kapitały Domu wileńskiego w XIX wieku i procenty od nich znacznie się zmniejszyły, ale dobra ziemskie pozostały też same: Burbiszki, Jęczmieniszki i Biały Dwór. Według miejscowego zwyczaju nazwane one folwarkami, ale były to dominia z attynencyami; ile to przynosiło dochodu w XVIII wieku nie wiemy, a posiadamy tylko szczegóły o tem z wizyty r. 1820 i 1827—28.

Burbiszki, o ćwierć mili od Wilna, nie posiadały poddanych; a mieszkali tam tylko wolni ludzie, w liczbie 3; pola i lasu było natenczas włók 12. W wizycie z r. 1828 czytamy, że gotowego grosza z Burbiszek nic nie wpływało, zboża nie przedawano, bo wszystko szło na potrzeby klasztoru, na prowadzenie zaś gospodarstwa wydawano:

utrzymanie czeladzi, ekonoma, potrzeby gospodarskie	rs. 172·—
narzędzia roln., utrzymanie remanentu	„ 50·—
żelazo, stal, sól i podobne rzeczy . .	„ 20·—
opłacenie robotników rocznie	„ 100·—
podatki rząd., czynsz do kasy miejskiej	„ 8·10
razem . . .	rs. 350·10

W tej posiadłości miano: 8 koni, 16 wołów, 12 krów, buhaj 1, świń 5, indyków 6, gęsi 10, kaczek 6, kur 22.

Ile zboża produkowały Burbiszki, o tem nigdzie śladu w tych wizytach niema, nie można więc powziąć wiadomości, jaką, właściwie, miał Dom wileński korzyść z tego majątku [1]).

J ę c z m i e n i s z k i, o cztery mile od Wilna, z dwiema attynencyami: z Purnuszkami i Powarpiami, które jednak słownik geograficzny nazywa Powarniami. Dymów wszelkich tam liczono w 1820 roku 101, włościan poddanych mężczyzn 186, kobiet 195, wolnych płci męskiej 70, żeńskiej 46; ziemi wszystkiej z lasem włók 176 i morgów 29; w tem lasu, niezdatnego do budowli, i zarośli włók 10 i morgów 3; jezior 3, więcej mających niż włókę obszaru każde, ale małorybnych, w arendę nie oddanych. W tym majątku wysiewano: żyta beczek 36, pszenicy ozimej 1 $^1/_2$ beczki, pszenicy jarej 3 ośminy [2]), jęczmienia 7 beczek, owsa 30, grochu 3, gryki 4, jarki 2, siemienia lnianego 2 beczki. Dochodu ten majątek przynosił wtedy 650 rs., a propinacya szynkowa 150 = 800 rubli srebrnych.

Trochę też mamy szczegółów o tem dominium z r. 1828. Pod wsią Radziulami na trakcie zbudowano dużą karczmę zajezdną, nową, z 2 stancyami dla podróżnych; założono nowy ogród koło dworu jęczmieniskiego; zanotowano koni dworskich 4, buhajów 3, krów 36, cieląt 40, owiec 10, świń 10, indyków 10, gęsi 20, kaczek 12, kur 30. Attynencya Powarpie, alias Powarnie, skasowana, a włościanie do Jęczmieniszek przeniesieni, jakoteż inwentarz i sprzęty rozmaite gospodarskie, grunty zaś i łąki wypuszczone w dzierżawę z zabudowaniem dworskiem za rs. 60 rocznie.

Attynencya Purnuszki znacznie teraz (po skasowaniu Powarpień) zwiększoną została, mając po 60 morgów w zmianie; remanent taki wtedy tam zaznaczony: koni 2, buhajów 2,

---

[1]) Wogóle w tych wizytach nieraz niejasno jest wyłożony stan finansowy Góry Zbawiciela.

[2]) Beczka litewska, to naszych garncy 72, a ośmina $^1/_8$ część beczki.

krów 18, cieląt 15, a także indyków 6, kur 20; był też tam młyn, 30 rs. arendy przynoszący.

Do roku 1828 w dominium jęczmieniskiem miano małych wioseczek i zaścianków 30, następnie utworzono jeden nowy (Józefów); ziemi w nich liczono włók 132, morgów 18, prętów 290; pola dworskie z sianożęciami obejmowały włók 44, morgów 28, prętów 142 = włók 176, morgów 29, prętów 32. Ludności poddańczej (w 1828 r.) płci męskiej 189, żeńskiej 191, wolnych 70 i 80 = 530; dymów: włościańskich 76, w arendzie u wolnych 16, należących do karczem i młynów, dworskich 3 = 99. Dawniej powinności włościańskie były takie: t. z. ciągli poddani odbywali pańszczyzny 6 dni na tydzień; „pół bojary“ płacili czynsz tylko (jaki, nie powiedziano) i latem odbywali w pewne dni tłoki, i dwa razy rocznie drogę do Wilna z produktami; „pełne bojary“ tylko czynsz płacili (też nie wiadomo, jaki) i dwa razy do Rygi podwody dawać musieli; potem stanęła dobrowolna z nimi umowa, wszystkie kategorye włościan obejmująca: z włóki ziemi każdy gospodarz dwa dni tygodniowo pańszczyzny z końmi, tyleż kobiecej pieszej; podczas żniw tłok dni 12, szarwarków do budowli w rok 5 dni, dwie drogi do Wilna i jedna do Rygi; nadto daniny (dziakło): owsa 2 ośminy, gęś 1, kur 2, jaj 20. talka (pasem 30 nici) 1, stróża tygodniowo, ile dwór potrzebuje i warta nocna, oprócz tego od morga złoty polski (15 kop.); podatki rządowe sama włość opłacać musiała, a w ostateczności dwór w części ma dopomagać. Gotowego więc grosza od włościan miano 442 rs. 20 kop., od wolnych 448 rs. 50 kop., arendy z karczem 120, z młynów 90 = 1100 rs. 70 kop.

B i a ł y D w ó r, o 10 mil od Wilna w parafii widzieniskiej, miał 2 attynencye — Cesarkę i Nowosiółki; dymów tam wszystkich w 1820 r. 105; poddanych „dusz“ męskich 244, żeńskich 247, wolnych 16 = 507; jezior 2 — bez szczególnego użytku; w Cesarce młyn o 2 kamieniach i folusz; lasu, na budowle niezdatnego, włók 24, morgów 15; wysiewało się: żyta beczek 40, pszenicy $1^1/_2$ ośminy, jęczmienia 7

beczek, owsa 32, grochu 4, gryki 4, jarki 3, siemienia lnianego 3, pszenicy ozimej 3. W tem dominium wioseczek i zaścianków 26; ziemi w nich włók 144, morgów 3, prętów 35; pól dworskich ornych z sianożęciami włók 11, morgów 5, prętów 20, pod lasem włók 24, morgów 15. Na folwarku dworskim koni 4, buhajów 2, krów 40, cieląt 23, owiec 50, świń 30, indyków 10, gęsi 10, kaczek 20, kur 20. Dochodu w 1820 roku rs. 1000, a w 1828 rs. 1161.

Pod Jęczmieniszkami powiedziano (czyby się to tyczyło też i Białego Dworu — nie wiemy), że krescencya nie przynosiła intraty, bo w całości szła na dwór i potrzeby miejscowe folwarków, wydatki zaś na roczne ich utrzymanie były:

Podatki rządowe, akcyza, reparacya dróg	r. as.[1]) .	1652·70
Ziemskie powinności, wydatki kancelaryjne	„ . .	291·16
	r. as. .	1943·86
Ekonomowi pensyi rocznej rubli srebrem		75·—
2 „namiestnikom", 2 ciwunom, ochmistrzyni, czeladzi	rs.	120·—
Transporty do Wilna, utrzymanie gospodarstwa, domu	rs.	135·—
Na fabrykę klasztoru w Wilnie	rs.	100·—
Dokładanie do podatków włościańskich	rs.	130·—
	razem . rs.	560·—

Mieli oprócz tego XX. Misyonarze domy i place w samem Wilnie i na przedmieściach. Tak np. na przedmieściu Subocz zwanem była wielka, porządna kamienica, przynosząca przed r. 1812 rs. 1.500 rocznego dochodu, ale przez Francuzów tak zniszczona i zrujnowana, że potem zaledwo 500 rubli srb. dawała; posiadali też Misyonarze kilka placów nad Wilią i Wilejką, też plac przed Świętym Jakóbem, po roku 1800 zabudowania plebanijne Św. Józefa i Nikodema do nich należały; były też i domy mniejsze w mieście, również kilka ogrodów. Z wynajmowania tych domów i „po-

[1]) Rubli asyg. na rubla srb. szło $3^1/_2$.

ziemnego" z placów, na których stanęły domy, pobierali XX Misyonarze opłaty, rozmaitej ilości będące, ale wynoszące w 1820 r. z tysiąc rubli. Ogólne dochody w tym czasie, dość niedokładnie i niejasno wyszczególnione, zdaje się, że wynosiły circa 11.000 rs. i prawie wszystko się rozchodziło na różne potrzeby.

Dokładniejsze szczegóły w tej kwestyi mamy z r. 1827.

Dochody:

Procenty od kapitałów	5.558·27½	rs.
Czynsze, arendy	2.261·70	„
Od alumnów świeckich za stół i pomieszkanie	1.500·—	„
Z kamienic, placów, ogrodów . .	2.091·10	„
Z akcydensów kościelnych . . .	1.698·01½	„
Razem . .	13.109·09	rs.

Rozchody:

Utrzymanie plenipotenta, wydatki prawne .	875·10	rs
Opłata czeladzi, służących, rzemieślników . .	1.225·18½	„
Drzewo na budowy i na opał	1·015·—	„
Rozmaite materyały do fabryki w domu i na folwarkach	632·—	„
Lekarz, chirurg, apteka	348·—	„
Pensya nauczycielowi języka niemieckiego .	120·—	„
Ubranie i obuwie Zgromadzenia i czeladzi .	1.718·—	„
Artykuły do życia potrzebne	3.199·—	„
Pensya guwernerów i potrzeby konwiktu . .	1.701·—	„
Długu dawnego	990·—	„
Kupno nowych książek i oprawa	190·—	„
Potrzeby kościelne	1.003·25	„
Gratyfikacye rozmaite	27·75	„
. . . . (ma być) .	13.054·28½	rs.

Otóż te posiadłości mieli XX. Misyonarze aż do czasu swego zniesienia przez rząd w 1842 roku, w którym zabrano im majątki i rozproszono ich na wszystkie strony.

Przy kościele na Górze Zbawiciela pozostawiono kilku jeszcze księży i na ich utrzymanie przeznaczono [1]) Burbiszki, ogrody, drukarnię i parę domów, przynoszących razem 2.000 rs.; to mogło wystarczyć dla zmniejszonej tam liczby mieszkających kapłanów, ale taki stan nie trwał długo, bo dwa lata tylko, jak to zobaczymy niżej, gdy będziemy mówili o ostatnich chwilach pobytu Misyonarzy na Górze Zbawiciela.

Działalność Misyonarzy Wileńskich.

Zgromadzenie to ustanowione zostało w celu misyj; otóż apostołowanie wśród ludów chrześciańskich i niechrześciańskich, odbywanie rekolekcyj, duchownych konferencyj stało się głównem niejako zadaniem Misyonarzy; przeto i wileńscy ich bracia, jako nieodrodni synowie duchowni swego Świętego Zakonodawcy, starali się iść w ślady Św. Wincentego a Paulo i przez prace misyjne nawracać, zagrzewać oziębłych w wierze i praktykach religijnych. Pałając miłością bliźniego, odbywali oni także misye, trwające niekiedy po dni kilka lub kilkanaście i przynoszące wiele korzyści. Na takie misye wysyłał Dom wileński, dopóki mógł, kapłanów swoim kosztem i na swojem utrzymaniu, a oprócz tego miewali oni w swoich kościołach wileńskich konferencye dla różnych stanów i wieków, łącząc to z rekolekcyami odpowiedniemi; obowiązki zaś wogóle kapłańskie, doglądanie szpitali, pod ich opieką będących, należały także do ich zajęć, a wychowywanie i kształcenie kapłanów własnych i świeckiego duchowieństwa (o czem mówiliśmy już na innem miejscu) również wchodziły w zakres zaszczytnego ich zadania, z którego wywiązywali się z chwałą i chlubą.

Kierowanie wychowaniem uczącej się młodzieży świeckiej, w t. z. konwiktach, miało też w Misyonarzach gorliwych opiekunów, z poświęceniem się około tego krzątających.

Takich konwiktów pod swoją opieką mieli Misyonarze wileńscy trzy; datują się one od początku XIX w. i posiadały

---

[1]) Mémoires, l. c., p. 703.

swoje osobne uposażenie; należy słówko o nich powiedzieć.

Konwikt Biskupa Pilchowskiego[1]) powstał w ten sposób. X. Biskup Pilchowski d. 19 marca 1803 r. zapisał Misyonarzom wileńskim kapitał, składający się z 6.550 dukatów holenderskich i 750 rub. i 30 kop., zabezpieczony na dobrach Komajach w pow. wiłkomierskim, należących do Pietkiewiczów, a nadto darował im swój dom duży, piątrowy, umeblowany, zagospodarowany niedaleko od kościoła Św. Jerzego z tem, aby z dochodów z tego Misyonarze utrzymywali 12 chłopców, 6 ze szlachty i tyleż mieszczan wileńskich, wyznaczając 500 złp. rocznie na każdego. W domu tym mieszkali konwiktorowie, mieściła się tam też szkółka parafialna, było pomieszczenie dla dozorców i nauczycieli, a w ostatnich latach istnienia tego konwiktu przeniesiono to wszystko do klasztoru misyonarskiego na Górze Zbawiciela. Kandydatów do tego konwiktu wybierał uniwersytet wileński; powinni oni mieć lat 9 do 12 i zaczynać naukę w konwikcie w klasie wstępnej, a potem przechodzili do gimnazyum i korzystali z tego utrzymania lat 6 lub 7, książki i ubranie też otrzymując. Po skasowaniu Misyonarzy jeszcze jakiś rok mieszkali oni na Górze Zbawiciela, a na początku 1844 roku zabrano ich i umieszczono w t. z. ogólnych kwaterach przy I gimnazyum wileńskiem.

Konwikt Ignacego Dunina Ślepścia powstał z zapisu Ignacego Dunina Ślepścia, komornika żmudzkiego, w 1806 r. na początku kwietnia; przeznaczył on w tym celu 2 tysiące czerwonych złotych na utrzymanie z procentów trojga ubogich sierót ze stanu szlacheckiego pod opieką Mi-

---

[1]) X. Dawid Pilchowski ur. 1735 r. w Augustowskiem, wstąpił do Jezuitów, a po ich zniesieniu został profesorem Szkoły głównej litewskiej, dziekanem katedry wileńskiej, potem sufraganem; umarł w 1803 r., całe swoje mienie zapisawszy ubogim.

[2]) Bliższe szczegóły o tych konwiktach są w pracy Mikołaja Junickiego, Funduszi i stipendii wilenskago uczebnago okruga, Wilno 1884 i w Dziejach Dobroczynności, znanem czasopiśmie wileńskiem

syonarzy wileńskich. Kandydatów do tego konwiktu obierał superyor Domu; powinni oni mieć przynajmniej lat 12 i mogli korzystać z utrzymania lat 6 lub 7, zostając pod dozorem jednego z Misyonarzy, albo wyznaczonego od klasztoru przełożonego.

Na wychowańców tego konwiktu pierwszeństwo mieli krewni lub imiennicy donatora; obowiązkiem tych sierót było modlenie się za dusze Ignacego, Teresy i Tomasza.

Los tej instytucyi był taki, jak i innych tego rodzaju: rząd wszystko skonfiskował, a uczniów tego konwiktu zabrano też w 1844 roku do wyżej wzmiankowanych ogólnych kwater.

Konwikt X. Gana. Kanonik inflancki, X. Felicyan Gan, altarzysta jeźneński, zapisał przy końcu stycznia 1812 roku Misyonarzom wileńskim 60.000 złp. z tem, aby oni z procentów od tej sumy, 3.600 złp., utrzymywali i uczyli czterech chłopców, ubogich sierot ze stanu szlacheckiego z rodziny Ganów, a gdyby się takich nie znalazło, to ich krewni po kądzieli też mogą być przyjmowani.

Kandydatów do konwiktu przeznaczył z początku sam X. Gan, a potem jego krewni tem się zainteresować powinni. Chłopcy tu pomieszczeni mogli korzystać z zupełnego utrzymania lat 6, ale gdyby okoliczności tego wymagały to i rok więcej; wstępujący musieli umieć czytać i pisać. Opiekę nad kapitałem zostawił X. Gan biskupom wileńskim. I ten fundusz zabrano, a konwiktorów w 1844 umieszczono przy I gimnazyum wileńskiem.

Znamy nazwiska uczniów konwiktów misyonarskich z r. 1826 [1]), ale nie umiemy sobie wytłómaczyć dlaczego ich tam więcej, niż zapisy donatorów tego wymagały. Może XX. Misyonarze z własnych funduszów ilość ich powiększyli?

Z klasy I:

1) Trzeciak Alexy,
2) Romecki Piotr,

[1]) Z wizyty Prof. Podczaszyńskiego; manuskrypt w ręku piszącego.

3) Ślepść Antoni,
4) Warszewicz Piotr,
5) Terajewicz Henryk,
6) Ziękiewicz Józef (Zieńkiewicz?),
7) Szołkowski Cypryan,
8) Leyko Jakób.

Z klasy II:

9 (1) Wiszniewski Tadeusz,
10 (2) Gan Tomasz,
11 (3) Gan Mikołaj,
12 (4) Tuczkiewicz Konstanty,
13 (5) Świętorzecki Jan.

Z klasy III:

14 (1) Abramowicz Wincenty,
15 (2) Laudański Kasper,
16 (3) Menuë Stanisław,
17 (4) Mikisz Ferdynand,
18 (5) Politowski Antoni,
19 (7) Żakowicz Antoni,
20 (8) Żakowicz Józef.

Z klasy IV:

21 (1) Gan Józef,
22 (2) Boczkowski Franciszek.

Z klasy V:

23 (1) Grochowski Edward.

Z klasy VI:

24 (1) Żakowicz Justyn.

Oprócz tych 3 konwiktów, w których się młodzież kształciła, mieli Misyonarze od roku 1800 jeszcze osobną szkółkę parafialną, pod swoją opieką i swoim kosztem utrzymywaną, większych rozmiarów, gdzie uczono nietylko czytać i pisać po polsku, ale też katechizmu, nauki moralnej, początków arytmetyki, języka łacińskiego i rosyjskiego. Z początku tam bywało od 30 do 50 chłopców; w r. 1812 tylko 17, a w 1820 13; w tym ostatnim roku dozorcą tej szkółki

był X. Donat Iwaszkiewicz, a nauczycielem, kleryk naówczas, Antoni Korniłowicz, następnie pracujący też na polu literackiem. Szkółka ta istniała i nadal, ale, niestety, nie wiemy, jak bywała liczną!

Zajmowali się też Misyonarze wileńscy i duszpasterstwem, ale dopiero od roku 1800.

Mianowicie kiedy, przy końcu XVIII w., przestał egzystować w Wilnie kościół parafialny Św. Nikodema i Józefa z Arymatei, to parafią jego przeniesiono na Górę Zbawiciela; odtąd *cura animarum* była wykonywana przez XX. Misyonarzy z wielką gorliwością; parafia ta bywała dość liczna; tak np. 1820 r. było tam wiernych płci męskiej 1146 i 1029 żeńskiej = 2175 [1]); razem z tą parafią przeniesiono też od Św. Nikodema i Józefa do Misyonarzy altaryę, fundowaną w 1763 roku, mającą uposażenia 4.000 złp.

Obsługiwali XX. Misyonarze też i drugi kościół w Wilnie — Św. Kazimierza, pojezuicki, przy którym pierwiej mieszkali Kanonicy Regularni *de Poenitentia*; X. Kurczewski powiada, że on od r. 1799 był parafialny [2]); Misyonarze z małą częścią klasztoru dostali go w 1814 roku, ale kościół i pozostała część klasztoru znajdowały się w bardzo zniszczonem położeniu; wszystko to Misyonarze swoim kosztem odnowili i odrestaurowali i tam następnie zainstalowali swoją rezydencyę.

W r. 1815 gubernator wileński Ławiński (w zamian za dawniej zabraną część znaczną murów klasztornych) oddał Misyonarzom murowaną, ale spustoszoną, oficynę, na dziedzińcu klasztornym stojącą, którą oni też odrestaurowali i umieścili tam drukarnię (o czem niżej mowa będzie).

---

[1]) X. Prałat Kurczewski zaznacza, Biskupstwo wileńskie, p. 286, że w r. 1781 w parafii Św. Nikodema i Józefa było ludności 2597; znaczy, że się ona znacznie zmniejszyła.

[2]) Biskupstwo wileńskie p. 170; w 1828 r wizytował go X. Prałat Mamert Herburt, Wizytacya genrl. dyec. wileńskiej, Wilno, u Misyonarzy u Św. Kazimierza, p. 32.

We trzy lata potem (1818) nowy gubernator Korsakow zabrał resztę pierwotnie zostawioną klasztoru (nad zakrystyą i skarbcem) i odtąd mieli tam XX. Misyonarze tylko ową oficynę i taki stan dotrwał do roku 1832 [1], po którym wszystko to razem z kościołem rząd zabrał i XX. Misyonarze przenieśli się na Górę Zbawiciela, gdzie i drukarnia nadal istniała, a w kościele św. Kazimierza następnie urządzono sobór panującego w Rosyi wyznania.

Drukarni tej przeszłość następująca [2]. Mieli OO Jezuici w Grodnie drukarnię; po ich zniesieniu Antoni Tyzenhaus, znany podskarbi litewski, wyporządził ją i oddał do użytku publicznego, po jego zaś upadku drukarnia ta istniała jeszcze czas jakiś w Grodnie, dając od czasu do czasu słabe znaki życia; tak było do roku 1800; Repnin przeznaczył ją Biskupowi wileńskiemu, X. Kossakowskiemu, a ten ją kazał umieścić w klasztorze Św. Jerzego w Wilnie, — pokarmelickim a. ob., gdzie się znajdowało seminaryum dyecezalne pod opieką i zarządem Misyonarzy, — a potem ją oddał Zgromadzeniu misyonarskiemu na własność zupełną.

Misyonarze potem przenieśli tę drukarnię do Św. Kazimierza, a po zabraniu tej siedziby umieścili ją na Górze Zbawiciela, a po kasacie tego klasztoru znowu ona powędrowała, zawsze się dyecezalną nazywając, do Św. Jerzego. Ślady jej egzystencyi w Wilnie odnajdują się w 1800 i 1801. Biskup, oddając ją Misyonarzom, zaznaczył warunek, aby się ona dyecezalną nazywała i w całości przez nich była utrzymywana, a ponieważ ta drukarnia długo leżała bez użytku, w zaniedbaniu nawet, więc potrzeba było przelać prasy i czcionki i wszystko do należytego przyprowadzić porządku, kazał więc Biskup dać Misyonarzom z kasy zakrystyi katedralnej, w charakterze pożyczki, złp. 6.462 z tem, aby w prze-

[1] X. Kurczewski l. c. p. 170

[2] X. Przyałgowski, Żywoty bisk. wileńskich, Petersburg 1860, t. III p. 232 et sqq.; Sbornik materjałow dla istorii poswieszczenia, Petersburg r. 1893, t. I, p. 532; t. II, p. 77.

ciągu lat trzech wypłacili tę sumę, a potem do kasy fabryki kościoła katedralnego rocznie 50 rs. opłacali.

Jak się zdaje, to dopiero w r. 1805 przeszła ta drukarnia na własność misyonarską. Na każde zawołanie biskupa powinni byli Misyonarze swoim kosztem na swoim papierze drukować odezwy rządowe tłómaczone na język polski, listy pasterskie, formy indultów, dyspens, wszelkie aprobaty i t. p. Już w połowie 1800 r. polecił Biskup Kossakowski dwom księżom ze Zgromadzenia misyonarskiego, X. Morawskiemu i Jędrzejowskiemu [1]), ułożenie książek do nabożeństwa nowych, bo staroświeckie, będące wtedy w użyciu, nie odpowiadały potrzebom ludu, duchowi czasu, a nawet niekiedy niezupełnie już zrozumiałe były; z jego tedy rozkazu, wygładziwszy styl, przerobiwszy nieco, usunąwszy mniej zrozumiałe wyrazy i zwroty, wydali oni: Codzienne dla wiernych Chrystusowych nabożeństwo; Dziennik, czyli sposób modlenia się dla dzieci; rozmaite kantyczki, zbiory pieśni kościelnych, katechizmy, wykłady wiary i t. d., wszystko to wytłoczono w tej drukarni.

Nie było w tem ozdobnego stylu, ani też piękności wydania, lecz znajdujemy tam duch wiary świętej, naukę Kościoła wiernie oddaną, więc wydawnictwa te stały się wielce przydatnemi i budującemi wówczas, a nawet i dziś nie straciły jeszcze doniosłości; nadto drukowano tam poważne dzieła i świeckiej treści, a pożyteczne.

Bandke wymienia [2]) dwa tylko takie: Życie sławnych Polaków przez Józefa Bogusławskiego r. 1814 i Michała Polińskiego, Początki trygonometryi w r. 1816; nie równie więcej ich zna Jocher [3]):

1807 r. Zbiór nabożeństwa in 16⁰, str. 804;

1808 r. Filip Ner. Golański, Pacierz według swego porządku I, 342, II, 631;

---

[1]) Jędrzejowskim nazywa go X. Przyałgowski, a w spisach nowoczesnych znajdujemy tylko X. Jędrzejkowicza.

[2]) Historya drukarń w Polsce i Litwie I, II.

[3]) Obraz bibliograficzno-hist. II, III.

1809 r. Tenże, Katechizm, czyli krótki wykład pacierza 8°, IV+67;

1815 r. Tenże, Rys Moyżeszowego prawodawstwa 8, 32;

1821 r. Nauka chrześcijańska nowego przymierza, po litewsku;

1821 r. Bossueta, Niektóre kazania 8°, VIII+401;

1823 r. Relacya o cudownym obrazie N. M. P. na Ostrey Bramie przez O. Hilaryona od Św. Grzegorza, Karml., przedruk, 8°, 146+6;

1823 r. Officyum albo codzienne nabożeństwo, in 12°, stron 359;

1824 r. Różaniec po litewsku;

1825 r. Zbiór kazań jubileuszowych 8°, 280;

1825 r. Hołd Bogu od pobożnych dzieci, in 32°, 156;

1825 r. X. M. Gierdwiłło, Kazanie na Boże Narodz. w Krasławiu, 8°, 40;

1825 r. Indictio Universalis Jubilaei, in 8°, 70+116;

1826 r. Wybór modlitw od Piusa VI wyłożonych, in 32°, 212+4;

1826 r. Nabożeństwo w czasie Jubileuszu od Leona XII, 8°, 46;

1826 r. Kantyczki po żmudzku, in 16°, 756;

1828 r. X. J. Kantego Chodaniego, Kazania, 8, 344;

1828 r. X. Justyna Korwina Sakowicza, Kazania o obowiązkach ku cesarzowi.

Naturalnie, oprócz tych 20 i dzieł X. Pohla, które prawie wszystkie tam drukowane, mnóstwo też innych Misyonarze wydali.

Tak np. zaglądnąwszy do jednego tylko katalogu, duplikatów III zeszytu publicznej biblioteki w Wilnie z r. 1888, spotykamy się z wydawnictwami drukarni misyonarskiej takiemi:

1) Mowa zastępcy rejensa... X. Jędrzeja Kłągiewicza... przy otwarciu Wiln. Semn. d. 24. września 1816 r., in 8°, 1822 r.;

2) Akt wstąpienia na katedrę wileńską Jędrz. Kłągiewicza, 8⁰, 1841;

3) Conspectus scientiarum, quae in Sem. Vilnensi Montis SS. Salvatoris altero semestri scholaris anni tradebantur, 1821;

4) Conspectus praelectionum in acd. ecls. Romano-Catholica Vilnensi et sem. diocsn. cum eadem conjuncto, 1839, r;

5) X. J. Cywiński, biskup delkoneński, do xx. dziekanów dyec. wil., fol., s. a.;

6) Tenże, do Przełożonych klasztorów płci męskiej, f., 1841 r.;

7) Tenże, do Dziekanów dyec. wileńskiej, f., 1842;

8) Tenże, do Duchowieństwa i wszystkich wiernych dyec. wiln., f., 1842;

9) Tenże, do Przełożonych klasztorów płci oboicy, fol.; 1842 r.;

10) O jubileuszu w rzymsko-unickich Wileńskiey metropoliczney y Brzeskiey dyecezyach przez rok 1826 obchodzić się mającym, s. a. in 4⁰,

11) Jęd. Bend. Kłągiewicz list do dziek. i plebanów, f., 1828;

12) Tenże, do Dziekanów, f., z r. 1830;

13) Tenże, do całego Duchowieństwa, f., z r. 1833;

14) Tenże, do Duchow. świeckiego i zakonnego; fol.,

15) Tenże, do Dziekanów, fol., z r. 1840;

16) Tenże, do Duchowieństwa świeckiego i zakonnego; f., z r. 1841,

17) Tenże, do Zakonnego oboiey płci, f., z r. 1841;

18) Tenże, do Duchowieństwa i wiernych, f., z r. 1841;

19) X. Antoni Korniłowicz, o Życiu Franciszka Karpińskiego, r. 1827;

20) Tenże, o Życiu i pismach X. Gwilelma Kalińskiego, r. 1829;

21) Otwarcie publiczne akad. duch. rzym. kat. w Wilnie d. 11 Lut. r. 1834, in 8⁰, 1834;

22) Wizyta generalna dyec.-wiln. z r. 1828 i z r. 1830, w tych latach drukowane;

23) Urządzenie służby duchowieństwa przy kośół. paraf., filialnych i kapelaniach, fol., z r. 1830.

Poszukawszy jeszcze w innych współczesnych katalogach, z pewnością, znalazłoby się bez porównania więcej druków misyonarskich.

W styczności z drukarnią zostaje biblioteka, to też o zbiorach Misyonarzy wileńskich słówko powiedzieć należy. X. Kurczewski [1]) powiada, że biblioteka misyonarska w Wilnie była największa z klasztornych tamtejszych i miała w sobie zawierać tomów 8.284 [2]); do jej powiększenia znacznie się przyczynił X. Tomasz Hussarzewski, też Misyonarz, zmarły 1807 r., który zapisał Domowi wileńskiemu swoje zbiory, obfitujące przeważnie w dzieła historyczne.

W r. 1820 w tej bibliotece było:

	dzieł:	tomów:
Pisma św.	32	84
Komentarzy do Pisma św.	63	230
Teologii dogmatycznej	154	280
Teologii moralnej	144	300
Prawa kanonicznego	130	250
Filozofii i literatury	531	1500
Historyi kościelnej i powszechnej .	545	1600
Prawa cywilnego	184	300
Materyj duchownych i ascetycznych . . .		834
Materyj kaznodziejskich		619
Defektów dzieł w różnych materyach . . .		334
Szkolnych książek		235
Manuskryptów rozmaitych		138
(ma być) tomów . .		6694.

[1]) Biskupstwo wileńskie, l. c., p. 323.

[2]) X. Kurczewski nie mówi w jakim roku tyle tam było książek; inni utrzymują, że przed kasatą Zgromadzenia znajdowało się tomów 10.000.

Pomiędzy rokiem 1820 i 1828 przybyło do biblioteki dzieł 122, egxemplarzy 124, tomów 481 i to wszystko miało wtedy stanowić, summa summarum, dzieł 1909, exemplarzy 2326, tomów 7.175 [1]).

Na zakończenie tego rozdziału podajemy opis kościoła i zabudowań klasztornych na Górze Zawiciela.

Kościoła tego facyata między dwiema wieżami, zadziwiającemi lekkością i estetycznością, na południe obrócona z oknem 8 łokci wysokości, a 6 szerokości; na lewej wieży wielki zegar z cyferblatami na wszystkie 4 strony, na prawej dzwony; obie te wieże mają ganki z kraty żelaznej w połowie wysokości. Z frontu facyaty zrobiony znaczny występ na ulicę, do którego troje drzwi prowadzi, a nad każdemi — okno, cały zaś występ kończy się kopułką, a na niej statua Zbawiciela z drzewa, trzymającego w lewej ręce kulę świata, a prawa ręka w górę wzniesiona. Długość kościoła łokci 48, szerokość 40; chór wspierają 4 kolumny. Wielki ołtarz p. t. Wniebowstąpienia Pańskiego z drzewa na 6 kolumnach; tarbernakulum o 6 też kolumnach małych, pomiędzy niemi krucyfiks i 2 figury kapłanów starozakonnych; po bokach zaś 4 ołtarze: św. Pawła Ap., św. Wojciecha, Jana Chrzciciela i św. Stanisława Biskupa. Za kratkami ołtarz Pana Jezusa i N. M. P.; nadto 4 kaplice z ołtarzami: Opatrzności Boskiej, św. Pawła Pustelnika, św. Wincentego a Paulo i św. Tadeusza i Szymona Apostołów. Za kościołem duży ogród z sadzawkami i śliczny z niego widok na miasto.

Zabudowania klasztorne w 1820 r. tak wyglądały. Z obu stron kościoła budynki: z lewej strony szkoła parafialna i rozmaite składy; z prawej — furta, przy której mieszkanie furtyana i parlatoryum i pomieszczenie dla służby. Tuż przy furcie, brama wjazdowa na dziedziniec; obok bramy kilka izdebek, gdzie był konwikt dla sierót ubogich. Na dziedzińcu murowany dom, 32 sążni długości, o 2 piętrach; w nim cel 48, refektarz, oratoryum, biblioteka, 9 pokoi dla

[1]) Na podstawie wizyty z r. 1820 i 1828.

czeladzi i rzemieślników; dalej w głąb dziedzińca zabudowania rozmaite gospodarskie, składy, stajnia, wozownia, browar, chlewy różne i t. p. Kościół przy ulicy zwanej Subocz.

Spis Misyonarzy wileńskich w XIX. wieku.

W r. 1803 mieszkali na Górze Zbawiciela:

1) X. A. Pohl, wizytator, a zarazem superyor, już nam znany;

2) X. Tomasz Husarzewski (piszą go też i Ussarzewski), któremu wtedy zaznaczono lat 71, kapłaństwa 48, obowiązków 18 [1]);

3) X. Grzegorz Jędrzejkiewicz, lat 74, kapłaństwa 49;

4) X. Teodor Łosacki, lat 64, a wyświęcenia 40;

5) X. Jan Morawski, lat 53, kapłaństwa 30;

6) X. Wojciech Czerechowski, prof. historyi, l. 38, k. 15, obow. 15;

7) X. Jozafat Laudański, prokurator, l. 35, k. 13, obow. 7;

8) X. Anzelm Zygmont, prof. teologii, 32, 8, 8;

9) X. Józef Stankonowicz, zakrystyan, 34, 8, 1;

10) X. Dominik Zarzecki, dyrektor, zapewne sem., 37, 7, 2;

11) X. Jerzy Józefowicz, też jakiś dyrektor, 29, 4, 2;

12) X. Augustyn Zahorski, prof. filozofii, 26, 3, 3;

13) X. Ignacy Paszkiewicz, prof. filozofii, 25, 1, 1;

14) X. Kazimierz Zmieczorowski, l. 29, kap. 1;

15) X. Hipolit Wierciński, l. 24, od wyświęc. 1.

Klerycy na studyach: 1) Henryk Mysztowt, 2) Józef Kołb, 3) Kazimierz Serafinowicz, 4) Klemens Murkowski, 5) Franciszek Montwid, 6) Jan Goliński, 7) Jan Żywrowski, 8) Wincenty Skibiński, 9) Jerzy Jakotowicz, 10) Michał

---

[1]) Daty urodzenia, kapłaństwa i obowiązków nie zawsze jednostajnie podawano; zaznaczamy je, jak znaleźliśmy, nie mogąc się upewnić, które są prawdziwe.

Gumiłowski, 11) Adam Podrez, 12) Ignacy Sawicki, 13) Antoni Ulidowicz, 14) Jan Piłat, 15) Józef Stęgwiłło, 16) Karol Seydlitz.

Nowicyusze: 1) Wiktor Rawa, 2) Antoni Kimborowicz, 3) Józef Benikiewicz, 4) Józef Kuczyński, 5) Antoni Nowicki, 6) Kaźmierz Zimnorzecki, 8) Ignacy Bohacewicz, 9) Ignacy Borowski, 10) Paweł Wikirowicz, 11) Tadeusz Iwaszkiewicz, 12) Wincenty Wojewódzki, 13) Wincenty Szyrylewski (?), 14) Dominik Petrykowski, 15) Tadeusz Bukowski, 16) Józef Szymanowski.

Bracia: 1) Andrzej Witkiewicz, 2) Jan Benczyński, 3) Benedykt Janowicz, 4) Fryderyk Trybel, 5) Kasper Marcinowski.

Summa summarum — 52.

W r. 1808 tam byli:

1) X. Andrzej Pohl, już tylko jako wizytator;

2) X. Wojciech Czerechowski, superyor;

3) X. Józef Stankonowicz, asystent;

4) X. Dominik Zarzecki, dyr. sem. duch. świeckiego;

5) X. Jozafat Laudański, Procur. Caus., prefekt drukarni;

6) X. Mikołaj Nowicki, profesor;

7) X. Jan Górski (Gorski), profesor;

8) X. Justyn Sakowicz, spełniający obowiązki parafialne;

9) X. Ignacy Paszkiewicz, dyrektor seminaryum Zgromadzenia;

10) X. Wincenty Skibiński, obowiązki parafialne spełniający;

11) X. Tadeusz Bukowski, profesor;

12) X. Wincenty Wojewódzki, prokurator Domu;

13) X. Józef Szymanowski, profesor;

14) X. Tadeusz Łosacki, emeryt.

Klerycy na studyach:

1) Wiktor Rawa, 2) Sylwester Romanowski, 3) Jakób

Gąsowski (Gąssowski), 5) Adam Androcki, 5) Antoni Szymański, 6) Jan Zieńkiewicz, 7) Stefan Manturewicz, 8) Michał Wajczuniewicz, 9) Wincenty Nowicki, 10) Maciej Kozłowski, 11) Antoni Klimaszewski, 12) Mateusz Zarzecki, 13) Antoni Brodowski, 14) Wincenty Szpilewski [1]).

Nowicyusze (klerycy seminarzyści):

1) Józef Lorent, 2) Józef Bogusławski, 3) Franciszek Bisiekierski, 4) Jan Pajewski, 5) Marcin Dokiewicz, 6) Antoni Kulikowski, 7) Onufry Józefowicz, 8) Józef Fiedorowicz (potem znana bardzo osobistość uczona i zasłużona w Zgromadzeniu), 9) Tomasz Jąstrzębski, 10) Franciszek Kiełczewki.

Koadjutorzy-Laicy:

1) Andrzej Witkiewicz, 2) Jan Bączyński (pierwiej Benczyński nazwany), 3) Benedykt Janowicz, 4) Franciszek Grabowski, 6) Jan Kuczyński, 6) Józef Jackiewicz.

Summa summarum — 45 [2]).

Rok 1812:

1) X. Andrzej Pohl, jako wizytator;

2) X. Józef Stankonowicz, superyor od 2 lat;

3) X. Dominik Zarzecki, od takiegoż czasu wicesuperyor;

4) X. Kazimierz Mieczkowski, profesor;

5) X Jozafat Laudański, prokurator;

6) X. Anzelm Zygmont, na pewno niewiadomo, czy tam mieszkał;

7) X. Kazimierz Zmieczorowski;

8) X. Wincenty Skibiński, wiceprefekt kościoła;

9) X. Wincenty Wojewódzki, przy parafii zajęty;

10) X. Tadeusz Bukowski, profesor;

11) X. Wincenty Szpilewski, profesor;

---

[1]) Bardzo być może, że ów Szpilewski i wyżej wymieniony Szyrylewski — to jedna osoba.

[2]) Na podstawie drukowanego katalogu (bez miejsca druku, ale pewnie w Wilnie) na rok 1808; inne spisy z rękopiśmiennych notatek pochodzą.

12) X. Stefan Manturewicz, profesor;

13) X. Jan Stulpin, przy parafii zajęty.

Klerycy studenci:

1) Jakób Gąsowski, 2) Antoni Brodowski, 3) Mateusz Kozłowski, 4) Franciszek Zambrzycki, 5) Tomasz Borowski, 6) Jan Mirkiewicz, 7) Józef Lorent.

Nowicyusze:

1) Piotr Dowgiałłowicz, piszą go też Dowgiłłowicz, 2) Jan Tomaszewski, 3) Szymon Pilkiewicz, 4) Mateusz Mainowski, 5) Kaźmierz Gnielowski, 6) Andrzej Kilkiewicz, piszą go też Kiełkiewicz, 7) Stanisław Popławski, 8) Wojciech Moczulski, 9) Grzegorz Wyżykowski.

Laicy:

1) Andrzej Witkiewicz, 2) Jan Bączyński, 3) Benedykt Janowicz, 4) Franciszek Grabowski, 5) Józef Jackiewicz, 6 Bartłomiej Jackiewicz.

Summa summarum — 35.

Rok 1818:

1) X. A. Pohl, jak wyżej;

2) X. Jozafat Laudański, superyor;

3) X. Józef Stankonowicz, asystent;

4) X. Mikołaj Nowicki, prefekt szkoły parafialnej;

5) X. Anzelm Zygmont, prof. języka niemieckiego;

6) X. Dominik Zarzecki, dyrektor misyj i rekolekcyj;

7) X. Tadeusz Smolko, sekretarz wizytatora;

8) X. Franciszek Słodczyński, wieku lat 40, powołania 15, kapłaństwa 10;

9) X. Józef Bohdanowicz, wice asystent Domu już nam znany;

10) X. Jakób Gąsowski, dyrektor semn. extern., profesor, o nim wyżej;

11) X. Franciszek Zambrzycki, profesor;

12) X. Tomasz Borowski, profesor, l. 28, pow. 14, kapł. 5;

13) X. Ignacy Dawnorowicz, prefekt kościoła;

14) X. Piotr Żytkiewicz, 30, 8, 3, prokurator Domu rok I;

15) X. Piotr Dowgiałłowicz, 27, 8, 3, profesor;

16) X. Jóef Kuźmicki, pierwszy rok nauczał;

17) X. Donat Iwaszkiewicz, profesor.

Klerycy na studyach, wotyści:

1) Paweł Małyszewski, 2) Mateusz Snarski, 3) Jan Izbicki, 4) Maciej Gierdwiłło, 5) Chryzostom Łukaszewicz, 6) Józef Pawlikowski, 7) Wincenty Chodorski, 8) Feliks Murawski, 9) Józef Kulesza, 10) Kamil Szyrmulewicz, 11) Józef Szalewicz, 12) Jan Skędzielewski, 13) Franciszek Woliński.

Nowicyusze, klerycy seminarzyści:

1) Tomasz Mioduszewski, 2) Maciej Kołosowski, 3) Jan Erdman, 4) Franciszek Gan, 5) Tomasz Czeczot, 6) Franciszek Bohdanowicz, 7) Łukasz Szatkowski, 8) Michał Andronowski, 9) Jan Kuszelewski, 10) Marcin Taborowski, 11) Wincenty Januszkiewicz, 12) Antoni Śliwowski, 13) Jan Dzwonkowski, 14) Hipolit Szostak, 15) Ant. Balakiewicz, 16) Jan Sadowski, 17) Michał Szkiłądź, 18) Ludwik Kamieński, 19) Antoni Milewski, 20) Józef Tulcewicz

Braci laików — dwóch.

Summa summarum — 52.

Rok 1820 [1]):

1) X. Józef Stankonowicz stał wówczas na czele prowincyi — zapewne więc ten spis sporządzony przy końcu tego roku;

2) X. Jozafat Laudański, superyor, któremu dano w tym roku lat 54 [2]); rodem był z Połockiego; uczył się pierwotnie w Połocku i Wilnie; w 1784 r. wstąpił do Zgromadzenia; oprócz języka polskiego i łaciny, znał język lite

---

[1]) W niektórych wizytach brak zupełny szczegółów biograficznych i dat wszelkich z życia podawanych tam księży; więc ich nie zaznaczamy; gdy zaś są, to je chętnie cytujemy.

[2]) Ta data nie zgadza się zupełnie z wyszczególnieniem wyżej podanem; a także gdy mowa i o innych.

wski i ruski (może rosyjski); sprawował rozmaite urzędy w Zgromadzeniu (profesora, prokuratora, prefekta kościoła drukarni, konsultora), a wtedy oprócz przełożeństwa na Górze Zbawiciela był tam proboszczem i również u św. Kazimierza.

3) X. Mikołaj Nowicki w równym wieku z poprzednim; rodem z województwa mińskiego i w Mińsku do szkół naprzód chodził; w Zgromadzeniu od r. 1786; pracował na parafiach, uczył młodzież w Krasławiu, potem w seminaryum w Wilnie, gdzie też dyrektorował, bywał prokuratorem, a teraz „do pracy mało zdolny; bawi się bogomyślnością w Wilnie".

4) X. Anzelm Zygmont, na świat przyszedł w Warmii około roku 1773 (?) i tam początkowe nauki pobierał; do Zgromadzenia wstąpił 1787 r., tam kontynuował swoje studya; miał siebie za niemca, ale znał, rzecz naturalna, język polski i łacinę, piastował urząd dyrektora zakładu głuchoniemych w Pawłowsku, około Petersburga, miał order Włodzimierza i sygnet z brylantami od rządu rosyjskiego, w tym czasie zaś uczył po niemiecku na Górze Zbawiciela.

5) X. Józef Kowalewski, mający lat 45; w Zgromadzeniu od r. 1791, spełniał obowiązek nauczyciela, dyrektora seminaryum, profesora teologii w Krasławiu, superyora w Iłłukszcie, a nakoniec na Górze Zbawiciela do pomocy przy kościele;

6) X. Dominik Zarzecki, asystent Domu, już nam znany;

7) X. Józef Bohdanowicz, konsultor, mówiliśmy o nim wyżej;

8) X Tadeusz Smolko, lat 39; uczył się w szkołach w Krożach; do Zgromadzenia wstąpił w 1798 r.; sekretarz wizytatora;

9) X. Jakób Gąsowski, prefekt kościoła i konsultor, znany;

10) X. Franciszek Zambrzycki, profesor teologii i języka francuskiego, ur. 1789 r.;

11) X. Piotr Dowgiałło, prokurator Domu, ur. około r. 1794;

12) X. Donat Iwaszkiewicz, lat 25; w Zgromadzeniu od r. 1809; rodem z Inflant; oddany pracy parafialnej;

13) X. Józef Kuźmicki, profesor seminaryum, ur. około r. 1792, w Zgrom. od r. 1813;

14) X. Karol Jackowski, uczył języka niemieckiego, ur. około 1797, w Zgromadzeniu od 1814 r.

Klerycy wotyści:

1) Franciszek Woliński, 2) Tomasz Mioduszewski, 3) Antoni Połubiński, 4) Michał Andronowski, 5) Marcin Taborowski, 6) Jan Skiędzielewski, 7) Paweł Skiędzielewski, 8) Antoni Bałakierski, 9) Jan Sadowski, 10) Michał Szkiłądz, 11) Ludwik Kamieński, 12) Józef Bulcewicz, 13) Symeon Jazdowski, 14) Dominik Jakubowski, 15) Tad. Łaurynowicz (niewyraźnie), 16) Gabryel Lewkowicz, 17) Winc. Snarski, 18) Alex. Rząsnicki, 19) Michał Lewicki, 20) Jerzy Kryszczun, 21) Józef Zalewski, 22) Maciej Mantulewicz.

Nowicyusze:

1) Ignacy Koc, 2) Maciej Kuczewski, 3) Nikodem Nowicki, 4) Jan Łopaciński, 5) Tomasz Jekielewicz, 6) Kaźmierz Baczkowski, 7) Jan Bokszczanin, 8) Jan Szpak, 9) Józef Jakubowski, 10) Antoni Prószyński, 11) Tomasz Woliński, 12) Antoni Korniłowicz, 13) Rajmund Baranowski, 14) Winc. Tołowiński.

Braci laików — trzech.

Summa summarum — 53.

Rok 1828:

1) X. Jakób Gąsowski, wizytator;

2) X. Dominik Zarzecki, były wizytator, superyor u św. Kazimierza;

3) X. Józef Bohdanowicz, superyor Domu na Górze Zbawiciela;

4) X. Anzelm Zygmuntt (bo i tak go piszą);

5) X. Stanisław Chełmowski, asystent Domu;

6) X. Ignacy Paszkiewicz, profesor;

7) X. Jan Górski, profesor;

8) X. Kaźmierz Zmieczorowski, prefekt kośc.;

9) X. Mateusz Gielżynowicz, prokurator;
10) X. Michał Kołosowski, konsultor;
11) X. Tadeusz Budkiewicz, prefekt studyów;
12) X. Ignacy Koc, profesor, prefekt biblioteki;
13) X. Jan Szpak, profesor;
14) X. Tomasz Woliński, profesor;
15) X. Stefan Zubowicz, prokurator;
16) X. Wincenty Brażewicz;
17) X. Jan Mierzwiński;
18) X. Jerzy Nakutowicz.

Studenci:

1) Antoni Korniłowicz, dyakon, 2) Feliks Lisiecki, dyakon, 3) Mikołaj Abramowicz, 4) Jan Menuë, 5) Jan Jankowski, 6) Józef Zaniewski, 7) Jakób Targoński, 8) Józef Gościcki, 9) Jan Szarski, 10) Antoni Brzozowski.

Nowicyusze:

1) Hipolit Kosobudzki, 2) Abdon Żylewicz, 3) Wincenty Gościmiński, 4) Konstanty Szwykowski, 5) Symforyan Staniewicz, 6) Tomasz Misiewicz, 7) Franciszek Starewicz, 8) Romuald Balczewski (niewyraźnie), 9) Adam Kulwiec, 10) Stanisław Gliński, 11) Ant. Skrutkowski, 12) Platon Łopałło, 13) Nikodem Narkiewicz.

Braci Laików — trzech.

Summa summarum — 44.

Rok 1830:

1) X. Józef Bohdanowicz, wizytator i superyor;

2) X. Jakób Gąsowski, w tym czasie I konsultor;

3) X. Wincenty Trybułowicz, ur. o. 1780 r., w Zgromadzeniu od r. 1800; też konsultor i asystent Domu;

4) X. Michał Kołosowski, ur. 1788 w Augustowskiem, uczył się w Maryampolu u OO. Maryanów, tak zaszczytnie zapisanych w dziejach Kościoła naszego, w 1806 r wstąpił do Misyonarzy, święcenia kapłańskie otrzymał w 1811 r. z rąk świątobliwego biskupa Benisławskiego, sufragana mohylowskiego, następnie pracował gorliwie, a chętnie w Winnicy Pańskiej z wielkim pożytkiem; w 1829 otrzymał stopień

magistra teologii od uniwersytetu wileńskiego, a od r. 1825 już znajdował się w Wilnie, będąc tam dyrektorem seminaryum, konsultorem, potem asystentem Domu, a w 1832 r. wysłany do Iłłukszty na superyora, gdzie stał na czele klasztoru bardzo długo i działał tam jeszcze zbawiennie po r. 1842, i tam, spracowany, okryty zasługami Bogu ducha oddał 8. stycznia 1854 roku;

5) X. Piotr Kalinowski przyszedł na świat w r. 1764 na Podlasiu; uczył się w Tykocinie, 1782 r. wstąpił do Zgromadzenia; długo bardzo w Białymstoku był czynny, potem w Szczuczynie przy klasztorze Sióstr Miłosierdzia; następnie wezwany do Wilna, gdzie od 1830—1833 pracował, od 1833—1835 w Łyskowie, a w 1835 znowu do Wilna powrócił, był konsultorem, i tam się do wieczności przeniós 9 kwietnia 1849 roku;

6) X. Anzelm Zygmont, już nam znany; umarł w Wilnie 1844 roku;

7) X. Jerzy Józefowicz ur. o. 1774 r., do Zgromadzenia wstąpił w 1794 r.; zajmował rozmaite stanowiska: dyrektora seminaryum, regensa, kaznodziei etc., a od roku 1829 w Wilnie prefektem kościoła; podobno miał stopień od uniwersytetu wileńskiego;

8) X. Tomasz Syrtowft przyszedł na świat około 1780 r., w Zgromadzeniu od r. 1799; pracował w rozmaitych seminaryach, a od r. 1829 w Wilnie jako dyrektor *seminarii externi;* posiadał stopień uczony od wszechnicy wileńskiej;

9) X. Jan Górski, urodziwszy się o. 1781, wstąpił do Misyonarzy w 1797 roku, pełnił następnie rozmaite obowiązki w Zgromadzeniu, a natenczas był przy parafii;

10) X. Ignacy Paszkiewicz, ur. o. 1777 roku, w Zgromadzeniu od r. 1799; był dyrektorem seminaryów, regensem, konsultorem, a teraz prokuratorem;

11) X. Mateusz Gielżynowicz, przyszedł na świat w r. 1780 r., do Misyonarzy przyjęty w 1806 r.; był

profesorem w Iłłukszcie, przełożonym w Bebrze, prokuratorem w Wilnie, umarł w Białymstoku 1860 r.;

12) X. Jan Januszewski; ur. o. 1771, uczył się w Traszkunach u Bernardynów, w Zgromadzeniu od 1797, a od dwóch lat w Wilnie;

13) X. Jerzy Tołowiński; o nim już mówiliśmy;

14) X. Jan Olizarowicz z Podlasia, gdzie przyszedł na świat o. 1796 r., w Zgromadzeniu od 1816 r. (piszą go i Olizarewicz); uczył w Krasławiu i Iłłukszcie; teraz profesorem sem. na Górze Zbawiciela;

15) X. Jan Mierzwiński urodził się w Iłłukszcie 1799 roku i tam się naprzód uczył; z początku służył wojskowo, a potem, 1823, oddał się służbie Bożej, wstąpiwszy do Misyonarzy i otrzymawszy stopień kandydata teologii od uniwersytetu wileńskiego; uczył w semin. na Górze Zbawiciela, potem był superyorem w Siemiatyczach i tu go rok 1832 zastał; następnie do Białegostoku wysłany, a w 1838 znowu w Wilnie jako dyrektor seminaryum kleryków misyonarskich i razem profesor w seminaryum dla duchowieństwa świeckiego; po rozproszeniu Misyonarzy proboszczował w Szkudach na Żmudzi i w 1860 roku Bogu ducha oddał.

16) X. Ludwik Kamieński, urodzony na początku XIX w., od r. 1818 w Zgromadzeniu, był teraz pomocnikiem przy parafii na Górze Zbawiciela;

17) X. Jan Bokszczanin (z przydomkiem Rab szlachcic oszmiański), rówieśnik X. Kamieńskiego; do Zgromadzenia wstąpił 1819, wyświęcony na kapłana 1826; uczył w Łyskowie i Iłłukszcie, od końca 1830 r. prokuratorem;

17) X. Kaźmierz Baczkowski, ur. o. 1805 r., uczył się w Chwałojniach u Karmelitów Trzewiczkowych, 1820 r. wstąpił do Zgromadzenia; miał stopień kandydata teologii; wyświęcony na kapłana w 1829 r., następnie profesorem seminaryum na Górze Zbawiciela do r. 1834; potem nauczał w Iłłukszcie, a od r. 1838 — w Krasławiu.

Klerycy-Studenci:

1) Jan Tromszczyński, 2) Franciszek Dynifinger, 3) Da-

wid Brazulewicz, 4) Justyn Żakowicz, 5) Wincenty Gościmiński, 6) Adam Rymowicz, 7) Jan Hryniewiecki, 8) Konstanty Szwykowski, 9) Franciszek Starewicz, 10) Romuald Balczewski, 11) Antoni Skrutkowski, 12) Julian Baranowski, 13) Kajetan Pietkiewicz, 14) Ignacy Łobanowski, 15) Tomasz Misiewicz.

Nowicyusze:

1) Dominik Pleskaczewski, 2) Antoni Politowski, 3) Stanisław Jawgiel, 4) Julian Leczycki, 5) Antoni Miłewski, 6) Kleofas Żarnowski, 7) Józef Katkiewicz, 8) Dawid Wilczewski, 9) Justyn Bohdanowicz, 10) Franciszek Ginejdt, 11) Michał Mackiewicz, 12) Stefan Wincza, 13) Michał Stankiewicz, 14) Wiktor Zieniewicz, 15) Ignacy Żaba, 16) Grzegorz Szacki, 17) Józef Mińczewski, 18) Tomasz Lenczewski, 19) Adam Woiński, 20) Józef Szuplewicz, 21) Grzegorz Brzeziński.

Braci Laików — 8.

Summa summarum — 61.

Rok 1837 [1]):

1) X. Józef Bohdanowicz, wizytator i razem superyor;

2) X. Wincenty Brażewicz, prof. semn., lat 34, powołania 15;

3) X. Stanisław Chełmowski, konsultor prowincyi, asystent Domu, 67, 49;

4) X. Jan Erdman, konsultor prowincyi, wiceasystent Domu, 40, 20;

5) X. Mateusz Gielżynowicz, konsultor Domu, 57, 31;

6) X. Jan Górski, dyrektor rekolekcyj, 55, 40;

7) X. Jan Hryniewiecki, prokurator Domu, 29, 11;

8) X. Jan Januszewski, lat 63, powołania 40;

9) X. Piotr Kalinowski, konsultor Domu, 73, 55;

10) X. Hipolit Kossobudzki, prof. semn., 28, 11

---

[1]) Catalogus Personarum Congr. Misionis in imperio Rossico existentium in annum Dni 1837 editus, bez m. d., pewno w Wilnie u Misyonarzy.

11) X. Gabryel Lewkowicz, prof. semn., 39, 18;

12) X. Jan Pajewski, konsultor Domu, dyrektor i prof. semn., 48, 25;

13) X. Szymon Piłkowicz, lat 48, powołania 28 († 1843 r.);

14) X. Antoni Skrutkowski, prof. semn., 28, 10;

15) X. Franciszek Sonulewicz, konsultor prowincyi, dyrektor sem., 46, 26;

16) X. Michał Szeliski, konsultor Domu, 75, 54;

17) X. Jerzy Tołowiński, konsultor praw i asystent Domu, 42, 22;

18) X. Dawid Wilczewski, prof. semn., 30, 8;

19) X. Tomasz Woliński, prefekt kościoła, 35, 16;

20) X. Stefan Zubowicz, prefekt drukarni, 54, 14;

21) X. Anzelm Zygmont, lat 66, powołania 50

Klerycy Studenci:

1) Jan Achmatowicz, lat 22, powołania 4; 2) Ignacy Boratyński. 21, 5; 3) Tomasz Kierznowski, subd 23, 5; 4) Julian Pawłowski, 20, 3; 5) Ludwik Poczepowicz, 20, 3; 6) Feliks Rakowski, 23, 5; 7) Jan Sipko, 20 3; 8) Edward Słobodziński, 23, 4; 9) Edward Tupalski, 19, 5; 10) Józef Węckiewicz 22, 5; 11) Władysław Zahorski subd., 24, 6.

Nowicyusze:

1) Kaźmierz Berent, lat 19, w nowicyacie r. 1; 2) Antoni Bejnarowicz, 23, 1; 3) Sylwester Bejnarowicz, 18, 1; 4) Mikołaj Budryk, 29, 2; 5) Jan Dargiewicz, 22, 2; 6) Aleksander Dąbrowski, 20, 1; 7) Konstans Eymont, 18, 1; 8) Wiktoryn Ejmuntowicz, 19, 1; 9) Adam Grochowski, 23, 2; 10) Piotr Hlebowicz, 29, 2: 11) Jan Jałowiecki, 20, 2 12) Julian Jałowiecki, 18, 2; 13) Wincenty Jelski, 21, 2; 14) Ildefons Leszczyński, 21, 2; 15) Kaźmierz Mąkiewicz, 25, 1; 16) Jozafat Ossowski, 19, 2; 17) Jan Piotrowcki, 21, 1; 18) Edward Potz, 16, 2; 19) Franciszek Rogoziński, 21, 2; 20) Jerzy Rumszewicz. 20, 2; 21) Piotr Ruszkowski, 25, 1; 22) Jarosław Sosnowski, 17, 2; 23) Adam Szabłowski, 25, 1; 24) Michał Szmuglewicz, 18, 1; 25) Atanazy Szymański, 18,

1; 26) Józef Tamulewicz, 22, 1; 27) Józef Wołk, 20, 2; 28) Jan Wojtkiewicz, 18, 1.

Braci koadjutorów — 11.

Summa summarum — 71.

Nadszedł złowrogi rok 1842, kiedy to zamknięto tyle domów Bożych, klasztorów, zniszczono nawet całe Zakony; takiż los spotkał Zgromadzenie Misyonarzy. W grudniu tego roku wyexekwowano ukaz carski uśmiercający także XX. Misyonarzy wszystkich; sama ich nazwa zakazaną została w oficyalnych dokumentach; *nomen ejus non memoretur amplius...* A jednakże byli to mężowie, do których da się dobrze zastosować owo dawne, znane orzeczenie: *magna egerunt, qui ante nos fuerunt!*

Otóż przebrano natychmiast Misyonarzy w ubrania świeckich księży i zaczęto rozsyłać po parafiach, czyniąc im pierwszeństwo przed innymi zakonnikami i zgromadzeniami duchownemi. Natenczas było jeszcze 50 kapłanów misyonarskich (pomiędzy nimi kilkunastu już w podeszłych latach i schorowanych), 15 kleryków i 5 braciszków. Niektórym klerykom udzielono święceń kapłańskich, jeśli kończyli studya i wiek mieli odpowiedni, a resztę odesłano do seminaryum dyecezalnego jako ze świeckiego kleru już pochodzących.

W Wilnie pozostawiono: X. Józefa Bohdanowicza, wizytatora, X. Jerzego Tołowińskiego, jego pomocnika, X. Tomasza Wolińskiego, prefekta kościoła, w charakterze wikaryuszy — X. Jozafata Wolińskiego, X. Konstansa Eymonta, X. Józefa Gedmina i smutnej następnie pamięci Piotra Żylińskiego; z początku też mieszkała tam jeszcze znaczna liczba kapłanów misyonarskich, których potem powysyłano na parafie w różne strony dyecezyi.

Ponieważ parafię na Górze Zbawiciela zatrzymano, a była ona dość liczna i gorliwie uczęszczana, to zawsze tam kilku kapłanów bywało i nabożeństwa odprawiano solennie, na które

zbierało się zawsze dużo wiernych. Przy takich warunkach przetrwano do wiosny 1844 roku. — Na początku kwietnia wydano ukaz, aby i tę resztę ex-Misyonarzy, razem mieszkających, rozegnać, a kościół zabrać; z początku jednak czas jakiś chowano w sekrecie to rozporządzenie, jednak dowiedziano się o tem.

Tymczasem księżna Ogińska[1]) uprosiła egzekwie za duszę męża na 18 (zapewne v. s.) kwietnia[2]) na Górze Zbawiciela i gruchnęła natychmiast po mieście wiadomość, że to już ostatnie w tym kościele nabożeństwo; zebrały się tłumy ludu, rzewnie płaczącego i nie mogącego się utulić i ukoić przy myśli, że w tej wspaniałej świątyni po raz ostatni modły do Boga są zanoszone; po skończonem nawet nabożeństwie ogromna ilość wiernych długo otaczała kościół, nie chcąc się z nim rozstać i ze łzami w oczach żegnała ukochanych Misyonarzy. — Zaraz nazajutrz zamknięto kościół i wszystko z niego uprzątnięto tak, że 24. kwietnia już tam kamień na kamieniu nie pozostał, zniszczono wszystko! Bibliotekę przeniesiono i drukarnię do seminaryum dyecezalnego, parafię przyłączono do sąsiednich, starych, zchorowanych Misyonarzy umieszczono u Augustyanów i niektórym tylko przeznaczono rocznej pensyi po 60 rubli, ale byli i tacy, którzy nic nie otrzymali...

Od tego czasu opuszczony kościół niszczał zupełnie: nie było już pięknej posadzki, ani jednego obrazu, okna bez

---

[1]) Zapewne tu mowa o Kunegundzie z Platerów, która poślubiła Gabryela Józefa Andrzeja Ogińskiego, z linii wygasłej dorsuniskiej, pana obszernych włości, pułkownika gwardyi litewskiej z 1812 r., potem naczelnika powstania 1831 roku, co za sobą pociągnęło dóbr konfiskatę i tułactwo, na którem on założył w Paryżu introligatornię artystyczną; o czem gdy zasłyszał król, lubownik takich rzeczy, to się z nim poznał i często go odwiedzał; on to wyprosił powrót do kraju Ogińskiemu, który jednak odsiedział roczne więzienie i po tem zamieszkał pod Wilnem na dzierżawie niewielkiej i tam umarł w r. 1842, jakoby 15. grudnia (a podług innej wersyi 18. kwietnia). Potomstwa nie zostawił. Cfr. Żychiński, V. p. 191.

[2]) Mémoires p. 703 et 399.

szkła, blacha na dachu wisiała oderwanymi kawałkami, wieże bez dzwonów brudne i obdarte... X. Jan Erdman, zwierzchnik tego kościoła, mieszkający niedaleko stamtąd, z boleścią poglądał na upadający Dom Boży i jak ów Ezdrasz w starym zakonie modlił się ustawicznie i Bóg go wysłuchał; ucieszył się on i żyjący jeszcze jego konfratrzy, *Exules filii Evae*, bo w 1861 roku otrzymano pozwolenie ze składek odrestaurować ten kościół i na służbę Bożą go znowu przeznaczono (chociaż bez parafii).

Wzięto się gorliwie i ochoczo do tej zbożnej pracy, idącej żwawo i prędko; znalazło się niemało ludzi chętnych, śpieszących z datkami i ofiarami; w jesieni r. 1862 wszystko odnowiono i było już gotowe i we wrześniu, od 26—30, odbyła się biesiada duchowa — wznowione nabożeństwo na Górze Zbawiciela.

Z Misyonarzów dawnych żyło jeszcze 18 (z tych 70 w 1842 r.); zjawili się wszyscy i do głębi serca i duszy byli rozczuleni; modlili się gorąco, Bogu dziękując, że doczekali tej uroczystej chwili, aby znowu módz modły do Niego zanosić na Górze Zbawiciela, w swojej dawnej świątyni, ślicznie i gustownie odświeżonej [1]).

Rządy w tym kościele, jako rektor, objął X. Jan Erdman, a po jego śmierci X. Konstans Eymont [2]), także ze Zgromadzenia misyonarskiego, wielkiej bogobojności i zacności kapłan, zaznaczony jeszcze w Directorium wileńskiem na rok 1895 wydanem.

Skończyłem w dniu S. Wincentego a Paulo,
d. 19. lipca 1915 w Krakowie

Smora.

---

[1]) Pamiętnik Relg. Moralny, Serya II t. 10, p. 675 et sqq.

[2]) Miałem szczęście znać Go jeszcze osobiście i ów Katalog z roku 1837 od Niego otrzymałem. Cześć Jego pamięci!

I jeszcze kilkanaście wydawnictw drukarni wileńskiej XX. Misyonarzy i parę książek w styczności z niemi zostających [1]).

Przymówienie się (sic!) wysłużonego profesora ks. Filipa Neryusza Golańskiego na sesyi Rady Impr. Wileń. Uniwersytetu dnia 1. kwietnia 1814, in 8⁰ kart 4. Dissertatio de Antiquis Bibliorum versionibus latinis et praecipue de Vulgata... defendet Josephus Bohdanowicz... Congr. S. Vincentii a Paulo per totam Rossiam Visitator, 1830, in 8⁰ str. 50.

Instructio de Sacra Scriptura ex variis auctoribus collecta, 1810, in 8⁰ 61.

Przypis Kasprowi-Kazimierzowi Cieciszowskiemu, Biskupowi łuckiemu, od kleru dyecezyi łuckiej.

Rosprawa (sic!) czy wolno wszystkim bez braku czytać Pismo Święte w językach krajowych, 1817, in 8⁰ str. 24.

Dissertatio inauguralis exegetico-historico-critica de fatis authentiae et exegeseos apocalypsis... submittit R. Antonius Fiałkowski, Theol. et Jur. Civ. Magister... 1825 in 8⁰ (na doktora).

Biblia dla dzieci ozdobiona 48 rycinami, przekład z francuskiego H. W. C. K. Z. (Wincenty z Ciechanowa Kiszka Zgierski), 1822.

Lectio literalis Psalmorum ex variis versionibus et praecipue ex textu Hebraeo... ab Illustr. A R. D. Thoma Hussarzewski... conscripta, 1810, 8⁰, str. 280.

Nowy Testament, Ewanielia, Dzieie i Pisma Apostolskie w swoich wyjątkach... przez X. Fil. Ner. Golańskiego S. P., bez roku, in 8⁰ VI. — 421.

Nauki dogmatyczne dla odprawiających rekollekcye zebrane przez X. Pohla. 1818 in 4⁰ — 154 [2]).

---

[1]) Adam Jocher, Obraz bibliograficzno-historyczny literatury i nauk w Polsce, tom II., Nr. 2212, 2224, 2248, 2251, 2255, 2448, 2500, 2534; tom III., Nr. 5565, 6077 f, 6079 g, 6392, 6716 b, 7310, 7441, 8097, 8098, 8143, 8534.

[2]) Chyba to jest różne od Nauk moralnych etc., in 4⁰ str. 318, o których dawniej była mowa?

Philotea czyli droga do pobożności, tłomaczenie, 1818, in 8°, 434.

Woyna Duchowna O. Wawrzyńca Scupuli, tłomaczenie, nowe wydanie nakładem kleryków seminaryum żmudzkiego, 1829, in 12, VIII. + 346.

Żyje Jezus Drzewo Żywota wiecznego Przenajświętsze Jezusa Serce... 1821, in 8° str. 356.

Ignatius Borowski. In Canones vulgo Apostolorum, Dissertatio inauguralis, 1828, 8°.

Process kanoniczny rządowy i sądowy w teoryi i praktyce zastosowany do ustaw Cesarstwa Wszech Rossyj... przez Wincentego z Ciechanowca Zgierskiego, Xiążka I., 1820, in 8° str. 70.

Institutiones historiae ecclesiasticae ad usum praelectionum scholasticarum, quae in seminariis dioecesanis traduntur, 1806 w dwóch tomach.

Przypis XX. Misyonarzy wileńskich X. Janowi Kossakowskiemu, biskupowi wileńskiemu, kazanie na dzień Św. Kazimierza w Katedrze wileńskiej przez X. Profesora Golańskiego, 1811 in 8° kart nieliczbowanych 12.

Klerycy seminaryum wileńskiego ofiarowali X. Tomaszowi Hussarzewskiemu, Cong. Missiones, regensowi seminaryum ówczesnemu, dwa druki: Wstęp do historyi Powszechnej kościelnej, wyd. w Wilnie w r. 1775 u Pijarów, in 8°, str. 73, z dedykacyą jemu; i Uwagi nad Historyą Kościelną, z francuskiego na polski język przełożone, wydane u Pijarów w Wilnie r. 1772, in 8°, str. 239. [1] *Smora.*

[1]) Rok wydania budzi niejakie wątpliwości...

Z dziejów Domu Stradomskiego.

III. Seminaryum duchowne na Stradomiu.

8. Alumni.

Dotychczas przedstawiliśmy działalność, raczej powinność rektora Seminaryum duchownego na Stradomiu, oraz zajęcia profesorów czyli dyrektorów. Głębiej rozpatrzyć mogliśmy ich pracę na polu naukowem przez przegląd wykładów, przez nich napisanych, które są świadectwem ich rzeczywistej wartości profesorskiej. Teraz zaś z kolei patrzmy na ich czynności pedagogiczno-ascetyczne, to jest na wychowywanie alumnów. Trzeba ich znaleźć przy pracy równie ważnej jak nauka, owszem ważniejszej, zda się, przy wyrabianiu duchownem alumnów na dobrych kapłanów, według wyżej wymienionych zasad. Tam była teorya, tu zaś podaną będzie praktyka. Otóż są zupełnie pewne dane, poparte faktami, a raczej stałem postępowaniem, że Misyonarze naprawdę wprowadzili w czyn zasady swego „Institutum" i to nawet z pewną bezwzględnością.

Źródeł do kwestyi o alumnach stradomskich dostarczają nam: Akt Erekcyi Seminaryum stradomskiego, Reguły dla alumnów, zwłaszcza zaś dwa początkowe Katalogi alumnów.

Co się tyczy Reguł seminaryjnych, to na Stradomiu były w użyciu Reguły, zatwierdzone pod datą 28. maja 1728 r. przez księcia biskupa Szaniawskiego dla Seminaryum Zamkowego w Krakowie. Dowód na to mamy w tem, że egzem-

plarz Reguł stradomskich jest dosłownym odpisem Reguł [1] zamkowych, a na końcu (str. 21—22) dodano tylko spis obowiązków, jakie ciążą na alumnach stradomskich. Te obligationes alumnorum Seminarii dioecesani in Stradom pochodzą z czasów, kiedy Seminarya Zamkowe i Stradomskie połączono w jedno. W tem nic dziwnego, że te same reguły tu i tam obowiązywały, bo oba seminarya były pod zarządem Misyonarzy, którzy trzymali się wszędzie tych samych zasad, a przytem książę biskup Szaniawski niezawodnie chciał, by te ustawy, jakie uznał za dobre i potwierdził dla seminaryum na Zamku, stosowano też i na Stradomiu.

Powyższe Reguły seminaryjne Zamkowe Szaniawskiego wraz z Regułami dawniejszemi, pochodzącemi od biskupów krakowskich Piotra Gembickiego i Jana Małachowskiego, przedrukował X. Stanisław Wysocki w swem „Seminaryum Zamkowem" (Lwów 1910) na str. 287 i nast. Dołem stron są umieszczone właśnie ustawy Szaniawskiego, od str. 298 począwszy. Obejmują tytuł, przedmowę, ośm rozdziałów, w końcu urzędowe zatwierdzenie ich przez księcia biskupa Kajetana Ignacego Sołtyka pod datą 3. sierpnia 1765 r. W stradomskim egzemplarzu dopisano jeszcze wspomniane wyżej Obligationes alumnorum. Urzędowo zatwierdzonego egzemplarza Reguł stradomskich nie znajdujemy. W Przedmowie słusznie zauważają Reguły, że w samych Regułach powinien być ład, skoro ich zadaniem jest służyć do formowania umysłów alumnów. Podaje więc krótko treść Reguł. Potem następuje ośm rozdziałów następującej treści: c. 1. De scopo seminarii clericorum, c. 2. de requisitis admittendorum, c. 3. de temporis

---

[1]) Tytuł pełny Reguł Seminaryum Stradomskiego: Leges antiquae revisae, novae plures additae authoritate Celissimi Principis Illustrissimi ac Reverendissimi Domini Constantini Feliciani in Szaniawy Szaniawski episcopi Cracoviensis Ducis Severiae circa erectionem eiusdem Seminarii Anno Dni 1728 die 18-a maii recognitae et approbatae. Format 23×1$^{1}/_{2}$, kart zapisanych 13. Na pierwszej stronie tytuł późniejszy: Leges Seminarii dioecesani cracoviensis authoritate Illmi ac Rmi Dni Dni.. Szaniawski eppi cracoviensis circa erectionem eiusdem Seminarii recognitae et approbatae.

distributione, c. 4. de exercitiis spiritualibus, c. 5. de exercitiis literariis et vacationibus. Tu dodano Appendix Monita particularia: In studiis observanda, Tempore conversationis, c. 6. de aliis exercitiis et quibusdam observandis, c. 7. de personis, c. 8. de rebus. Taki jest rozkład Reguł seminaryjnych, z których treścią zapoznamy się bliżej przy omawianiu poszczególnych materyi.

Dalej mamy dwa starsze katalogi alumnów [1]). Pierwszy katalog od początku Seminaryum stradomskiego mieści najpierw streszczenie Reguł seminaryjskich pod tytułem Compendium Regularum Seminarii w 20 punktach. Potem Ordo quotidianae occupationis i Monita particularia takie same jak w Regułach, tylko tu dodano jeszcze wskazówki, jak się zachować przy brewiarzu i przy stole. Dalej podano najważniejszy wyjątek z Aktu Erekcyi Seminaryum Stradomskiego od słów Et primo quidem quoad Seminarium aż do słów końcowych ustępu o prowizorach „demandamus". Odpisano też wizę tego wyjątku przez notaryusza apostolskiego Wojciecha Mysłowskiego. Teraz następuje już Cathalogus clericorum alumnorum in Seminario Domus Stradomiensis Congregationis Missionis commorantium per annos infra specificandos. Katalog pisany, jak wogóle wszystkie akty urzędowe w seminaryum, po łacinie. Powiada, że odtąd istnieją tylko dwie fundacye Męcińskiego na trzech i Szaniawskiego na piętnastu kleryków świeckich. Fundacyę Łuczkiewicza kazał książę biskup Szaniawski zużyć całkowicie, to jest wraz z kapitałem na utrzymanie kleryków, jak widać z Aktu Erekcyjnego. Była jeszcze od roku 1725 fundacya biskupa Michała Szembeka, mocą której Misyonarze Stradomscy mieli wykładać Psalmy, zwłaszcza te, które przychodzą w Brewiarzu,

---

[1]) Katalog początkowy, in folio (30 cm × 19) oprawny w skórę ozdobną, ma kart zapisanych $47^1/_2$. Na końcu zaś książki odwróconej, zapisanych kart trzy, z których pierwsza zapisana po obu stronach, dwie dalsze tylko z jednej. — Katalog drugi, dalszy, in folio (32 × 20) oprawny w skórę na grzbiecie i rogach, okładki z tektury, ma kart zapisanych $8^1/_2$. Na pierwszej okładce nalepiony tytuł we formie serca.

alumnom w ich domu się wychowującym, a także Tajemnice Mszy św. mieli wykładać alumnom Zamkowym. Wykład ten na Stradomiu miał się odbywać w niedziele przez godzinę. Od czasów fundacyi Szaniawskiego już nie chodził Misyonarz ze Stradomia na Zamek z tym wykładem, gdyż tam było czterech profesorów, którzy najzupełniej wystarczali dla prowadzenia tego zakładu.

Pierwszy rok szkolny fundacyi zaczyna się od września 1732 roku. Przez sześćdziesiąt lat trwa ta fundacya Szaniawskiego. W sześćdziesiątym pierwszym roku szkolnym, to jest od września 1791 r. nie było na Stradomiu ani jednego fundacyonalisty, sami tylko konwiktorzy, a od września 1792 r. zaczęła się Nowa fundacya Kapituły Krakowskiej, o której później mówić będziemy. Katalog pierwszy kończy się na roku 1797 włącznie.

Drugi katalog mieści na początku odpis główniejszego ustępu Nowej fundacyi z dnia 8. maja 1792 r. i obejmuje czas od 1. września 1792 do czerwca 1801 r., czyli dziesięć lat. Potem nastąpiła nowa faza, to jest złączenie trzech seminaryów krakowskich w jedno na Stradomiu.

W Polsce wogóle kandydaci na kapłanów musieli mieszkać w Seminaryach. Powiada Kołłątaj [1]): „Co do duchowieństwa świeckiego łacińskiego, powszechnie mówiąc, wszyscy klerycy edukowali się w Seminaryach. Są to szkoły dla przystępujących do stanu duchownego, gdzie młodzież doświadczana jest w duchu swego powołania, gdzie się uczy potrzebnych dla siebie nauk, gdzie się wprawia w praktyki obrządków i stopniami odbiera zwyczajne poświęcenia od swego biskupa. Wszystkie dyecezye miały takowe Seminarya mniejwięcej wedle swej obszerności. Dozorcy i nauczyciele byli u nich tacy, jak fundacya mieć chciała, lub jak biskupi późniejsze poprawy wprowadzili. W tem opisaniu weźmiemy za wzór Dyecezyę Krakowską jako z tej strony najlepiej rzą-

[2]) X. Hugona Kołłątaja Pamiętnik o stanie duchowieństwa katolickiego polskiego i innych wyznań w połowie XVIII. wieku. Wydał z rękopisu J. K. Żupański. Poznań 1840, strona 4. i nast.

dzoną, innych stan wedle okoliczności przytoczymy. W dyecezyi więc Krakowskiej były trzy seminarya pod dozorem Missionarzów, dwa w Krakowie a jedno w Lublinie i jedno pod dozorem Akademii Krakowskiej, jedno znowu pod dozorem Jezuitów w Sandomierzu i jedno pod dozorem Bartoszków w Kielcach. Wszystkie te seminarya są do siebie podobne przez urządzenie wewnętrzne, różniły się tylko przez dozorców, przez dobór nauczycieli, przez porządek i ochędóstwo. Nie będziemy tu wywodzić pierwszych ustanowień Seminaryów, albo co za czasem zrobili z nimi biskupi, uważać tylko potrzebujemy stan ich takowy, w jakim się znajdowały od roku 1750 aż do 1764 roku. Seminarya Missionarzów, stosownie do innych, były w najlepszym porządku. Wszystko tam szło na wzór francuskich, nietylko co do nauk, ale i co do obrządków. Seminaryum jednak Zamkowe, przy kościele Katedralnym znajdujące się, musiało iść za obrządkami starożytnymi tego kościoła, lub jak wedle przepisów Kapituły odmieniały się rzeczone obrządki. Seminarya więc Misyonarskie miały swych wewnętrznych dozorców, Prefekta i wiceprefekta, każdy jednak kleryk podlegał oprócz tego starszemu Przełożonemu domu, przy którym znajdowało się seminaryum. Doświadczenie ducha odbywało się przez rekolekcye... przez medytacye codzienne, przez konferencye. Życie co do wiktu było tam nietylko skromne, ale biedne; wstrzemięźliwość w trunkach wielka, układność powierzchowna tak dobrze ułożona i przepisana stosownie do powołania duchownego, jak taktyka dla żołnierzy. Opis ten służy wszystkim innym Seminaryom z różnicą, że rządcy onych wewnętrzni układali młodych kleryków na swoją minę, podług której można było zgadnąć, z jakiego kto jest seminaryum, bo Jezuickie miny różniły się od Misyonarskich, Akademickie i Bartoszków od pierwszych obydwóch... Nauki potrzebne do stanu duchownego, te po seminaryach dawano: Kleryk przychodzący powinien był umieć po łacinie, bo wszystkich lekcyi w tym języku się uczyć musiał, jako to: Logiki, Metafizyki, Teologii moralnej i sakramentalnej; w niektórych seminaryach

misyonarskich była teologia dogmatyczna, historya kościelna, ale mało kleryków miało czas odbyć te kursa. Teologia była dawana według nauczycielów, Jezuici np. dawali ją w swych pryncipiach podług Moliny i Busenbauma, Misyonarze nadstawiali się św. Augustynem, chronili się jednak wprowadzać takich kwestyi, które Molinistę z Jansenistami kłóciły[1]. W Akademii uczono teologii podług św. Tomasza, jak któremu profesorowi podobało się. W tej mierze Zwierzchność dyecezalna była obojętną i dlatego też u nas nie było żadnej kłótni między teologami. Nauki miały swój roczny popis, to jest dysputy, lecz zazwyczaj byli to Misyonarze młodzi, którzy ten popis odbywali, nie klerycy świeccy, o których zawsze mniej dbano (!). Prócz tego wprawiano kleryków do kazań, do exort; te co pewne dni mieli miewać, zatrudnienie czytaniem dzieł pożytecznych rozciągało się tylko do historyi kościelnej podczas obiadu i książek klasycznych, gdzie profesor nie dyktował z teki. Inszych książek i autorów w materyach swej lekcyi kleryk nie mógł czytać w bibliotece Seminarii, to dobrodziejstwo służyło tylko młodym Misyonarzom (?), przy wielu zaś seminaryach albo nie było bibliotek, albo bardzo mizerne i opatrzone w dzieła niepożyteczne. Taki był stan nauk w seminaryach naszych. Co do praktyk wielorakich obrządków, ta część szła z największą pilnością i dokładnością u Misyonarzów. Oprócz lekcyi odbywali klerycy je w kościele i w chórze. Oto cały obraz wychowania w seminaryach. Takowe wychowanie najdłużej trwało przez lat trzy".

Tu dlatego cały ten ustęp z Kołłątaja przytoczyliśmy, bo mówi o Misyonarzach, jak sam się często wyraża, zwłaszcza na str. 15.: „W tem miejscu położyliśmy za wzór opisu seminarya Misyonarzów, jako powszechnie wzięte". A powtóre

[1]) Rzeczywiście Misyonarze Stradomscy używali dzieł Ojca Berti, Augustyanina († 1706), jednego z głównych filarów i wojowników Augustynianizmu, walczącego z Tomizmem i Molinizmem. Benedykt XIV. brewem z 31. lipca 1748 r. zaaprobował wszystkie te trzy systemy jako prawowierne.

dlatego, że to mówi Kołłątaj, człowiek głośny i członek Komisyi Edukacyjnej, reformator Akademii Krakowskiej. Z całego jego opisu znać pewne lekceważenie seminaryów; nie podoba mu się scholastyka i cały system wychowawczy. Kołłątaj przejęty był duchem „wieku oświecenia", płynącym z Francyi. Nic więc dziwnego, że nie smakował sobie w prostej pobożności Misyonarzy. Ceni ich więcej od innych i przyznaje, że nawet bogata młodzież do seminaryów naszych się garnęła. Na niejeden zarzut Kołłątaja znajdzie się odpowiedź, która go odeprze lub złagodzi.

Do seminaryów przyjmowano młodzież tylko w ograniczonej liczbie na utrzymanie. Łożyli na to biskupi, jak tutaj książę biskup Szaniawski, lub Kapituły albo gorliwi o chwałę Bożą kapłani, tacy Męcińscy i Łuczkiewicze. Miejsc fundacyjnych było mało, skutkiem tego widzimy, że oprócz fundacyonalistów byli w seminaryum Stradomskiem alumni, którzy tylko mieli mieszkanie, „habitantes in Seminario sine victu"; takich było w r. 1784 pięciu. W następnym roku objaśniono bliżej, że ci alumni oczekiwali na wolne miejsca fundacyjne: habitantes in Seminario sine victu, expectantes fundationem. W roku 1785 było takich piętnastu. Byli oni przyjęci na pewnego rodzaju exspektatywę. Ta kategorya ciągle się odtąd pojawia, a w r. 1789 nosi nazwę Convictores exspectantes fundationem.

Ale właściwymi konwiktorami nazywali się ci alumni, którzy w seminaryum płacili na swe utrzymanie, nie kompetując wcale o miejsca fundacyjne.

Zatem w seminaryum Stradomskiem były trzy klasy alumnów: jedni są na fundacyi, drudzy jej czekają, wreszcie konwiktorzy.

Prawo przyjmowania kandydatów do Stradomskiego seminaryum zastrzegł książę biskup Szaniawski w Akcie Erekcyjnym wyłącznie tylko superyorowi tego domu w tych słowach: Circa alumnorum seminarii huius admissionem, quam ultra superius praescripta, Admodum Reverendo Superiori domus simpliciter et absolute reservamus. Przez te słowa

„ultra superius praescripta“ rozumie tutaj miejsca dwa, zastrzeżone dla swej rodziny, a względnie szlachty Łukowskiej z prawem czynnej prezenty głównego dziedzica Szaniaw i księdza Rektora Kollegium Łukowskiego, oraz trzy miejsca fundacyjne Męcińskiego z pierwszeństwem dla jego rodziny. Gdy tych nie zgłoszono na czas, to jest do połowy września, to i ten wyjątek odpadał. Miał więc superyor Stradomski wolne prawo obsadzać miejsc trzynaście, a ograniczone na dalszych miejsc pięć. Z rodziny Szaniawskich korzystali z fundacyi Marcin i Franciszek Szaniawscy, wyświęceni na kapłanów po 4 latach pobytu na Stradomiu w roku 1737. Zaś w r. 1754 przybył Tomasz Szaniawski, a wreszcie w r. 1764 Rajmund Szaniawski.

Nieraz wpływali na przyjęcie alumnów biskupi i inni dostojnicy duchowni. Zaznaczano to zazwyczaj w Katalogu, np. Stanisława Kołaczkowskiego wydalono propter multiplices pernoctationes poza seminaryum; ale wracał kilka razy za protekcyą kardynała Lipskiego, ostatecznie jednak opuścił seminaryum jako kleryk 1741 r. Również za protekcyą tegoż kardynała został przyjęty w roku 1746 Józef Pugett, rodem Włoch. Później znowu, w maju 1766 r., przyjęto Jana Tomaszewskiego, którego polecił X. Olechowski, kanonik katedralny krakowski, ale wnet go wydalono z powodu niezdatności. Ma się wrażenie, że w seminaryum Stradomskiem protekcya nie była w zwyczaju, w przeciwieństwie do seminaryum Zamkowego. Skutkiem tego superyor miał swobodną rękę w przyjmowaniu kandydatów.

Przyjęcie odbywało się głównie z początkiem roku szkolnego, który się zaczynał z wrześniem i początkiem drugiego półrocza, to jest w lutym.

Co do warunków, jakich wymagano od kandydatów, te zupełnie odpowiadały ustawom kościelnym. Owszem z całej historyi seminaryum Stradomskiego widać, że ściśle się stosowano do przepisów Kościoła. Fundator w Akcie Erekcyjnym tak określa warunki przyjęcia alumnów: Non alii ad locum huius fundationis admittantur quam qui ex legitimis

parentibus nati, nulli canonico impedimento obnoxii, vigesimum secundum aetatis annum compleverint, et studiis humanioribus ad Rhetoricam inclusive operam dederint, testimonium studiorum et bonae conversationis exhibuerint, omnesque origine vel domicilio diuturno dioecesani Cracovienses exstiterint, aut si sint alienigenae dimissoriales sine reditu a proprio loci ordinario habuerint. W tych krótkich słowach wszystko się mieści, czego żąda ustawodawstwo kościelne od kandydatów do seminaryum duchownego. To samo mówią Reguły seminaryjskie w rozdziale II-gim De requisitis ad mittendorum. Przypatrzmy się poszczególnym pozycyom, jak je przedstawiają Reguły. Najpierw powiedziano tam, że ci, co się starają o przyjęcie do seminaryum, muszą przedłożyć świadectwo moralnego postępowania (bonae conversationis). Świadectwo to ma być wystawione przez profesorów i przełożonych szkoły, w której się kandydat uczył, lub przez oficyała czy dziekana, albo przez proboszcza, albo przez pana, któremu służył lub władzy podlegał bezpośrednio wprzód. Oprócz tego trzeba przedłożyć jeszcze drugie świadectwo, mianowicie metrykę prawego pochodzenia i chrztu świętego, wyciągniętą z ksiąg metrykalnych tego kościoła, w którym chrzest otrzymał. Metrykę ma podpisać proboszcz tego kandydata i dziekan. Dalej kandydaci wykazać się muszą dostateczną wiedzą i uzdolnieniem do duszpasterstwa, oraz udowodnić stałą chęć do niego. Powinni więc posiadać dobrze język łaciński (exactam latinae linguae peritiam), dalej umieć humaniora aż do klasy retoryki włącznie. W tym celu egzaminuje ich przełożony, a ponadto dwóch profesorów czynić to będzie w klasie przez cały miesiąc, do której kandydaci muszą uczęszczać, nie mając jeszcze pomieszkania w seminaryum. Dopiero po tej próbie, jeżeli się okazali zdatnymi, zapisuje ich przełożony na listę alumnów, notując dokładnie w księdze odpowiedniej nietylko ich imiona, lecz także stan, ojczyznę i tych, którzy za nich ręczą (sponsores) i t. d., czyli że ma z nich ściągnąć tak zwane generalia. Widzimy, że nie poprzestawano na przedłożeniu świadectw odbytych studyów w jakiem kole-

gium, trzeba było dać dowody wiedzy. Zakres jej, ze względu na humaniora, ma sięgać po retorykę włącznie, to jest ma obejmować całe średnie szkoły z wyjątkiem końcowej nauki filozofii, której się alumn uczyć miał w seminaryum obszerniej, aniżeli w kolegium. Że ten przepis nie był tylko czczą formalnością, widać to z katalogu. Gdy się pokazało, że alumn nie posiada dostatecznie łaciny, wydalono go, np. w roku 1747 wydalono trzech alumnów ob defectum linguae latinae, t. j. Michała Rogowskiego, Jakuba Sztaba i Lawanga Semeliusa.

Sobór Trydencki pragnie, by wcześnie przyjmowano młodzież na wychowanie do seminaryów, by przyjmowano dwunastoletnich. Tymczasem w Polsce odsyłano takich do licznych szkół średnich, a do seminaryum Stradomskiego pozwalają Reguły (c. 2. nr. 4) przyjmować kandydatów we wieku przepisanym ustawami Kościoła do wyższych święceń, tak, aby po ukończeniu nauk seminaryjnych mogli być zaraz wyświęceni na kapłanów; stąd od alumnów, przystępujących do nauki teologii moralnej, żądają Reguły dwudziestudwóch lat skończonych. Na filozofię można przyjąć odpowiednio młodszych. Akt Erekcyjny, wyżej zacytowany, mówi krótko, że kandydaci mają mieć dwadzieściadwa lata skończone. Nie trzymano bowiem nikogo dłużej na fundacyi ponad dwa lata. W r. 1783 Sebastyan Mierzwiński musiał czekać poza seminaryum na dyspensę od wieku.

Reguły wymagają dalej od kandydatów, aby posiadali dobry głos do śpiewu gregoryańskiego, głos silny i podatny, aby się mogli łatwo nauczyć tego śpiewu. Również są wymagane zdrowe piersi dla głoszenia kazań i pojętność do ceremonii kościelnych, aby jako kapłan wpływał korzystnie na wiernych przez należyte spełnianie wszystkich świętych funkcyi kościelnych. Na to Misyonarze kładli zawsze wielki nacisk. Powiedział też Kołłątaj (Pamiętnik str. 8.): „Co do praktyk wielorakich obrządków, ta część szła z największą pilnością i dokładnością u Misyonarzów. Oprócz lekcyi odbywali klerycy je w kościele i chórze".

Szósty warunek przyjęcia płynie wprost z ustaw kościelnych. Mianowicie alumni nie powinni być związani żadnemi cenzurami i wadliwościami do święceń, któreby były zastrzeżone papieżowi. Takich nie przyjmowano lub wydalano. Józef Szymański, chory na oko kanoniczne, wyszedł ze seminaryum 1774 r., dopóki nie wyzdrowieje. Również tych, którzy byli zobowiązani do złożenia rachunków, albo mieli względem kogo zobowiązania, wypływające z występków, nie przyjmowano. Gdyby się wykryło, że alumn nie uczynił zadość tym powinnościom i nie uzyskał pokwitowania, należało go wydalić ze seminaryum, a zarazem odebrać od niego zwrot kosztów, jakie seminaryum na niego poniosło. Do tej kategoryi należeli także wszyscy ci, co pochodzili z rodzin chłopskich nieuwłaszczonych. Tacy bowiem musieli mieć pozwolenie swych panów. „Prawa polskie — posiada Kołłątaj w Pamiętniku, str. 10. — czyniły szlachcica właścicielem wszystkich ludzi, na jego gruncie siedzących, którzy nie byli szlachtą, los takowych ludzi zależał zupełnie od właściciela wsi; nie wolno więc było żadnemu poddanemu przyjąć stanu duchownego bez pozwolenia czyli emancypacyi dziedzica, albo należało się okupić albo się ukryć, żeby dziedzic nie wiedział, gdzie się jego poddany podział. W takim stanie rzecz zależała od Zwierzchności duchownej, ponieważ przystępujący do stanu duchownego musiał okazać metrykę swego urodzenia. Jeżeli jej pleban nie wydał z jakim konceptem, ukrywającym poddaństwo, potrzeba było wielkiej względności egzaminatorów i archidyakona egzaminom prezydującego. Trafiało się przecież, że młody kleryk uzyskał względność i tym sposobem wcisnął się, że tak powiem, do stanu duchownego, bo po wyświęceniu już go dziedzic nie mógł odebrać. Wszelako w czasie, którego opisujemy dzieje, trafiły się zgorszenia, obrażające ludzkość, z których choć jedno przytoczyć musimy. Lanckoroński, który był podówczas stolnikiem Podolskim, a później kasztelanem i wojewodą Bracławskim, spostrzegł przypadkiem jednego kleryka w seminaryum Akademickiem, który był z klucza Wo-

dzisławskiego. Kleryk ten nietylko miał pierwsze poświęcenia, ale właśnie podówczas przyjął subdyakonat. Lanckoroński, uwiadomiony o tem, pozwał X. Stęplowskiego, prefekta seminaryum, do Grodu o wydanie mu jego poddanego i zyskał dekret; że jednak kleryk już miał jedno wyższe święcenie, więc sprawa, co do tego punktu, z gotowym Grodzkim dekretem odesłaną została do Konsystorza Krakowskiego. Konsystorz, stosując się do praw krajowych i z nimi zgodnych kanonicznych, musiał uznać, że to święcenie było nieprawe, a zatem nie obowiązujące, i tak kleryk wydanym został. Lanckoroński, odebrawszy kleryka, obnażonego z sukni księży, zaraz mu za forysia swego jechać kazał, dawszy mu nawet cielesną karę. Trudno wszystkie podobne przypadki wyliczać, trudno o wszystkich wiedzieć, boć wstyd czyny tych biednych ludzi pokrywał, z przytoczonego atoli przykładu można sobie wyobrazić stan niewoli naszego ludu w owym czasie". Tyle Kołłątaj. Tu w seminaryum Stradomskiem nic podobnego nie napotykamy, bo w Katalogu zanotowanoby to jako powód opuszczenia seminaryum. Widocznie, że zabezpieczano się zawczasu pozwoleniem dziedzica lub nie przyjmowano kandydata, gdy tego nie miał.

W owym czasie, tak samo jak obecnie, wielu Kleryków pochodziło z ludu, zwłaszcza z okolic górskich, gdzie lud mógł posyłać dzieci do szkół polskich i węgierskich, powiada Kołłątaj i dodaje, że ci Górale nie mogli w tak krótkim czasie swego pobytu w seminaryum, nauczyć się dobrej wymowy polskiej i pozbyć się naleciałości swej gwary. Przytacza też opinię ówczesną, że księża z ludu są najkłótliwsi i szlachcie najnieżyczliwsi.

Nie wolno było przyjmować w poczet kleryków świeckich żadnego nowicyusza z jakiegobądź zakonu, a tem mniej zakonnika wydalonego po ślubach prostych. Po zniesieniu zakonu Jezuitów, kończyli swe studya teologiczne w seminaryum dwaj klerycy z tego zakonu w r. 1774, Grzegorz Miroszewski i Mateusz Sopini, lecz ci wskutek kasaty zakonu stali się klerykami świeckimi. Na końcu tego rodziału Reguł

mamy dodatek objaśniający, że wolno do seminaryum przyjmować zakonników na pobyt i studya, lecz nie do grona kleru dyecezalnego i to z tym warunkiem, że będą pełnili wszystkie powinności seminarzystów, płacić za wikt, a o wszystko, poza mieszkaniem i nauką, sami się troszczyć będą. Mamy tego przykłady. W r. 1761 jest tu na Stradomiu Antoni Skrzetuski, kanonik regularny de Saxia, w r. 1766 zapisani są Franciszek Ceglarski i Grzegórz Białecki, kanonicy regularni z Kłobucka, a w dwa lata później znowu z tego klasztoru Marcin Ławski i Antoni Kamieniecki, zaś w r. 1778 Benon Janicki, również stamtąd.

Ostatni warunek odnosi się do przynależności dyecezalnej. Seminarya fundowali biskupi dla swych dyecezyi. Gdy więc ktoś z obcej dyecezyi się zgłaszał do seminaryum na miejsce fundacyjne, musiał się postarać o exkardynacyę, jak się teraz w prawie wyrażamy, a wstępując do seminaryum duchownego, godził się temsamem na inkardynacyę do tej dyecezyi, do której seminaryum należało. Żądają więc Reguły od obcych Literas absolute dimissorias, które w Akcie Erekcyjnym nazwano dimissoriales sine reditu, bez których nie wolno było ich przyjąć. Gdy ich przyjmą, to mają służyć Krakowskiej dyecezyi ze względu na wychowanie. Tego warunku skrupulatnie przestrzegano. Wszędzie, gdzie przy alumnie na fundacyi będącym, zanotowano, iż pochodzi z innej dyecezyi, dodano zaraz, że go przyjęto za pozwoleniem księcia biskupa lub wspomniano „iuravit super dioecesi". Augustyn Bielecki z archidyecezyi gnieźnieńskiej został wydalony 5. lutego 1733 r. dlatego, że mu zakwestyonowano litterae dimissoriales (ob dimissorias in dubium revocatas). W roku 1749 przybył na fundacyę Maciej Młynarski z dyecezyi Ostrzychomskiej za pozwoleniem księcia biskupa. Także Jakób Galik z archidyecezyi Ostrzychomskiej przyjęty wtedy za pozwoleniem biskupa Sufragana. W tymże roku przyjęto na fundacyę Jana Skoczyńskiego (alias Skoczkowskiego) z dyecezyi Poznańskiej na polecenie księcia biskupa, lecz usunięto go ze seminaryum dla braku dobrych świadectw. Wtedy też

wzięto na fundacyę Jana Mathieux z archidyecezyi Trewirskiej z księstwa Luxemburskiego, którego książę biskup inkorporował do dyecezyi krakowskiej i Gabryela Kaligowskiego, z archidyecezyi lwowskiej uwolnionego. W r. 1752 Józef Szaynowski z dyecezyi przemyskiej przyjęty na fundacyę, ale wprzód złożył w Kancelaryi biskupiej submisyę, że nie opuści dyecezyi. Tak samo Laszyński z tejże dyecezyi przyjęty 1754 r. W jednym tylko roku 1789 przy ośmiu konwiktorach, czekających na fundacyę, zapisano iuravit super dioecesi, czyli że to byli obcy. Widocznie żądano od takich przysięgi, jak nakazywał Innocenty XII. w Konstytucyi „Speculatores". Przysięgę zaś składali w kancelaryi czyli konsystorzu, jak to gdzieniegdzie wyraźnie zapisano.

Liczba miejsc fundacyjnych na Stradomiu wynosiła osiemnaście: trzy z fundacyi X. Męcińskiego, a piętnaście z fundacyi księcia biskupa Szaniawskiego. Fundacya Szaniawskiego przetrwała lat sześćdziesiąt. Dopiero rewolucya francuska zaprzepaściła jej kapitały, złożone w Banku Paryskim, tak że w r. 1792 na jesień musiała być ustanowiona nowa fundacya. Według Aktu Erekcyjnego miał być zawsze numerus plenus, to jest wszystkie miejsca musiały być obsadzone. W pierwszym roku przyjęto z początku ośmiu alumnów. Lecz pierwszy kandydat został wkrótce wydalony ob crapulam, inny znowu dla braku zdolności, a Franciszek Rzepny wstąpił do Misyonarzy 25. stycznia 1733 r. Pięciu musiano wydalić „ob defectum reditus Parisiensis", czyli że kapitał fundacyjny nie dostarczył dochodów na pierwszy rok. W lutym i kwietniu 1733 r. przybyło pięciu nowych alumnów. Z tych jeden nie wrócił po wakacyach, a czterech wydalono znowu z powodu braku dochodów; jeden poszedł za hypochondryę. Zostali tylko konwiktorzy i ci, na których zużyto całkowicie fundacyę Łuczkiewicza w r. 1733, jak był polecił książę biskup Szaniawski w Akcie Erekcyjnym. Pierwszym wychowankiem seminaryum Stradomskiego, przy którego nazwisku zapisano, że został kapłanem, jest Szymon Mandecki, który opuścił seminaryum około 7. grudnia 1733 r. Na drugi rok szkolny

pozostało czternastu i przyjęto pięciu nowych, w tem dwóch Szaniawskich, o których poprzednio wspomnieliśmy. Dalej coraz częściej zaznaczono, że alumni jako kapłani opuszczali seminaryum, tak że po kilku latach już to było stałym objawem. Kandydatów było zawsze wielu. Gdy w r. 1744 Szymon Kowalski nie przybył na czas z powrotem do seminaryum, już ktoś inny zajął mu miejsce fundacyjne, a on nie został przyjęty.

W r. 1744 za zgodą księcia biskupa kardynała Lipskiego i za wiedzą X. Wodzickiego, generalnego oficyała krakowskiego, zmniejszono liczbę alumnów stradomskich do piętnastu, bo fundacya X. Męcińskiego nie przynosiła żadnych dochodów po roku 1732. A z niej miało się utrzymywać trzech alumnów.

Książę biskup Kajetan Ignacy Sołtyk kazał w roku 1767 przyjąć na fundacyę ponad liczbę Jakóba Markiewicza i Franciszka Zembrzyckiego. Zato w następnym roku przyjęto mniej alumnów, zwłaszcza, że dom stradomski poniósł znaczne straty z powodu zdobycia Krakowa przez Konfederatów i przez Moskali. Większe jeszcze szkody miał w roku 1769 z tego powodu.

Również książę biskup Sołtyk wydał rozporządzenie pod datą 24. sierpnia 1774 r., w którem między innemi skraca liczbę alumnów o jednego, to jest do siedemnastu. Widocznie mimo redukcyi za kardynała Lipskiego, wrócono z czasem do pierwotnej liczby. Książę biskup Sołtyk zarezerwował jedno miejsce fundacyjne dla księży, których skazywał na pobyt w seminaryum pro renovatione spiritus. To rozporządzenie zapisane jest na końcu pierwszego Katalogu i nazwiska kilku księży, których na Stradom przysłano: jeden był przez 7 dni, dwóch po 10 dni, jeden przez miesiąc, dwóch przez dwa miesiące, jeden za kilku razami łącznie przez 4 miesiące, jeden zaś poszedł do domu emerytów. Gdy nie było księży na tem miejscu, przyjmowano na nie kleryków za wiedzą władz dyecezalnych. O ile Misyonarze chętnie przyjmowali księży na rekolekcye o tyle znowu nie życzyli sobie trzymać

w seminaryach duchownych przysłanych dla poprawy, bojąc się ujemnego wpływu na młodzież seminaryjną.

Jeszcze bardziej skurczyła się liczba miejsc fundacyjnych w r. 1782. Pod tą datą zapisano w Katalogu: „W tym roku z powodu zabrania wszystkich dóbr przez Cesarza, liczba alumnów zmniejszyła się do ośmiu". Mowa tu o Józefie II., który skonfiskował dobra seminaryjne i misyonarskie, jakie się znajdowały w kordonie austryackim. Wszystkie te straty i daremne zabiegi o ich odzyskanie, opisuje szeroko Kronika Domu Stradomskiego.

Gdy zaś i te kapitały, które złożone były w Paryżu, przepadły zupełnie skutkiem przewrotów we Francyi pod koniec XVIII. wieku, nie było w roku szkolnym 1791 na 1792 ani jednego alumna fundacyjnego na Stradomiu. Stad lakoniczny napis w Katalogu: In annum Domini 1792, fundationis 61, Convictores huius anni omnes et fundationalistae nulli.

W ten sposób zgasła fundacya księcia biskupa Szaniawskiego. Kapituła katedralna krakowska obmyśliła nową fundacyę na dwunastu alumnów od września 1792 r.

System wychowawczy Misyonarzy podaliśmy poprzednio. Na końcu roku 34. fuudacyi, t. j. 1765—1766, podano w Katalogu poraz pierwszy: Dyrektorem w tym roku był X. Jan Czelaszkiewicz. W następnych latach on także. Widocznie był to zrazu urząd tylko roczny. W r. 1774 na 1775 dyrektorem był X. Muszyński, a następnym X. Bartholiński. W roku 1776 i dalszych X. Górnicki. W latach 1781 do 1787 X. Galiński, a od r. 1787 X. Tabolski, w r. 1791 X. Gołębiowski

Siódmy rozdział Reguł poleca alumnom, aby w ciągu dwóch lat tak pilnie przykładali się do nauki teologii moralnej, żeby się mogli okazać zdatnymi do pracy duszpasterskiej. Ci zaś, których przed czasem wyświęcono na kapłanów, mają pamiętać, że to uczyniono dla ich własnego pożytku, jak również dla korzyści seminaryum. Powinni więc z jednej strony pogłębić swą wiedzę teologiczną i wprawić się w ceremoniach Mszy św., z drugiej zaś uczynić zadość obowiązkom mszalnym, które ciążą na seminaryum. Przełożonemu

przysługiwało prawo kogo wcześniej przedstawić do święceń w tym celu. On także miał prawo dłużej zatrzymywać w seminaryum księży, aby się stało zadość powinnościom fundacyjnym. Ale ten przepis tyczył się więcej seminaryum Zamkowego, gdyż na Stradomiu ciążyła tylko ściśle oznaczona liczba mszy, t. j. 30 na każdym nowowyświęconym alumniefundacyonaliście. Każdy alumn miał się uczyć dwa lata. Zaznaczono w tym względzie wyjątek. Jan Dibalius, który przybył do seminaryum 6. listopada 1740 r., został wyświęcony na kapłana i wypuszczony ze seminaryum już 29. lipca 1741 r. na skutek nalegań księdza Petrzykowskiego, oficyała sądeckiego. To był odosobniony wypadek. W roku 1742 Ignacy Święcicki, zapisany na fundacyę z polecenia kardynała Lipskiego, pojechał do Rzymu na studya post semiduos annos już jako kapłan. Niektórzy alumni bawili dobrowolnie dłużej na studyach. Aleksander Burlikowski był dwa lata na fundacyi, a niemal drugie tyle jako konwiktor, odszedł w r. 1766.

Porządek dnia w seminaryum na Zamku podają Reguły c. 3. de temporis distributione [1]; rozkład dnia na Stradomiu podaje nam Katalog pierwszy pod tytułem: Ordo quotidianae occupationis. Między tymi dwoma planami dnia są małe tylko różnice. Tu podamy porządek dnia na Stradomiu. Klerycy wstawali na głos dzwonka o godz. 5., na Zamku o godz. 4. Pół godziny później zaczynały się modlitwy poranne i półgodzinne rozmyślanie wspólne. Na początku odmawiano Veni Sancte Spiritus z wersetem i oracyą, czytanie punktów rozmyślania, na końcu medytacyi Angelus i Litania o Imieniu Jezus. Poczem o godz. 6. odmawiali wspólnie Horae z brewiarza. Następowało studyum prywatne do godz. 7. Wtedy klerycy idą na Mszę św., bo księża-alumni odprawiają msze w czasie im zaznaczonym. Po mszy udają się w milczeniu na dalsze studyum aż do godz. 9. O tej godzinie dzwonią na poranny wykład. Alumni udają się do klas in silentio et modestia. Lekcya trwała przez półtorej godziny.

---

[1]) X. Wysocki. Seminaryum Zamkowe, str. 295 i nast.

A po niej znowu prywatne studyum do godz. 11. Następuje rachunek sumienia i obiad. Poczem rekreacya przez godzinę. Po niej Nawiedzenie Najśw. Sakramentu. Od pierwszej do drugiej bywały Ceremonie śpiew, Rubryki, Katechetyka, Wymowa kaznodziejska, nauka administracyi Sakramentów św., zaś w soboty odbywała się wtedy inquisitio defectuum i przygotowanie na kazusy (jak się wyrażają Reguły Zamkowe w rozdziale 4. nr. 5.). O drugiej odmawiali klerycy wspólnie nieszpory i kompletę. O zachowaniu się w czasie brewiarza mówią wspomniane wyżej Monita particularia Tempore divini Officii, że wtedy alumni powinni spełniać ten anielski urząd z największą czcią, uwagą i pobożnością. W tym celu należy wprzód wyszukać sobie przypadające officium, wzbudzić dobrą intencyę, skupić się i zachować przepisane przy brewiarzu ceremonie. Po brewiarzu następuje odczytanie rozdziału z Nowego Testamentu, który czytają klęcząc z odkrytą głową i odmawiają przed czytaniem i po niem wskazane modlitwy. Następuje potem prywatne studyum aż do chwili, gdy znak dzwonka powoła alumnów na wykład popołudniowy, który trwa od pół do czwartej do piątej. Po lekcyi wspólne Matutinum i Laudes, a po nich zaraz i w tem samem miejscu następuje wspólne czytanie duchowne aż do szóstej. O pół do siódmej examen particulare, kolacya i rekreacya, a po niej examen generale i spoczynek na znak dzwonka. O godzinie dziewiątej światło musiało być wszędzie pogaszone, nad czem czuwał Revisor Cubiculorum.

W dni postne wszystkie popołudniowe ćwiczenia odbywały się o pół godziny później. W niedziele i święta nie było lekcyi. Tylko po południu, po rekreacyi, Reguły Szaniawskiego wyznaczają wykład tajemnic Mszy św. na niedzielę, a wyjaśnianie Pisma świętego lub Psalmów na święta. Tu na Stradomiu płynął ten obowiązek także z fundacyi biskupa Szembeka. Rano była po rozmyślaniu Collatio spiritualis czyli powtórzenie rozmyślania pod przewodnictwem Superyora lub którego profesora. (Reg. Szan. c. 3.). Alumni przystępować mieli do stołu Pańskiego w niedziele i święta,

przynajmniej uroczystsze. Wszyscy alumni brali udział w sumie, nieszporach i innych publicznych nabożeństwach.

Jeden dzień w tygodniu był wolny od wykładów dla rozerwania umysłu; ale nie dawano dnia wolnego, jeżeli w ciągu tygodnia wypadały dwa lub więcej świąt. (Reg. c. 5. nr. 8).

W dni wolne mogli alumni wychodzić na przechadzkę we dwóch według Małachowskiego, zaś według Szaniawskiego wszyscy razem pod okiem księdza profesora. Kto chciał pójść do miasta, musiał mieć pozwolenie od przełożonego. Wychodzący rano, wrócić miał na obiad, kto zaś po nieszporach, wrócić powinien na Matutinum. Tyle co do rozkładu czasu.

Jakiemi normami rządzić się winni alumni w swych studyach, pokazują to Monita particularia, in studiis observanda. Nikt nie może uwolnić się od obecności na wykładzie bez zgody profesora, w którego osobie upatrywać i czci należy samego Chrystusa Pana. W klasie nikt nie ma mówić i stawiać zarzutów bez pozwolenia profesora. W czasie wykładu pilnie trzeba uważać i najgłówniejsze rzeczy sobie notować. Nie należy swego zdania bronić zbyt uporczywie, nie podnosić zanadto głosu. Nie przerywać, gdy mówi uczeń, a tem mniej, jeżeli profesor. Nie wolno wyszydzać alumnów, biorących udział w dysputacyi, lecz trzeba słuchać uważnie ich wywodów.

Reguły seminaryjne mówią w rozdziale piątym de exercitiis litterariis et vacationibus. Na pierwszem miejscu nakazują alumnom mówić kazania w refektarzu co niedziele i święta, wszystkim po porządku. Ocenę i różne wskazówki dają im przełożeni prywatnie. Dalej na lekcyę ma być każdy codzień przygotowany należycie, aby mógł odpowiedzieć zapytany. W pracy naukowej trzeba sobie pomagać pamięcią na jej wzniosły cel i modlitwą. Gdy alumn drugiemu przeszkadzał w uczeniu się, podlegał karze arbitralnej. Przemawiać wolno było tylko po łacinie, jeżeli ktoś mówił w sali wspólnej lub pomieszkaniu inaczej, następowało upomnienie lub kara. Chodziło tu o uzyskanie łatwości mówienia po łacinie (Reg. c. 5. nr. 5).

Wakacye wielkie, vacatio generalis, trwały od 14. lipca do końca sierpnia. Ale i wtedy nie mieli alumni zarzucać całkowicie nauki prywatnej. Ci, co bawili w seminaryum podczas wakacyi, mieli czas wyznaczony na czytanie casuum przed i po południu. Dalej bywały jeszcze wolne dni od nauki dwa dni przed Świętem Bożego Narodzenia i cztery następne, a nauka zaczynała się 30. grudnia. Nie było nauk w dni zapustne, ale klerycy nie mogli wychodzić ze seminaryum. Na Wielkanoc nie było wykładów od Wielkiego Czwartku do piątku po uroczystości Wielkanocnej; zaś na Zielone Święta od soboty przed Świątkami do środy po nich włącznie. Wreszcie wolna była sobota przed Trójcą świętą. (Reg c. 5. nr. 6. i 7.). Księża profesorzy mieli prawo udać się do jakiego domu Zgromadzenia na wakacye. Ale po piętnastu dniach mógł ich odwołać z powrotem ksiądz superyor. Tak postanowił X. P. H. Śliwicki na wizycie domu naszego we wrześniu 1761 r.

Celem seminaryów duchownych jest chwała Boża, pożytek Kościoła i zbawienie dusz. Ci więc, którzy się do nich udają, mają mieć na myśli te właśnie cele, a nie żadne inne świeckie, powiadają Reguły seminaryjne w rozdziale pierwszym. Trzeba używać wszystkich środków, by się stać zdolnym do pracy nad duszami. Więc uczyć się pilnie, tem pilniej, że zadania tak wzniosłe, czas tak krótki, a odpowiedzialność tak ciężka na sądzie Bożym. Powinni zaś zacząć pracę nad własną duszą przez nabycie wiedzy potrzebnej i wszystkich cnót.

Do nabycia cnót służą im głównie różne ćwiczenia duchowne, o których mowa w rozdziale czwartym Reguł seminaryjnych. Nowo przybyły seminarzysta ma zacząć od rekolekcyi pięciodniowych na osobności, by rozpocząć nowe życie. W czasie tych ćwiczeń ma rozmyślać, czytać książki duchowne i przysposobić się do spowiedzi z całego życia lub od ostatniej generalnej. To wszystko ma odbywać pod kierunkiem przełożonego lub profesora. Można mu rekolekcye skrócić, jeżeli je wprzód już odprawił albo wkrótce z innymi

alumnami odprawiać będzie. Tak samo przed każdem wyższem święceniem mają ordynandzi odbyć rekolekcye i spowiedź od ostatniej generalnej. Najwięcej przykładów cnoty, pokory, posłuszeństwa, miłości, pilności w naukach powinni dawać innym alumnom ci, co już mają wyższe święcenia, a przedewszystkiem alumni-kapłani. Klerycy powinni przyjmować Komunię św. w niedziele i święta uroczystsze, a kapłani odprawiać w te dni Msze święte za fundatorów. (Reg. c. 4. nr. 4.; c. 7. nr. 2.). Dalej należy czytać Reguły seminaryjne co sobotę, przynajmniej po kawałku, żeby je znano dobrze. (Reg. c. 4. nr. 6.). Na Stradomiu ułatwiono to w ten sposób, że na początku pierwszego Katalogu alumnów jest podane Compendium Regularum Seminarii w dwudziestu króciutkich rozdziałach czy paragrafach, tak że całe zamieszczono na dwóch stronach in folio. Poczem szedł porządek dnia i Monita particularia. To wszystko można było przeczytać bardzo prędko. Za to Reguły w całości można było rzadziej odczytywać. Ale nie poprzestawano na czytaniu Reguł, lecz badano, o ile je rzeczywiście zachowano. Zwało się to inquisitio defectuum. Wtedy to każdy alumnum mógł zwrócić uwagę przełożonego na uchybienia popełnione. Uczynić to mógł jawnie albo potajemnie. Niektórzy z urzędu powinni byli donieść przełożonemu o przekroczeniu Reguł, to jest Senior. Seniorem miał być najwzorowszy alumn, o ile możności kapłan. Oprócz niego był drugi urząd tygodniowo zmieniany, a spełniany przez wszystkich alumnów po kolei; zwał się zaś Scrutator seu censor morum atque observationis statutorum, miał donosić o wszystkich uchybieniach przełożonemu (Reg. c. 7. nr. 8. i 10.) Specyalną uwagę zwracano na złe mowy, za które należy dawać kary surowsze. Wśród alumnów ma kwitnąć braterska miłość, ale nie partykularna, bo tej się strzedz potrzeba, jak zarazy. Przykrości doznane znosić mężnie, można o nich donieść przełożonemu. Ponieważ w rzeczach duszy człowiek sam sobie nie wystarcza, wzorem święty Paweł, posłany przez Chrystusa do kapłana Ananiasza, więc alumni powinni otwierać swą duszę

przed przełożonym na komunikacyi wewnętrznej, opowiedzieć swe cierpienia i skłonności. (Reg. c. 4. nr. 11.). Do cnoty przyczynić się może znacznie rozmowa na rekreacyi. W tym celu pouczają Monita particularia, tempore conversationis, że w codziennych rozmowach należy tak kojarzyć pobożność z wesołością i skromnością, aby jeden drugiego budował swym przykładem i pobudzał do cnoty. Trzeba więc takie tematy rozmów podnosić, które tyczą się pobożności lub nauki kapłańskiej. Dwu rzeczy bardzo się strzedz, najpierw okazywania urazy, powtóre chęci zadraśnięcia kogo. Ale to nie wyklucza wesołych i uczciwych żartów. (cf. Reg. c. 4. nr. 7). Nie wolno nic mówić, coby było obmową, jak również słów mniej skromnych, lub znamionujących pychę, słów szyderczych lub służących na pochwałę jakiejś wady, słów wyśmiewających pobożne zwyczaje i praktyki cnót. Wzbronionem było mówić o błędach, jakie kto popełnił w czytaniu przy stole, zwłaszcza w obecności alumna, o którego chodzi. Surowo zakazanem jest dotykanie jeden drugiego, nawet przez żart ze względu na wysokie wymogi skromności kapłańskiej. Gdy rekreacya odbywa się w ogrodzie, który na Stradomiu jest wielki, mają alumni chodzić razem, o ile to możliwe i dla umartwienia się nie zrywać kwiatów, owoców lub gałązek.

W seminaryum miała panować prawdziwa karność. Stąd to rozdział 6. nr. 1. Reguł nazywa najpierwszym i głównym przepisem obowiązek czci i posłuszeństwa dla przełożonych. Przełożony miał w swej mocy różne rodzaje kar, od najmniejszych az do wydalenia alumna. Prawo wydalania przysługiwało przełożonemu seminaryum Stradomskiego na mocy Aktu Erekcyjnego tegoż seminaryum, gdzie czytamy: Ad quem effectum leges et statuta in Seminariis dictae Congregationis observari solita pro Clero externo dioecesano praescribi mandamus iisque oboedientiam praecipimus, adeo, ut si qui refractarii, inoboedientes, delinquentes et vitiosi et post adminitionem repetitam incorrigibiles adinventi fuerint, pro delictis in iisdem legibus expressis a D. Superiore eli-

minari possunt absque ulla spe regressus. Zupełnie to po myśli Kościoła, bo wydala się tylko za występki już naznaczone w Regułach, a nie samowolnie, wydala się dopiero po upomnieniach, gdy te nie postutkowały, a nie ma nadziei poprawy. Przyczyny wydalenia są podane liczne. Ogólnie pojętymi powodami wydalenia ze seminaryum są niekarność i nieposłuszeństwo. Niekarność jest przekraczaniem reguł, czyli niestosowaniem się do nich. Przełożony ma karać według swego uznania różne przekroczenia reguł. Gdy to nie pomoże, ma upominać trzykrotnie tych alumnów i ukarać, a jeżeli mimo wszystko nie nastąpi poprawa, może ich wydalić, a tacy stają się perpetuo inhabiles ad sacros ordines. (Reg. c. 4. nr. 5.). Zaś nieposłuszeństwo czyli niespełnienie woli przełożonych, było karane za pierwszym razem więzieniem przez dzień, za drugim razem więzieniem przez trzy dni, za trzecim razem wydaleniem ze seminaryum. (Reg. c. 6. nr. 1.).

Nikomu nie wolno wychodzić ze seminaryum bez pozwolenia. Gdy je uzyskają, wychodzą po dwóch, a wróciwszy, muszą się opowiedzieć przełożonemu. Ktoby wyszedł do miasta bez pozwolenia, za pierwszy raz ulegał karze karceru, za drugi raz wydaleniu. W r. 1746 Jan Kozubski został wydalony za to, że przez pięć bawił poza seminaryum bez pozwolenia. Był obowiązek wracać na oznaczoną godzinę, a pod żadnym pozorem nie wolno było zostać poza domem, nawet i w zimie, gdzie dnie krótkie, nie wolno było bawić w nocy w mieście, ani też nie mogli iść do kogobądź na jedzenie i picie lub wstępować do restauracyi, i to pod ciężkiemi karami. Za przenocowanie bez pozwolenia poza seminaryum groziło wydalenie. (Reg. c. 6. nr. 3.). Andrzej Jakubowski, wydalony w r. 1738, że nocował poza seminaryum bez pozwolenia, taksamo Stanisław Kołaczkowski w r. 1741, który kilka razy wracał do seminaryum za protekcyą kardynała Lipskiego, ale wreszcie wyszedł jako kleryk.

Szczególną surowość okazują Reguły i ich zastosowanie względem pijaństwa. Ponieważ nic brzydszego i nic nie-

bezpieczniejszego być nie może dla kapłana nad pijaństwo, z którego płyną występki inne, należy bardzo pilnie uważać na tych, którzy do tego nałogu są skłonni i karać ich najsurowiej za pierwszy i drugi raz, a za trzeci raz należy ich wyrzucić ze seminaryum bez wszelkiej nadziei dopuszczenia ich do wyższych święceń, a na wydalonych nałożyć trzeba zwrot kosztów, jakie seminaryum na nich poniosło. (Reg. c. 6. nr. 7.). Używanie trunków palonych i tabaki nazywają (Reg. c. 6. nr. 16) usus abominabilis. Nie wolno schodzić się po pokojach celem jedzenia i picia z domownikami pod karą karceru przez trzy dni, a wreszcie wydalenia. Otóż pierwszy w Katalogu alumn stradomski wydalony został ob crapulam w r. 1733. W rok potem wydalono z tego powodu innego alumna; aż do r. 1780 było takich wypadków wydalenia pięć. Zaś w r. 1780 wydalono za pijaństwo kleryka, który już posiadał prowizyę kanoniczną na beneficyum w Bułatowie.

Wydalano alumnów i za inne rzeczy. W r. 1738 usunięto ze seminaryum Antoniego Janowskiego za niestałość i inne powody. W roku 1746 poszedł Wojciech Cybulski ob ineptitudinem. W rok potem wypędzono trzech alumnów, że nie umieli po łacinie; jednego zaś w r. 1753 po dwumiesięcznym pobycie wysłano, aby się jeszcze łaciny poduczył. Józef Kasprowski z Włocławskiej dyecezyi przyjęty został do seminaryum, lecz w r. 1755 poszedł ob exiguam capacitatem. Za brak pilności do funkcyi duchownych nie przyjęto na powrót po wakacyach kleryka kapucyńskiego Samuela Gołuchowskiego, który miał miejsce fundacyjne 1747 r. Za to samo poszedł Ignacy Dębicki w rok potem. Dla chorób wyszli ze seminaryum Józef Stachurski 1751 r. i Mateusz Stawiński 1753 r., było to myśli Reguł c. 2. nr. 9. W r. 1790 zaszedł dość znamienny wypadek, że trzech alumnów, to jest Jakóba Marundella, który był leniwy i burzliwy, Jana Zaporskiego i Pawła Drabika, uznanych za niezdatnych, wydalono ze Stradomia, a przyjęto do seminaryum Akademickiego. Kara wydalenia była naznaczona na alumna, któryby wpro-

wadził niewiastę do wnętrza seminaryum. (Reg. c. 8. nr. 5.). Nie wolno było pod karami arbitralnemi nawet mężczyzn wprowadzać do mieszkań klerykich. (Reg. c. 6. nr. 10).

Oprócz kar znajdujemy w Regułach seminaryum Zamkowego cenzurę ekskomuniki, zastrzeżonej biskupowi lub jego wikaryuszowi generalnemu. Cenzura ta nałożona, latae sententiae, spadała na zabierających książki i sprzęty seminaryjne, na tych, co je złośliwie niszczą lub przenoszą bez pozwolenia przełożonych de una habitatione in aliam. (Reg. c. 8. nr. 5.). Zabrania domownikom pomagać alumnowi, który się gotuje do ucieczki przez przechowywanie, wydawanie lub ukrywanie jego rzeczy, mają zaś zawczasu donieść o tem przełożonemu pod grozą takiejże ekskomuniki. (Reg. c. 8. nr. 7).

Gdyby kleryk pobił się z drugim lub uderzył go, to nietylko mają się spowiadać, lecz ulegają nadto karze więzienia przez dzień lub dwa albo tracą miejsce fundacyjne do dwóch miesięcy. (Reg. c. 4. nr. 13.).

Co się tyczy święceń, to wielu alumnów pcha się do nich na ślepo, nie mając potrzebnej wiedzy i cnoty. Taki zapęd należy miarkować, zdając się w tym względzie na przełożonego, a starać się usilnie, aby się stać godnym promocyi. (Reg. c. 4. nr. 12.). Katalog zaznacza zwykle ścisłą datę święceń, a niekiedy tylko w przybliżeniu. Czas święceń wogóle przypadał w terminach przez Kościół dla święceń naznaczonych. Każde extra tempora zaznaczano, np. Wawrzyniec Wartukiewicz, mający prowizyę na Psalteryę kościoła Archiprezbiteryalnego Najśw. Maryi Panny w Krakowie, został wyświęcony na kapłana extra tempora, w święto przeniesienia św. Stanisława B. i Męczennika 1788 r.

Nie wolno alumnom opuszczać dyecezyi i przenosić się do innej bez zezwolenia biskupa. To dwa razy powtórzono w Regułach, c. 1. nr. 7., oraz c. 7. nr. 6., z przypomnieniem Cenzur kościelnych, których wolno użyć w myśl przepisu biskupa Szyszkowskiego z r. 1621., cap. 13. de Seminariis et scholis, na tych, co nie chcą wrócić do dyecezyi lub przynajmniej zwrócić kosztów seminaryjnych. Za zezwoleniem

biskupa przeszedł Antoni Troupp do dyecezyi przemyskiej w r. 1741. Zaś do Misyonarzy wstąpiło ze Stradomskiego seminaryum dyecezalnego w XVIII. wieku tylko trzech, to jest Franciszek Rzepny 25. stycznia 1733 roku, Stanisław Ławski 1743 r. i Piotr Bętkowski 1760 r. po półtrzecioletnim pobycie w Seminaryum.

Nikogo nie wolno było wypuścić ze seminaryum, gdy już był kapłanem, dopóki nie posiadał tytułu kanonicznego, to jest jakiego beneficyum, a przynajmniej wikaryatu, powiada Szaniawski w Akcie Erekcyjnym. Gdy więc nadejdzie czas opuszczenia seminaryum, a alumn nie ma jeszcze prowizyi na jakie beneficium in titulum, to wysłać go można na wikarego do jakiegoś ściśle określonego kościoła albo na jaką komendę. Wysłać zaś go można dopiero wtedy, gdy ta prowizya zapisaną będzie w Aktach publicznych w sposób zwyczajny, a to dlatego, aby alumn nie miał sposobności błąkać się po dyecezyi z jednego kościoła do drugiego (Reg. c. 7. nr. 7.).

Bez tytułu nie święcono nikogo. W r. 1745 Wojciech Kulski po ukończeniu dwu lat seminaryum poszedł bez wyższych święceń dla braku tytułu kanonicznego. Katalog notuje, na jaką kto posadę poszedł, co jest dobrym przyczynkiem do historyi beneficyów dyecezyi krakowskiej.

Główniejsze rodzaje posad kościelnych, na które święcili się alumni stradomscy in titulum, są następujące: Najpierw książę biskup Szaniawski zapewnił stały tytuł do święceń dla dwóch alumnów stradomskich na beneficyum w Babicach, jako wikarych tamże. Powiada w Akcie Erekcyjnym: Siquidem vero domus Stradomiensis... habebit unitam Ecclesiam parochialem in Babice, ideo... ad titulum provisionis eiusdem duos seminaristas dioecesanos ordinari posse declaramus, ita tamen ut unus alteri succedat, et non plures simul ad eundem titulum ordinentur. Był to titulus vicariatus który najczęściej się powtarza w Katalogu. Michał Marynowski, święcony ad titulum mensae episcopalis, dokąd też poszedł 24. maja 1766 r. Wspomniane są też liczne u nas be-

neficia simplicia pod formą altaryi. Poncyan Wałowski 1782 roku, święcony ad altariam in Promnik, Ksawery Ankwicz, hrabia, na altaryę u św. Mikołaja, a na altaryę Maryacką w Rynku Jacek Zdanowski 1783 r. Tytuł Mansyonaryi u św. Szczepana miał Franciszek Grabowski 1782 r. Na psalteryę Tarnowską wyświęcony został Mikołaj Baranowski 1783 r. Znajdują się też alumni mający kanonikaty jako tytuł do święceń, np. kanonię w kolegiacie Wszystkich Świętych miał alumn Jan Kanty Ziembiński 1780 r. Inni byli koadjutorami kanoników katedralnych, np. Stanisław Potkański 1786 roku i Teodor Sołtyk 1788 r. Na tytuł patrimonii święcił się Michał Lipski 1778 r. i Wojciech Chądzyński 1780 r. Aleksander Dobrzański wyświęcony został 1789 r. jako dziekan kapituły kieleckiej. Kajetan Pruszyński święcony 1790 roku na probostwo (Beyscen). Na kapelana szpitalnego przy świętym Mikołaju na Wesołej wyświęcony został Jakób Wasielewski 1789 r. W jednym wypadku jakoby pożyczono tytułu, gdy w roku 1789 wyświęcono Józefa Miniszewskiego ad titulum Seminarii arcensis. Powszechnie przeważał titulus beneficii w swych różnych formach.

Ze względu na stronę materyalną alumni otrzymywali tylko mieszkanie i pożywienie. „Klerycy na fundacyi będący — mówi Kołłątaj w Pamiętniku, str. 8. — nie mieli więcej z dobroczynnego funduszu, jak tylko stół i nauki; odzież, opał i inne potrzeby musieli sobie sami opatrować“. Tu na Stradomiu mieli otrzymywać klerycy wikt taki, jaki mieli Misyonarze: Ultra commodam mansionem victus quotidianus communis et absque ulla distinctione aequalis cum Presbyteris Congregationis. Kołłątaj (Pamiętnik, str. 6.) mówi o pożywieniu alumnów: „Życie, co do wiktu, było tam nietylko skromne, ale biedne; wstrzemięźliwość w trunkach wielka“. Seminarzyści otrzymywali tylko dwukrotny posiłek, to jest obiad i kolacyę. Śniadanie nigdzie nie wspomniane. Przy stole było czytanie, do którego wszyscy byli obowiązani. (Reg. c. 4. nr. 6.). Obowiązywało ścisłe milczenie pod karą ujęcia jednej porcyi z obiadu lub całego obiadu w dniu na-

stępnym. Stąd widać, że na obiad było więcej dań. Wogóle posiłek musiał być obfity, skoro tylko dwukrotny. Może alumni dostawali do stołu także piwo, bo Misyonarze używali we Francyi wina przy stole, rozrzedzanego wodą, u nas w Polsce piwa. A na Stradomiu był od dawna browarek na potrzeby Misyonarzy i Ordynandów zbudowany. Więc może i klerycy korzystali zeń. Do kuchni nie wolno było chodzić alumnom. (Reg. c. 6. nr. 12.). Monita particularia, ad mensam, polecają w jadalni zachować się w granicach skromności i umiarkowania. Nie wolno mówić, śmiać się i rozglądać. W jedzeniu unikać zbytniego pośpiechu i innych niewłaściwości. Należy uważnie słuchać czytania, aby i duch się karmił w tym czasie. Ci, co czytają lub usługują przy stole, mają sobie przypomnieć odnośne Reguły i przepisy. Wspomnieliśmy, że zabronionem było wyśmiewać błędy popełnione w czytaniu przy stole. Może to stąd pochodziło, że niektórzy klerycy mieli złą wymowę, zwłaszcza klerycy z gór od strony węgierskiej, jak Kołłątaj się wyraża. (Pamiętnik, str. 12)

Poza mieszkaniem, nauką i pożywieniem musieli alumni resztę sami sobie sprawiać. Tylko dwaj alumni z domu Szaniawskich lub ze szlachty Łukowskiej mieli co rok, przez cztery lata, dostawać odziennie zwierzchnie ze sukna zwanego Falendysz i resztę ubrania z tkaniny wełnianej cieńszej, nazywanej kamlocikiem, albo z innego gatunku, nadto opał i świece na czas zimowy. W braku tych kandydatów miał superyor dać te rzeczy innym uboższym klerykom według swego uznania. (Akt Erekc. Sem. Strad.). Klerycy nosili czarną sutannę, która nie mogła być czysto jedwabną i miała sięgać po kostki. Nie wolno było nosić koronek i ozdóbek na ubraniu. Kapelusz nie mógł być rogaty ani rozcięty, wzorem świeckich ludzi. Spodnie nie mogły być granatowe ani kolorowe, buty nie mogły mieć cholew czerwonych, bo takie miał konfiskować superyor, a tak lekkomyślnego alumna karać. (Reg. c. 8. nr. 3.). Alumni noszą także pasy, jak widać z Reguły (c. 7. nr. 14.), gdzie zabroniono alumnom wychodzić na korytarz w szlafmycy lub bez pasa. Sale wspólne

i korytarze ogrzewać i oświetlać należało do zarządu seminaryum, jak to wnioskować można z różnych miejsc Reguł; płacić zaś za światło i opał musieli chyba ci tylko, którzy mieli osobne mieszkanie. W seminaryum był osobny Curator luminis. (Reg. c. 8. nr. 7.).

Klerycy na fundacyi będący mieli za swych fundatorów modlić się i Komunię św. przyjmować, kapłani zaś pewną ilość mszy za nich odprawić. Już X. Jan Męciński nałożył przy swej fundacyi pewne obowiązki. (cf. Liber Initia, str. 211. Stradom nr. 27.). Ale te zmienił i ze swymi obowiązkami zrównał w Akcie Erekcyi seminaryum Stradomskiego, bo nie było potwierdzone przez biskupa. Więc odtąd wszyscy klerycy mieli jednakowe obligacye, z tą tylko różnicą, że ci, co byli na fundacyi Męcińskiego, modlili się za niego, inni zaś za Szaniawskiego. Mianowicie wszyscy bez wyjątku alumni stradomscy mieli odmawiać chóralnie w kościele seminaryjskim Officium parvum B. M. V. co sobotę, a w czasie tego jeden alumn-kapłan miał odprawiać Mszę wotywną. Wszyscy zaś, gdy otrzymają święcenie kapłańskie, odprawią po trzydzieści mszy z fundacyi Męcińskiego za niego, inni za Szaniawskiego i to sub onere conscientiae.

Klerycy seminaryum Zamkowego mieli według Reguł (c. 4. nr. 4.) co niedzielę i większe święta ofiarować Komunię św. za fundatorów, a księża-alumni w te same dni odprawiać Mszę św. na ich intencyę w kaplicach i przy ołtarzach naznaczonych, sub onere conscientiae. Przełożony miał prawo tych księży, którzy nie uczynili zadość obowiązkom fundacyjnym, przytrzymać dłużej w seminaryum, dopóki im nie uczynią zadość. (Reg. c. 7. nr. 2.).

Nadto mieli klerycy stradomscy obowiązek, na mocy Aktu Erekcyi, brać udział czynny przy zwykłych nabożeństwach w kościele naszym na Stradomiu i przy innych funkcyach duchownych, ale tak, aby im to nie przeszkadzało w nauce. Na procesye tylko uroczystsze, które się w Katedrze odbywają, mają chodzić, a więc na procesyę Bożego Ciała. Również brać mają udział przy ingresie nowego

biskupa, w zaczęciu wielkiego jubileuszu, w pogrzebie królów i biskupów. Poza tem są wolni od nabożeństw po innych kościołach z wyjątkiem, gdy biskup krakowski lub jego sufragan potrzebują ich asysty w innym kościele. Do udziału w asyście i nabożeństwach są konwiktorzy obowiązani na równi z fundacyonalistami. (Liber Initia: Stradom nr. 48.).

Do spełniania powinności modlitw i Mszy za fundatorów nie byli obowiązani tak zwani konwiktorzy, t. j. alumni, którzy nie korzystali z fundacyi, ale płacili na swe utrzymanie. Fundator książę-biskup Szaniawski chętnie się godzi w Akcie Erekcyjnym, aby w seminaryum Stradomskiem mogli być także konwiktorzy. Ale zaraz określił im ich stanowisko prawne w seminaryum: Konwiktorzy we wszystkiem podlegają ustawom seminaryjnym i takim samym karom, jak alumni fundacyjni. Nie wolno im opuścić seminaryum i udać się na beneficyum, jak tylko po złożeniu ścisłego egzaminu i otrzymaniu testimonium habilitatis, w czem sumienie przełożonych seminaryum jest zobowiązane.

Powiada Kołłątaj (Pamiętnik, str. 12.), że Misyonarskie seminarya szły, stosownie do innych, w najlepszym porządku i że dla bogatych były w modzie najbardziej seminarya Misyonarzów (Pamiętnik, str. 8.), dla ubogich wszelkie bez braku, gdzie trafiła się fundacya. Robi też złośliwą uwagę o konwiktorach: „Klerycy o swym koszcie edukujący się, byli to panięta, z któremi łagodniej postępować wypadało, jako z przeznaczonemi przez swe urodzenie do pierwszych kościelnych dostojeństw. Oni musieli mieć stół nieco wygodniejszy, prace lżejsze, a nawet względem pilności w naukach jakieżkolwiek pobłażanie. Familiom i biskupom szło o to, aby takowa młodzież nie odstręczała się od stanu duchownego; taki kleryk już się zwał kanonikiem, czy nim był, czy oczekiwał na jaką prebendę, czy też posiadał jej pewność przez koadjutoryę. Z liczby takowych kleryków mało który odbył kurs nauk dawanych w seminaryach, a tak jednym bogactwo, drugim ubóstwo przeszkadzało całkowitej w seminaryach edukacyi“. Zwłaszcza to ostatnie zdanie Kołłątaja

jest oczywistą przesadą, gdyż nikomu nie pozwalano wychodzić ze seminaryum przed upływem dwóch lat. Wyjątki bardzo nieliczne tylko można wykazać, że ktoś kursów nie pokończył, np. w r. 1735 Wojciech Posłowski, wskutek nalegań księdza Langiego, niedokończył seminaryum i wyświęcony poszedł na posadę do Rakowa. Tak samo wyżej wspomniany Jan Dibalius. Ogół konwiktorów odbywał całe studya. Kołłątaj powiada, że młodym paniętom radzono studya zagraniczne. Mówiono im: Ucz się prawa, a będziesz bogatym i konsyderowanym. Jeździli więc dla zrobienia karyery, ale w Rzymie nie uczyli się systematycznie, lecz nieco praktyki u jakiego adwokata, prokuratora lub ekspedytora i wracali więcej złych nałogów niż nauki nabywszy. Wogóle uważa księży zwykłych i kler wyższy polski za mało wykształcony. Mówi, że prałaci byli tylko dla ozdoby, pracę swą zdawali na niższy kler. (Pamiętnik, str. 27 i 37). Misye ludowe uważa za znak upadku kleru parafialnego: „Skąd poszło, że Zwierzchność dyecezalna, postrzegłszy się na tak małym dla ludu pożytku, dopuściła, iż zakonnicy chodzili od jednej do drugiej parafii, jak gdyby wśród pogan i heretyków, odprawiali misye, nauczali lud, nic nie umiejący w tej mierze, wprawiali go do praktyk, nabożeństw i t. d. Misye te są największą krytyką na plebanów onego czasu“. (Pamiętnik, str. 39.). Nic dziwnego, on przecie hołdował poglądom „wieku oświecenia“.

Konwiktorzy pojawiają się zaraz od początku Stradomskiego seminaryum, ale pod osobną rubryką, w Katalogu zapisani są dopiero w r. 1754. Niektórzy przechodzili z konwiktorstwa na fundacyę, np. Jan Niedbała w r. 1740, Kazimierz Tabolski i Walenty Bednarski w r. 1757.

Tak jak postanowił książę biskup Szaniawski, musieli konwiktorzy stosować się do Reguł seminaryjnych. Przypomniał im tę powinność biskup Sołtyk w piśmie z 24. sierpnia 1779 r. i obdarzył superyora stradomskiego potestate ordinaria w swem zastępstwie, by miał moc skutecznie nakłaniać konwiktorów do zachowania ustaw.

Że konwiktorzy podlegać musieli Regułom widać, że żądano od nich nauki, np. 1780 r. kazano konwiktorowi Mikołajowi Podgórskiemu opuścić seminaryum ob incapacitatem. To samo spotkało Antoniego Karwickiego 1791 r. dla takiejże przyczyny, a innego także w tym roku wypędzono za pijaństwo. Więc i konwiktorów nie oszczędzano.

Dla przykładu podamy niektóre nazwiska konwiktorów stradomskich. W r. 1755 Adam Przerębski z archidyecezyi Gnieźnieńskiej wrócił do seminaryum już jako kanonik katedralny kujawski i był cztery lata na Stradomiu. Filip Lanckoroński 1755 r. nawet podczas wakacyi bawił w seminaryum cztery lata. Oprócz niego są konwiktorzy Szymon Awedyk, Ignacy Michałowski, Teodor Siemiński, Józef Rey, Antoni Węgierski i Szymon Kiełczewski. W r. 1756 Ignacy Grodzicki, Stefan Łubieński, Michał Petrzykowski, Bartłomiej Jaszowski. Zaś w r. 1757 Józef Dembiński. W r. 1758 Stanisław Grzymała, Mateusz Kowalski, kanonik Tomasz Michałowski, Adam Łętowski. W roku 1759 był na fundacyi jakiś Zamoyski, ale mu nie napisano imienia, w następnym roku został księdzem. Z konwiktorów był Wincenty Jezierski, kanonik Wodzicki. W roku 1760 Nowakowski, Możdżeniowski, Strapczyński. W r. 1761 nowy jest Michał Romer. W r. 1762 Kasper Poniński, Jakób Łodziński, Onufry Szembek, Józef Laskowski. Pod rokiem 1763 zapisany Franciszek Gołuchowski i Tadeusz Chronowski. Był też w seminaryum od r. 1762 Tymoteusz Gorzeński, kanonik katedralny poznański, bawił trzy lata. Obok jego nazwisku pod datą 1764 r. dopisano, że w r. 1790 został biskupem smoleńskim, a 1808 roku poznańskim. W r. 1764 są w seminaryum Franciszek Oborski, Kajetan Sołtyk, kanonik krakowski, Władysław Miłkowski i Michał Lipski. W r. 1766 są w seminaryum Józef Puget, kanonik i kustosz wiślicki, i Józef Stadnicki. W r. 1778 hrabia Ksawery Ankwicz. W r. 1784 Michał Komorowski, Kajetan Boniecki i siedmiu innych. Na rok 1785 na szósty przyjęto na fundacyę tylko dwóch nowych, czternastu było sine victu, ośmiu zaś konwiktorów. Z pośród konwiktorów dwóch

było z archidyecezyi gnieźnieńskiej, a jeden z dyecezyi wrocławskiej; konwiktorzy bowiem nie byli związani przynależnością do dyecezyi. Dnia 1. marca 1787 r. przybył do seminaryum na Stradom Karol Skórkowski na konwiktora. W następnym roku wraca już jako koadjutor kanonika krakowskiego. Jest to późniejszy biskup krakowski od r. 1830. Od września 1788 r. był konwiktorem Ludwik Bystrzonowski; w r. 1790 Ludwik Potocki. W tym roku było na fundacyi tylko sześciu, na których płacił biskup z powodu utraty fundacyi w zawierusze rewolucyi francuskiej. Wśród konwiktorów 1791 r. wybija się hrabia Ksawery Jabłonowski, o którym powiedziano, że bardzo pilny. Był też Jakób Sołtyk, kawaler orderu św. Stanisława. W następnym roku 1791—92 byli w seminaryum sami tylko konwiktorzy, pośrod których Jakób Józef Sołtyk, Jan Skoczniowski, Walenty Łubieński, Władysław Starzewski.

Skutkiem zupełnego wygaśnięcia fundacyi księcia biskupa Szaniawskiego mogło upaść seminaryum Stradomskie. Lecz uznano je widocznie za potrzebne lub bardzo pożyteczne, bo Kapituła katedralna krakowska ustanowiła nową fundacyę, która weszła w życie z następnym rokiem szkolnym, dnia 1. września 1792 r.

Ks. Franciszek Bączkowicz.

†

Ś. p. N. O. Antoni Fiat.

Dnia 1. września 1915 r. zmarł po krótkiej chorobie nieodżałowanej pamięci N. O. Generał Antoni Fiat. Trzydzieści sześć lat jego przełożeństwa generalnego, 1878—1914, zapisane będą niezatartemi głoskami na kartach historyi Zgromadzenia. Niezmordowanie pracował nad odnowieniem ducha pierwotnego i pobożnych zwyczajów w Zgromadzeniu. Co O Etienne zrobił pod względem zewnętrznem, przywracając lub zakładając mnóstwo domów i cały szereg prowincyi Zgromadzenia we wszystkich krajach, to starał się O. Fiat uzupełnić od wewnątrz i pogłębić, nie zaniedbując również i zewnętrznego rozwoju. Nasza polska prowincya zawdzięcza O. Fiat niezmiernie wiele. Pomijając ciągłą, ojcowską opiekę, wystarczy wspomnieć tylko rozszerzenie prowincyi na Amerykę północną i południową, co stało się za szczególniejszem jego pozwoleniem i poparciem.

Kilka dat biograficznych i z czasu generalatu podały „Roczniki“ w r. 1914 (str. 282—283), obszerniejszego życiorysu spodziewać się możemy chyba dopiero po skończeniu wojny europejskiej. Wtenczas będzie można także szczegółowo wyliczyć jego zasługi około naszej prowincyi. Obecne wspomnienie pośmiertne niechaj uzupełni okólnik wysłany przez N. Matkę Generalną Maurice do Przełożonych prowincyi SS. Miłosierdzia.

Paryż, dnia 7. września 1915 r.

„Czigodna Siostra otrzymała zapewne telegram z zawiadomieniem o ciężkiej ofierze, jakiej spodobało się P. Bogu od nas zażądać. Wiadomo nam było, że N. O. Fiat w ostatnich czasach bardzo niedomagał, zwłaszcza ze względu na wiek tak podeszły, lecz nasze dziecięce przywiązanie kazało nam zawsze jeszcze spodziewać się dalszego jego życia. Tymczasem wieniec zasług jego już był wykończony, Boski Mistrz chciał wynagrodzić wiernego sługę.

„Dnia 27. sierpnia o godz. 5. po południu zawiadomił mnie N. O. Generał, że Czcigodny jego Poprzednik dostał silnego ataku serca i że dla pewności udzielił mu Ostatniego Namaszczenia. O godz. 7. nastąpiło przesilenie, chory jednak nie odzyskał przytomności, aż dopiero w ciągu nocy. Kiedy zrana o godz. $4^1/_2$ O. Generał przybył znowu, chory, dotąd bardzo zawsze lękający się śmierci, powiedział: „Mam ufność w miłosierdziu Bożem, mam ufność bezwzględną. Proszę Zgromadzenie o przebaczenie wszystkiego, com złego zrobił; zawsze kochałem bardzo Zgromadzenie; w niebie wiele modlić się będę za nie; było ono przedmiotem mych najczulszych uczuć w tem życiu". Potem odnowił śluby św. i przyjął Najśw. Sakrament. Kiedy z kolei zbliżył się doń Czcigodny nasz O. Dyrektor, polecił mu chory oznajmić mi, że błogosławi całe nasze Zgromadzenie w imieniu św. Wincentego i W. Matki naszej. Reszta dnia i następne minęły w spokoju

„W środę (dnia 1. września) około godz. 7. rano piękna dusza naszego N. Ojca poszła bez konania do nieba, zająć miejsce wysokie, wysłużone przez ośmdziesiąt trzy lata pracy, cierpień i bezgranicznego poświęcenia w winnicy Pańskiej.

„Szczątki śmiertelne Zmarłego wystawione były przez trzy dni w sali Relikwii, gdzie kapłani odprawiali Msze św. od godz. 5. rano do 10., a synowie i córki jego przybywali kolejno w wielkiej liczbie, by mu okazać swą wdzięczność i polecić pobożnym jego modlitwom.

„Pogrzeb odbył się w sobotę (4. września) o godz. 9 rano A był wspaniałym tryumfem pokory Zmarłego. Sam

Kardynał arcybiskup paryski odprawił kondukt, a ludzie ze wszelkich stanów wzięli udział w tym smutnym obrzędzie.

„W poniedziałek (6. września) śpiewał N. O. Generał uroczystą Mszę żałobną w naszej kaplicy, na którą zgromadziły się Siostry w znacznej liczbie.

„Oby nam dane było zachować w swych sercach wszystkie drogocenne nauki, wskazówki i przestrogi tego doskonałego Naśladowcy św. Wincentego, a przez to być zawsze, jak nam to lubił powtarzać, „jego pociechą" i wysłużyć sobie szczęście przebywania blizko niego w niebie!"

Ś. p. Siostra Franciszka (Aniela) Torońska.

Siostra Franciszka Torońska, urodzona w r. 1859, wstąpiła do Zgromadzenia w r. 1879. Przez dłuższy czas była w domu św. Wincentego przy ubogich, pełniąc ten urząd z wielką miłością i poświęceniem. Przez ostatnie dwa lata mieszkała w Zakładzie dla umysłowo chorych w Kulparkowie, a ostatnie jej chwili były bardzo budujące. Od dłuższego czasu kaszlała i pluła krwią, nogi miała spuchnięte, ale o wypoczynku i słyszeć nie chciała; mówiła z uśmiechem: „To przejdzie, a Siostra Starsza jeszcze będzie miała pociechę z Anieli". I rzeczywiście, obowiązki swe spełniała gorliwie i sumiennie, a choć miała nieraz poglądy dziwaczne i dziecinne, to jednak pamięć i zmysł administracyjny wszyscy w niej podziwiali. Z końcem grudnia 1914 r. czuła się słabszą, ale chodziła i była wesołą. Dnia 3. stycznia 1915 roku jeszcze była w kaplicy na Mszy św.; później położyła się na życzenie swej Siostry Służebnej. Wezwano lekarza, który orzekł, że serce bardzo słabe, i zdaje się, nastąpi zapalenie płuc. Następnego dnia rzeczywiście już jawnie wystąpiło i stan był groźny. Wobec tego zaproponowano chorej przyjęcie ostatnich Sakramentów św., na co chętnie się zgodziła i takowe jak najpobożniej przyjęła. Przez cały czas choroby była bardzo cierpliwą, wesołą; za najmniejszą usługę ser-

decznie dziękowała; a szczególniej budowała swe towarzyszki uszanowaniem i posłuszeństwem dla swej Siostry Służebnej; nic nie chciała, nic nie przyjęła, nie upewniwszy się pierwej, że to jest z jej wiedzą i pozwoleniem. W sobotę zrana nasza kochana S. Aniela miała już słuch bardzo przytępiony, ale jak zwykle była wesołą i rozmawiała chętnie. Prosiła S. Służebną, żeby była łaskawą podziękować Najprzew. Przełożonym za łaskę powołania św., Najprzew. ks. Arcybiskupowi Bilczewskiemu, że był taki dobry dla niej i dla jej ukochanych ubogich, o których ciągle myślała i wspominała, jak jej błogo było im służyć. To też Najprzew. ks. Arcybiskup, dowiedziawszy się o jej śmierci, był łaskaw mieć Mszę św. za spokój jej duszy. Mówiła, że jeszcze wiele, wiele chciałaby opowiadać S. Starszej, ale pewnie nie zdąży, bo już śmierć się zbliża. I rzeczywiście z trudnością mówiła i stawała się coraz słabszą, choć była całkiem przytomną i doskonale zdawała sobie sprawę, jak ważna chwila zbliża się dla niej. Ponieważ wątpiłyśmy, czy noc przeżyje, zaproponowano jej, by przyjęła Pana Jezusa na drogę wieczności. „O tak, tak“, zawołała, „niech przyjdzie mój Jezus, ale prędko“. Choć wszystko odbywało się spiesznie, jednak kochanej naszej chorej ten czas wydawał się zbyt długim. To też zwróciwszy się do S. Starszej, rzekła: „W tym Kulparkowie, to zawsze wszystko prędko, prędko, a teraz to powoli, kiedy właśnie trzeba, by Pan Jezus przyszedł prędko, bo ja umrę“. Kiedy S. Służebna powiedziała jej, że zaraz Pan Jezus przyjdzie, uspokoiła się, ale oczy miała ciągle zwrócone ku drzwiom, wyglądając z utęsknieniem, rychłoli nadejdzie Boski Zbawiciel, jej Oblubieniec. Kiedy Go już przyjęła do swego serca, była rozpromieniona i zawołala: „Dzięki Ci, o Boże, po milion milionów razy za nieocenioną łaskę powołania świętego! o jakie szczęście — jakie szczęście!“... I została chwilę w skupieniu, w uczuciach miłości i wdzięczności. Później, zwróciwszy się do S. Służebuej, skłoniła głowę, dziękowała za wszystko i powiedziała: „Żegnam cię, Siostro Starsza; nie długo się tu cieszyłam, ale tak P. Jezus

chciał". Ostatnia chwila się zbliżała, pot wystąpił na czoło, a kiedy ją obcierano, powiedziała: „Tak, dobrze proszę mnie poobcierać, to już pot śmiertelny i agonia się zaczyna". Była godz. 7½ wieczór, wszystkie Siostry otoczyły jej łoże i modliły się, a nasza kochana chora, trzymając w ręku wizerunek Jezusa ukrzyżowanego i spoglądając nań miłośnie, oddała swą duszę bez trwogi i tak spokojnie, że nawet nie spostrzegłyśmy, kiedy. Umarła w pół godziny po Komunii świętej, dnia 9. stycznia 1915 r. Wszystkie Siostry były zbudowane i rozrzewnione, każda życzyła sobie śmierci tak pięknej i każdej z nas przyszły na pamięć słowa naszego Błogosławionego Ojca: „Kto za życia kocha ubogich, bez bez trwogi widzieć będzie zbliżającą się chwilę zgonu swojego".

R. I. P.

Uwaga: Wszystkich zmarłych Misyonarzy w roku 1915 było 61.

SPIS RZECZY.

Artykuły i sprawozdania.

Kronika.

Nekrologia.

Ryciny.

Kraków – Drukarnia Związkowa, pod zarządem A. Szyjewskiego.